

RING POLSKO-ROSYJSKI

Publicysta „Do Rzeczy”
kontra rosyjski polityk



Ziemkiewicz wróży
sukces Konfederacji

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 8,90 ZŁ (W TYM 8% VAT) NR 08/464 21-27 LUTEGO 2022

DODATEK SPECJALNY:
POLSKIE WYNAŁAZKI,
KTÓRE ZMIENIŁY
ŚWIAT



Piotr Semka
o Danielu Passencie



COVID-19: JAK NAS OSZUKANO



ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829



9 772299 850000

Nakład: 54 000 egzemplarzy



eprasa.pl 2422101140

MNIEJ SMOGU

Z BENZYNĄ EFEKTA



MASY EMITOWANYCH CZĄSTEK STAŁYCH

Testy wykonano na różnych samochodach, a wyniki emisji mogą różnić się od rzeczywistych wyników w zależności od rodzaju pojazdu, jego kondycji, stylu jazdy oraz innych czynników. Podany poziom emisji zanieczyszczeń benzyny względem paliw odniesienia na podstawie badań wykonanych w cyklu WLTC w niezależnym Instytucie Badań i Rozwoju Motoryzacji BOSMAL Sp. z o.o. Szczegóły na orlen.pl.

Alfa Romeo
RACING



TITLE SPONSOR



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Broń w ręku Komisji

Srodowa decyzja TSUE, oddająca skargę Polski i Węgier, nie mogła nikogo zaskoczyć. Tym samym przyjęty w grudniu 2020 r. tzw. mechanizm warunkowości, dzięki któremu Komisja Europejska może uzależniać wypłatę środków unijnych od tego, czy jej zdaniem państwo członkowskie zachowuje zasady praworządności, został prawnie uznany. Jedyłą pociechą może być to, że TSUE przyjął, jak zwracają uwagę eksperci, wąskie rozumienie warunkowości. Oznacza to, że decyzje o ewentualnym wstrzymaniu wypłat Komisja będzie podejmować w zależności od tego, jaki jest wpływ, jej zdaniem, braku praworządności na ochronę interesów finansowych Unii.

Marna to jednak pociecha. Nie zmienia to bowiem zasady: nawet jeśli państwo członkowskie podejmuje działania, które nie wiążą się bezpośrednio z realizacją konkretnych projektów finansowanych przez Unię, to i tak może ono zostać ukarane wstrzymaniem wypłat. Przecież zawsze można wykazać, że takie wstrzymanie „jest ściśle niezbędne do osiągnięcia celu ochrony budżetu Unii jako całości”.

W praktyce urzędnicy unijni mogą uznać, że sprzeczne z zasadą praworządności jest choćby połączenie funkcji ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego lub – jak to już się stało – istnienie Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego. Dlaczego? Bo potencjalne skargi na realizację programów finansowanych choćby częściowo ze środków unijnych nie będą właściwie potraktowane – czy to przez prokuratorów, czy później przez sądy. Tak samo łatwo wyobrazić sobie można, że mechanizm warunkowości zostanie wykorzystany jako instrument szantażu wobec Polski, jeśli chodzi o kwestie związane z wprowadze-

niem postulatów genderyzmu. Tak jak wcześniej udało się wymusić kapitulację na samorządach, tak teraz zrobi się to samo w stosunku do rządu. Jak? Mechanizm warunkowości ma teoretycznie, zgodnie z wyrokiem TSUE, chronić budżet Unii. Tyle że UE nakazuje, by w ramach wydatkowania funduszy stosować zasady niedyskryminacji. Wniosek: pilnowanie niedyskryminacji jest rozumiane jako forma ochrony budżetu. Czym są zasady niedyskryminacji? Określają je polityczni aktywiści ruchu homoseksualnego i ideologowie gender. W ten sposób z ochrony budżetu Unii można będzie wywieść postulat praw dla LGBT i domagać się wpisania go do ustaw.

To samo zresztą może odnosić się także do aborcji. Jeśli polskie prawo nie zapewnia dostępu do aborcji, to czy nie zostaje naruszona praworządność i czy tym samym Polska może korzystać ze środków Unii? Ochrona budżetu Unii może pociągać za sobą decyzję Komisji o wstrzymaniu środków dla państwa, które tego rzekomego prawa nie uznaje.

To, że w ten sposób będą postępować unijne instytucje, jest bardzo prawdopodobne. Już wcześniej Komisja próbowała wymusić na Polsce posłuszeństwo, odwołując się do art. 7 traktatów unijnych. Jednak było to trudne właśnie dlatego, że uruchomienie sankcji wymagało jednomyślności. Mechanizm warunkowości to obejście tych trudności – co zresztą słusznie wykazywał polski rząd. Tylko co z tego? Teraz Komisja ma wreszcie w ręku broń. Ma możliwość wstrzymania wypłat, odwołując się do niejasnego i dwuznacznego pojęcia praworządności. Będzie je definiować na bieżąco. Można śmiało uznać, że bez kapitulacji wobec Komisji Polska pieniędzy z Brukseli nie dostanie.

Wszystko to było oczywiste już w grudniu 2020 r. Wtedy jednak, inaczej niż obecnie, polski rząd na czele z premierem dysponował bardzo silną kartą przetargową. Mógł zażądać powstanie Funduszu Odbudowy. Gdyby to zrobił, Polska nie dostałaby wprowadzone unijnych pieniędzy, ale nie mogłoby ich otrzymać żadne inne państwo. Pozycja Polski pod tym względem byłaby taka sama jak obecnie: tak jak pieniędzy nie mamy, tak byśmy ich nie mieli. Nie istniałby jednak mechanizm, dzięki któremu inne państwa mogłyby dostać z Funduszu Odbudowy, a Polska nie.

Dlaczego zatem Polska nie wykorzystała wówczas swojej pozycji? Dlaczego zgodziła się na wprowadzenie pierwszy raz w historii instrumentu, który jest niczym pałka w ręku Brukseli? Dlaczego Polska podpisała się pod dokumentem, który w drastyczny sposób ogranicza naszą suwerenność?

Prezes Jarosław Kaczyński, komentując decyzję TSUE, mówił o tym, że Polska została oszukana. Premier Mateusz Morawiecki stwierdził, że orzeczenie TSUE jest niesprawiedliwe. Wszystko to jest bardzo dziwne. Przecież gdybyśmy w grudniu 2020 r. nie podpisali się pod mechanizmem warunkowości, to ani nie można by było dziś Polski oszukać, ani wydać niesprawiedliwego wyroku. Wszelka wypłata środków pomocowych dla innych państw Unii zależałaby od zgody Warszawy.

Nie umiem odpowiedzieć, jak doszło wówczas do tego fatalnego posunięcia. Pewne jest, że stanowi ono swoistą cezurę. Od tego momentu bardzo trudno uznawać deklaracje o obronie suwerenności za coś innego niż retorykę. Pozycja Polski uległa osłabieniu i jestem pewien, że wkrótce zobaczymy tego skutki. ©©

TEMATY GODNIA

14 JERZY KARWELIS
OSKARŻAM ZA PANDEMIE
Czas na osąd walki z COVID-19

20 ROZMOWA Z ALEXANDREM
TSCHUGGUELEM
UKRYTA AGENDA

KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
POGODA DLA KONFEDERACJI
Jeśli wytrzymają, to będą współrządzić

24 JAN FIEDORCZUK
W OPARACH ABSURDU

26 KAMILA BARANOWSKA
WŁADZA W RĘCE KURATORÓW

28 PIOTR SEMKA
INTELEKT W CINIĘ LĘKU

32 ROZMOWA Z BARTŁOMIEM WRÓBLEWSKIM
WARTO WALCZYĆ O WIĘCEJ NARODZIN

34 PAWEŁ ZDZIARSKI
CYBERPRZESTĘPCY CORAZ GROŹNIEJSI?

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
POLOWANIE NA KŁAMSTWA

KULTURA

38 PIOTR GOCIEK
DZIECI NA WULKANIE
Oscarowy faworyt w polskich kinach

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 MAREK JUREK
**PO PIERWSZE
– BEZPIECZEŃSTWO
POLSKI**
Czas mówić o Polsce

49 ROZMOWA Z SIERGIEJEM MARKOWEM
**O ZAMIARACH ROSJI, NIEPODLEGŁOŚCI
UKRAINY I RELACJACH Z POLSKĄ**

52 JAN BOGATKO
KSIĘDZA NA STOS!



DODATEK SPECJALNY

WIELKIE POSTACIE POLSKIEJ
NAUKI – ZESZYT 1

**POLSKIE WYNAZKI,
KTÓRE ZMIENIŁY
ŚWIAT**

HISTORIA

54 PIOTR WŁOCZYK
UPRAGNIONY CASUS BELLI
Jak Sowieci sami ostrzelali swoje pozycje
w wiosce Mainila

56 ŁUKASZ CZARNECKI
OLIVER I SPÓŁKA

ŚWIAT

62 TOMASZ ROWIŃSKI
LEWAR NA WATYKAN
Pułapka dla Kościoła

EKONOMIA

66 ŁUKASZ WARZECHA
OŚWIECENI ŻARÓWKĄ
Polityka i klimatyzm

STYL

70 JOANNA BOJAŃCZYK
GENIALNA OSZUSTKA
Kim jest Anna?



O ZDROWIU

74 ROZMOWA Z PROF. KONRADEM REJDAKIEM
CHOROBA NADWRAŻLIWEGO MÓZGU
Migrenę przewlekłą można leczyć
profilaktycznie

FELIETONY • SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (10), KOWALCZUK (11), ZYCHOWICZ, KOPER (60), PRZYBYLSKI (64), GABRYEL, WARZECHA (68), KOMUDA (76), KARWELIS, POSPIESZAŁSKI (79), JĄSTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)



ADRES: Tygodnik DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, **Piotr Godek**, **Krzysztof Masłoń**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemiakiewicz**

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, **Oliver Bault**, **Joanna Bojańczyk**, **Grzegorz Brzozowski**,
Wojciech Cejrowski, **Wiesław Chelminiak**, **Dominika Ćosić (Bruksela)**,
Tomasz Cukiernik, **Krzysztof Czabański**, **Wojciech Colonika**,
Ryszard Gromadziński, **Piotr Gursztyn**, **Marek Jurek**, **Jerzy Karwelis**,
Jacek Komuda, **Slawomir Koper**, **Piotr Kowalczyk (Rzym)**, **Grzegorz**
Kucharczyk, **Tomasz Lenczewski**, **Piotr Litka**, **Łukasz Majchrzyk**,
Monika Małkowska, **Karolina Marchlewska-Trzmiel**, **Gabriel Michalik**,
Agnieszka Niewińska, **Andrzej Nowak**, **Maciej Pieczyński**,
Katarzyna Pinkosz, **Jan Pospieszalski**, **Tomasz Rowiński**, **Witold Repetowicz**,
Wojciech Roszkowski, **Agnieszka Rybak**, **Joanna Siedlecka**, **Teresa Stylińska**,
Artur Szeremeta, **Błażej Toński**, **Szewach Weiss**, **Piotr Włoczyk**,
Marcin Wolski, **Małgorzata Wołczyńska**, **Jakub Wozniński**, **Tomasz Wróblewski**,
Igor Zalewski, **Tomasz Zbigniew Ząpat**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca,
także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja),
Marcin Bugaj, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Grzegorz Grzymowicz**, **Dawid**
Sienkowski, **Maciej Strug**, **Paweł Zdziarski**, **Łukasz Żygado**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (kierownik),

Jakub Tański, **Jacek Nadratowski**, **Włodzimierz Zakrzewski**

Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**

Korekta: **Anna Zalewska**, **Marzena Dobosz**, **Agata Błaszczak-Stefaniak**

Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krysztopa**

Okładka: **Satyabrata Tripathy/Hindustan Times/Shutterstock/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, **Jolanta Kloc**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829

Nakład 54 000 egzemplarzy



DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa
listy i e-maile. Przypominamy, by
korespondencję elektroniczną
kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Wspierajmy Ukrainę, ale nie za darmo”, „Do Rzeczy” 06/2022

Tekst **Macieja Pieczyńskiego** skłania do re-
fleksji w kontekście szybkiego rozwoju wy-
padków w Europie Wschodniej (manewry
wojsk ZBiR). Autor ma rację, że w niesie-
niu pomocy sąsiadowi ze wschodu Polska
powinna wykazać umiar. Nie chodzi tylko
o to, że graniczymy zarówno z Ukrainą,
jak i Rosją. Trzeba też pamiętać, że sama
armia ukraińska jest dwa razy liczniejsza
od polskiej (ok. 250 tys. żołnierzy w służ-
bie czynnej i ponad 2,4 tys. czołgów)! Co
więcej, niektóre tamtejsze koła polityczne
wysuwają wobec Polski roszczenia
terytorialne (Chełm i okolice). Rozsądek
podpowiada, że Polska powinna na razie
zająć postawę wyczekującą i nie wkładać
palca między drzwi. Nie należy dostarczać
tam ciężkiego sprzętu ani zestawów
przeciwnoczołgowych „Piorun”. Polska, choć
jest w NATO i graniczy z Ukrainą, nie jest
nawet członkiem tzw. grupy normandz-
kiej!

Liczba rosyjskich żołnierzy w pobliżu
granicy (130–150 tys.?) świadczy, że ce-
lem Putina raczej NIE JEST podbój (a po-
tem aneksja) CAŁEJ Ukrainy! Wydaje się,
że temu państwu nie grozi zupełne wyma-
zanie z mapy Europy (bardzo duży obszar,
wąwozy Podola i łuk Karpat wschodnich
jako czynniki spowalniania ofensywy),
choć trzeba w kalkulować ew. załamanie
morale części armii (bliskość kulturowa
i etniczna).

Deklaracje brytyjskie to sygnał alar-
mowy, a nasi rządzący powinni szybko
sięgnąć po zapomnianą powieść Stani-
sława Cata-Mackiewicza „Zielone oczy”
i przesłedzić pewne fakty z marca-kwiet-
nia 1939 r.

Ku przestrodze.

Pozdrawiam P.T. Redakcję
Marcin Skwarski

Dlaczego Polski Ład mnie nie cieszy

Piszę w sprawie tzw. Polskiego Ładu,
a dokładnie chcę wyjaśnić, dlaczego
nie cieszymy się z tego, co funduje nam
PiS. Ushyszałam w „Wiadomościach”,
że większość ocenia ostatnie zmiany
krytycznie, co jest dla niektórych dzien-
nikarzy dziwne (o dziwo). Smutne, że my,
Polacy, zaczynamy myśleć i nie dostrze-
gamy „dobrych” założeń Polskiego Ładu,
takich jak: podniesienie kwoty wolnej
od podatku (dlaczego mam się cieszyć,
skoro nadal zarabiam tyle samo) oraz
zwiększenie nakładów na służbę zdrowia,
czego według PiS domagała się większość
Polaków. Otóż wyjaśniam, że ani ja, ani
moi znajomi, ani moi współpracownicy
z różnych opcji politycznych nie chcemy
ciągłego zwiększania nakładów na służbę
zdrowia. [...] Widziałam ostatnio pasek
z wynagrodzeniem lekarza w państwo-
wym szpitalu: 70 tys. za miesiąc. Mam py-
tania do rządzących: Czego niezwykłego
dokonał ten lekarz (z pewnością niejedyny
z tak horrendalną pensją) i jak coroczne
zwiększanie pensji w służbie zdrowia ma
polepszyć dostępność do lekarzy oraz ich
umiejętności? Bo jako osoba inteligentna
wiem, że żadne pieniądze nie sprawią
cudownego rozmnożenia lekarzy [...].

Pozdrawiam
A.J.



Kto nie chciałby zimą
wyskoczyć do Miśki,
niech pietwłszy tżuci
kopertą!

6 7 12 10 02 8 e A De grejt

NA PIERWSZY OGIEŃ

Wiadomo, że nic nie wiadomo



PIOTR SEMKA

Europa z ulgą przyjęła wiadomość, że 16 lutego, wbrew ostrzeżeniom zachodnich wywiadów, do ataku Rosji na Ukrainę jednak nie doszło. Ale Joe Biden nadal ostrzega, że atak Putina może nadejść w każdej chwili.

Rosyjskie wojska nadal stoją na granicach państwa ukraińskiego. A komunikaty Moskwy o powrocie poszczególnych jednostek do stałych baz „po zrealizowaniu planowego programu ćwiczeń” niewiele dają, bo nowe jednostki pojawiają się w nowych punktach. Nasilił się też ostrzał ze strony prorosyjskich bojówek. Atakowane są szkoły i przedszkola, co wyraźnie ma sprowokować Ukraińców. Ci, pod wyraźnym naciskiem Amerykanów, na razie nie odpowiadają na zaczepki. Ale pojawiają się też nowe ataki na polu propagandy. Niepokojące wrażenie robią twierdzenia rosyjskich mediów o odnalezieniu masowych grobów zamordowanych cywilów na terenie prorosyjskich republik w Donbasie. Każdy, kto zna metody Kremla, wie, że to nieomylna oznaka próby rozgrzania antyukraińskich nastrojów. Niezwykle potrzebny Putinowi

do uzyskania wsparcia zwykłych Rosjan dla inwazji na Kijów.

Niemcy nadal wstrzymują się z jasnym ogłoszeniem, że Nord Stream 2 stało się już bezpośrednim zagrożeniem dla bezpieczeństwa Europy. Do podjęcia decyzji o zamknięciu projektu kanclerz Olaf Scholz musiałby być mężem stanu, a nie kupczykiem drżącym przed gniewem niemieckiego biznesu. Czas na zamknięcie bałtyckiej rury jest teraz, gdy niemiecka gospodarka nie jest tak bardzo uzależniona od rosyjskiego gazu. Ale Scholz, jak się wydaje, wierzy, że wrzawa wokół Ukrainy z czasem ucichnie i będzie znów można handlować z Rosjanami jak dotąd. Ile by kanclerz Scholz przeprowadził rozmów telefonicznych z Joe Bidenem, kwestia Nord Stream 2 pozostanie kluczowym testem na wiarygodność Niemiec jako członka NATO.

Podobnie chwiejne stanowisko wykazuje Paryż. Francuski szef dyplomacji, Jean-Yves Le Drian, minister spraw zagranicznych Francji, smętnie wyznaje w wywiadzie prasowym, że „nie ma już zasad” rządzących europejskim bezpieczeństwem i stabilnością. W jego opinii paktu kontroli zbrojeń

obejmujące wszystko, od pocisków nuklearnych średniego zasięgu do przejrzystości ruchów sił zbrojnych, stały się „prawie przestarzałe” lub „nieistotne”. Putin „może zrobić z Rosji destabilizujące mocarstwo... co może oznaczać trwałą strategię napięcia w dłuższej perspektywie, lub może zdecydować się na zostanie aktorem, partnerem w nowym porządku bezpieczeństwa i stabilności w Europie” – powiedział Le Drian dla „Financial Times”.

Pytanie, jak Paryż rozumie taki „nowy porządek bezpieczeństwa” na naszym kontynencie? I czy nie zostanie on zbudowany ponad głowami nie tylko Ukrainy, lecz także krajów wschodniej flanki NATO? Szef francuskiej dyplomacji nakreślił „trójfazowe podejście do rozładowania kryzysu”: zweryfikowane wycofanie sił rosyjskich z granic Ukrainy, wznowienie rozmów w sprawie porozumienia mińskiego w sprawie rozwiązania wojny między wspieranymi przez Moskwę separatystami a Kijowem we wschodnim Donbasie oraz nowe europejskie ramy bezpieczeństwa. Szef francuskiej dyplomacji unika bliższych wyjaśnień, a Polska ma prawo do złych przeczuć. ©©

NOWOCZESNE CZOŁGI DLA POLSKI

USA sprzedadzą Polsce 250 czołgów Abrams w najnowocześniejszej wersji M1A2 SEPv3. Zgodę na tę transakcję wyraził już Departament Stanu. „To niezwykle ważne wzmocnienie naszych zdolności obronnych i jeden z ważniejszych kontraktów zbrojeniowych w historii Polski” – podkreślił szef MON Mariusz Błaszczak. Wartość całego kontraktu, wraz z pakietem logistycznym i szkoleniowym oraz dużą ilością amunicji, szacowana jest na 23,3 mld zł. Niewykluczone, że pierwsze czołgi dotrą do Polski jeszcze w tym roku. (jap) ©©



Czytelnicy pytają, my odpowiadamy. Ale najpierw zasięgamy języka u wiewiórek. Uwaga, podajemy odpowiedź na pytanie, w ilu resortach zmienia się ministrowie. Odpowiedź brzmi: w kilku.

Nasza wiadomość o kandydaturze szefowej ZUS, Gertrudy Uścińskiej, na stanowisko ministra finansów wywołała głębokie, pełne zakłopotania milczenie. W rządzie bowiem wszyscy jej kibicują, ale nikt nie chce podpaść, potwierdzając, że coś jest na rzeczy. Dolewamy oliwy do ognia: A słyszeliście, że nowy szef ZUS też ma być kobietą?

Uwaga, ujawniamy nieznane fakty związane z wyprawą marszałk-simusa Tomasza Grodzkiego na Florydę. Otóż na tę samą nieistotną imprezę wybrał się Adam Kwiatkowski. Tak, ten z Kancelarii Prezydenta Andrzeja Sebastiana. Nigdy nie myśleliśmy, że będziemy wymieniać w jednym zdaniu nazwiska Grodzki i Kwiatkowski, ale trzeba: wolelibyśmy, by obaj zajmowali się w tych dniach Polakami na Ukrainie, a nie na Florydzie.

Åpropos dalekich podróży ludzi, z którymi kumpluje się prezydent Andrzej Sebastian. Mało kto wie, że na igrzyska w Pekinie polecił też Marcin Mastalerek vel Masta vel Breivik. Co wywołało nową falę spekulacji na temat jego rychłego przejścia na stanowisko szefa Kancelarii Prezydenta. Jeden gość nawet opowiada: jak przyjdzie Masta, to wyrzuci Szrota.

Jak wiecie, będzie nowy polski ambasador w Berlinie. Ale pojawi się też nowy niemiecki w Warszawie. Jak to możliwe, skoro obecny Arndt Freytag von Loringhoven urzęduje całkiem od niedawna i jest mało zużyty? Owszem, ale już zaczyna pakować walizki. W Niemczech jest bowiem rzecz święta – wiek emerytalny. Wprawdzie Arndt osiągnie go dopiero w przyszłym roku, ale wzięwszy pod uwagę, że w Polsce, gdzie pracuje, już go osiągnął, zmiana nas nie dziwi.

My w sumie trochę żałujemy barona, bo taki tytuł nosi wciąż jeszcze urzędujący ambasador. Ludziska go chwala. W ciągu niecałego roku poznał polski na tyle, że w miarę

swobodnie się dogaduje. A to ewenement, bo większość jego poprzedników do Polski przyjeżdżała bez znajomości języka i wyjeżdżała podobnie. No i baron jest niezmiernie krytyczny wobec reżimu Putina, co wcale w niemieckich kręgach politycznych nie jest oczywiste.

Jako potencjalnego następcę barona ambasadora wymienia się Thomasa Baggera. Niewiele o nim wiemy poza tym, że tak jak baron Arndt wcześniej robił za ambasadora w Czechach. Obecnie sprawuje funkcję Jakuba Kumocha u niemieckiego prezydenta Steinmeiera. Czyli kieruje biurem polityki zagranicznej.

Skoro już jesteśmy przy Kumochu. Otóż pomału BOR-rowcy... tfu, ta formacja nazywa się teraz SOP. Czyli SOP-owcy mają go po dziurki w nosie. Facet jest ogarnięty manią biegania. Codziennie lyka z buta przynajmniej te 10 km. W Warszawie to nie problem, ale gość nie może się opanować także za granicą i biega również w krajach, gdzie samotne przebieżki nie są zalecane. A SOP-owcy, owszem, chłopy na schwał, jednak preferują przemieszczanie się limuzynami. Jeden z nich nawet w przypiływie rozpaczy zaproponował, by Kumoch nie jeździł z prezydentem Andrzejem Sebastianem w kolumnie, tylko biegł przed nią, wskazując kierunek.

Inna sprawa, że z tego całego SOP to w ogóle niewielki pożytek. Na przykład w grudniu Paweł Soloch się połamał, mimo nadzoru SOP-istów. Mamy w związku z tym wniosek, by delikwentów objętych ochroną przez Służbę Ochrony Państwa nosić w lektkach. Trzeba tylko dopilnować, by wszyscy czterej niosący byli tego samego wzrostu.

Jarosław Kaczyński, zwany także Naczelnikiem, Kaczafim, Prezesem, Dyktatorem i tak dalej, w naszej rubryce, jak wiecie, nazywany jest SWP – Szeregowym Wicepremierem. Musimy więc odnotować fakt, że na zakończenie radiowego wywiadu z Jurkiem Jachowiczem Naczelnik pożegnał się przypomnieniem, że nie jest dyktatorem, lecz jedynie „skromnym wicepremierem”. Niektórzy myśleli, że kpimy, a tu proszę – skróć się zgardza.

Nasze nieoficjalne informacje o przygodach lubuskich samorządowców w Dubaju wywołały burzę. Wacław Maciuszonek, szef sejmiku oraz Sebastian Ciemnoczołowski, szef klubu Pełno w tymże, zapewniają, że spóźnili się na samolot, bo robili zakupy w strefie wolnocłowej. Sugestie dotyczące spożywania płynów zdecydowanie odrzucają. My w sumie też. W końcu kto by tam kupował alkohol w strefie wolnocłowej? Czapki czy rękawiczki, to tak. Zwłaszcza w Dubaju.

Lubimy wyrazy oburzenia, więc czekamy na kolejne: złe języki mówią, że jak już do Polski dolecieli, to trafili nie do Poznania, lecz do Katowic, skąd trzeba ich było zabrać do domu służbowym samochodem. Powątpiewamy – przecież mieli te czapki i rękawiczki ze strefy wolnocłowej w Dubaju, więc w razie potrzeby wytrzymaliby nawet w zimnym pociągu. Mamy też pytania o to, kto płacił za dodatkowe bilety samolotowe, ale to już w następnym odcinku.

Każdy tydzień przynosi nowe rewelacje w sprawie Pegasusa. Po tym, jak Henia Krzywonos ogłosiła, że Pegasusy są w telewizyjnych deko-derach, Robik Biedroń oświadczył, że służy do śledzenia, co robi pod kołdrą. Mamy głupie pytanie – po co Robik zabiera smartfona, kiedy idzie z kimś pod kołdrę? ©©

dwaj panowie



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

ŚWIAT NA SKRAJU WOJNY?

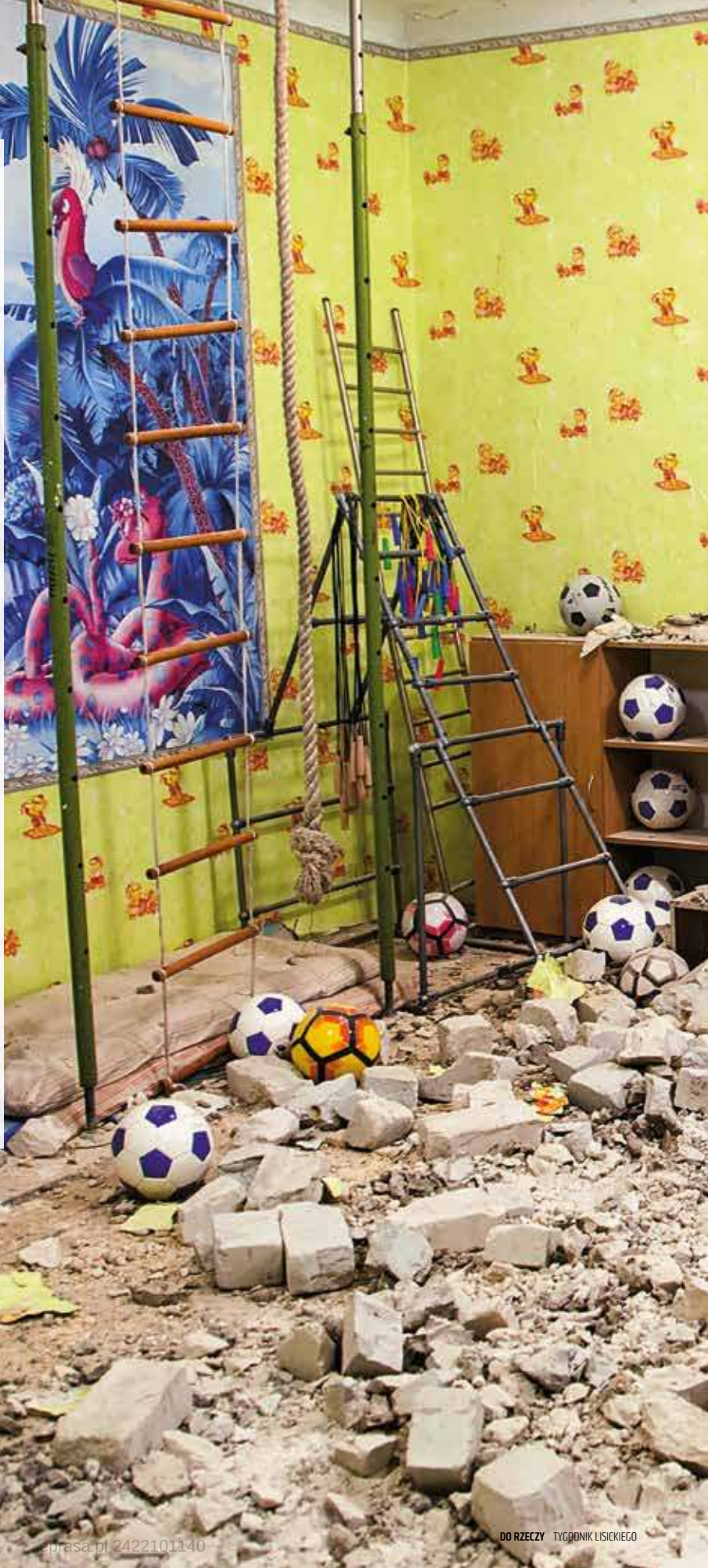
W ubiegłym tygodniu nie słabły napięcia związane z możliwą agresją Rosji na Ukrainę. Wręcz przeciwnie – obawy zostały spotęgowane, gdy w czwartek Sztab Operacji Połączonych Sił Zbrojnych Ukrainy poinformował, że jej terytorium zostało zaatakowane przez separatystów z Donbasu. Pociski przez nich wystrzelone trafiły w przedszkole w Stanicy Ługańskiej (na zdjęciu). Dwóch cywilów zostało rannych, a prezydent Ukrainy nazwał to „wielką prowokacją”. Z kolei separatyści z Donbasu oskarżyli Ukraińców o zaatakowanie ich pozycji. Według obserwatorów OBWE na linii frontu na wschodniej Ukrainie doszło jednego dnia do 500 eksplozji. Tuż przed zamknięciem tego numeru „Do Rzeczy”, w piątek 18 lutego, separatyści w Donbasie mieli naruszyć rozejm aż 22 razy.

Tymczasem Rosjanie oficjalnie przekazali, że zaczęli wycofywać część swoich sił zbrojnych z Białorusi z terenów sąsiadujących z Ukrainą. Jednak zachodni politycy i Ukraińcy uważają, że Rosjanie raczej zastępują część żołnierzy innymi wojakami i że wymieniają po prostu część sprzętu. Ambasador Stanów Zjednoczonych przy OBWE Michael Carpenter poinformował, że Rosja zgromadziła już przy granicy z Ukrainą 169–190 tys. żołnierzy, czyli prawie dwa razy tylu, ilu było ich tam 30 stycznia. (luz) ©©

CZYTAJ TAKŻE

- **MAREK JUREK „PO PIERWSZE – BEZPIECZEŃSTWO POLSKI”** STR. 46
- **ROZMOWA Z SIERGIEJEM MARKOWEM O ZAMIARACH ROSJI, NIEPODLEGŁOŚCI UKRAINY I RELACJACH Z POLSKĄ** STR. 49
- **PIOTR WŁOCZYK „UPRAGNIONY CASUS BELLI” – JAK SOWIECI SAMI SIĘ OSTRZELALI, BY NAPAŚĆ NA FINLANDIĘ** STR. 54

FOT. OLESANDR RYBUSHKIN/AP/PEAST NEWS







RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Patoglamour

Karolina Korwin Piotrowska nie jest, delikatnie mówiąc, godna szacunku. To samo można powiedzieć o „Wysokich Obcasach”, feministycznym dodatku do „Gazety Wyborczej”, któremu udzieliła wywiadu. Niemniej wywiad ten, będący przyczyną niejakiego zamieszania w pewnych zakątkach dziennikarskiego półświatka, wydaje się świadectwem wiarygodnym. Zawarte w nim wyznania są zresztą na tyle „procesowe”, że tylko samobójca pozwałałby sobie na miejscu ich autorki na nieścisłości.

Opowiada więc Korwin Piotrowska o mobbingu – nie mobbingu w ogóle, tylko o swoich złych doświadczeniach z nieistniejącego już pisma „Gala”, ogólnikowo zaznaczając, że podobne

historie ma do opowiadania, ho, ho, iluż to ludzi z jej środowiska. W innych wywiadach, „fołoł-apach” wspomnianego, cieszy się zresztą, że pod jej wpływem coraz więcej osób deklaruje, że opowie. Czekam niecierpliwie. Ale już historia „Gali”, opowiedziana przez Korwin Piotrowską, jest wystarczającym tematem do refleksji.

Owo pismo, w którym, jak się dowiadujemy, naczelny, Niemiec, wyzywał pracowników od „polskich świń” i poniżał ich na inne sposoby, a stosunki pracy przebiegały najczarniejsze stereotypy stworzone w PRL na temat pańszczyzny, było przecież jednym z głównych „arbitrów elegancji” rzeczywistej pomagdałkowej. Tworzyło, współ z michnikowszczyzną i resortowymi dziećmi wylansowanymi na

gwiazdy państwowej telewizji, celebrycki salon, wzorcotwórczą elitę czasu „transformacji ustrojowej”. Tę elitę, która dziś szaleje w maniakalno-depresyjnym cyklu od „PiS jest już skończony” do „wyp.....lam z tego śmierdzącego, hołociarskiego kraju, bo PiS tu będzie rządził zawsze”. Te dzisiejsze frustracje są zrozumiałe, jeśli uświadomić sobie, co tym środowiskom PiS odebrał. Odebrał im właśnie ten „glamour”. Tę moc uwodzenia, imponowania tłumom i płynącą z niej władzę „dystrybuowania szacunku”, którą miał przez dobre ćwierć wieku i na której oparto pomagdałkową hierarchię.

I nikt nie wiedział, że kto jest elegancki i „glamour”, a kto oszłom, pouczają go ludzie cierpliwie znoszący nazywanie ich „polskimi świniąmi”. © ©



MAREK JUREK

OD POZĄTKU

Blisko za Odrą

Berlińska dzielnica Neukölln, jedno z centrów europejskiego islamu, leży ledwie 180 km od mojego rodzinnego Gorzowa, znacznie bliżej niż Konin czy Wrocław, nie mówiąc już o Warszawie, Krakowie czy Gdańsku. Tam właśnie rozgrywa się akcja serialu „4 Blocks”, który bez wahania dopisuję do rekomendacyjnej listy filmów NMN, nowego moralnego niepokoju.

Bohaterowie serialu to mużułmańscy libańscy imigranci, a właściwie (!) uchodźcy, z czasów wojny domowej. Zjechali w dzieciństwie do Niemiec i tam, niczym ich przodkowie w górach Libanu, walczą dla swoich klanów z całym światem. Zasad islamu szczególnie nie przestrzegają, nie odma-

wiają sobie alkoholu, ich żony i córki nie zawsze zasłaniają głowy, o religii przypominają sobie, gdy trzeba urządzić pogrzeb przy meczecie któremuś z zabitych kuzynów. Nie można im jednak odmówić odwagi i dumy. Niemcami w gruncie rzeczy gardzą, sprzedają im narkotyki i kobiety, ale sami wolą swoje rodziny, swoją kuchnię, orientalny wystrój swoich mieszkań.

Można zarzucić filmowi, że „ociepla wizerunki” arabskich gangsterów, idealizuje ich rodziny, heroizuje – niczym w „Ojcu chrzestnym” – kryminalną przemoc. Ale zza tego wszystkiego przeziara cały czas prawda o islamizacji Zachodu. Arabscy przybysze kraj

osiedlenia traktują jak najeżdźcy. Chcą urządzić w nim życie na swoich zasadach. Przyjeżdżają do Europy, bo wiedzą, że tam znajdują najwięcej korzyści i najmniej wymagań. Ich problemem jest nie tyle to, że są społecznie upośledzeni, ale że nie mogą szybko dorównać zamożniejszej (a czasami najzamożniejszej) części miejscowego społeczeństwa. A przecież przyjechali do Europy po lepsze życie i są gotowi dochodzić tego siłą. Jedną z najbardziej przejmujących scen filmu pokazuje wielki mural w Neukölln, wymalowany po śmierci zabitego przez policję gangstera. Dla młodzieży ze swojej dzielnicy był kimś w rodzaju Malcolma X. Rewolucjonistą, wskazującym przyszłość. © ©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

ależ pakie bandziotze,
w traktatach nie ma nic o
bandziorowaniu, napadaniu
i rabowaniu



21 4 12 2012 8 0 Jan 966 911 00



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEN RZYMSKA

Przy winie o winie

Komisja Europejska ruszyła na wojnę z rakiem, a po drodze postanowiła wyleczyć Europę z alkoholizmu. Powstał dokument, w którym Komisja wyłożyła co i jak i zawarła zalecenia, które wywołały w Italii burzę.

Lektura dokumentu budzi podejrzenia, że pisali go ludzie chorzy lub po kilku głębszych. Jak argumentuje Komisja, picie alkoholu jest przyczyną 10 proc. chorób nowotworowych wśród mężczyzn i 3 proc. wśród kobiet. Wobec tego, aby walczyć z rakiem, trzeba walczyć z konsumpcją alkoholu. Ambitny cel: redukcja o 10 proc.

Błąd! Przyczyną różnych chorób i problemów jest nie picie alkoholu, a nadmierne picie alkoholu. Stąd błędne wnioski.

Oto propozycje Komisji: czarne etykiety na butelkach z napojami alkoholowymi na wzór tych, które już są na papierosach, czyli obrzydzenie, zakaz reklamowania i sponsorowania producentów. Komisja wrzuciła w ten sposób wszystko do jednego worka, a raczej do jednej beczki: pospolitą gorzałę, wytworne wino i piwo.

Cała Italia, gdzie pijany Włoch jest zjawiskiem rzadszym od trzeźwego robotnika po piątkowej wypłacie w Anglii czy Irlandii, oburzyła się i przeraziła. Wino, nierozzerwalnie związane z tradycją i kulturą Italii, Komisja chciała im podawać w butelkach z napisem, że to trucizna. Tymczasem naukowcy twierdzą, że wino, byle nie w nadmiarze, dobrze służy zdrowiu. Włochy produkują najwięcej wina na świecie i najwięcej

eksportują. W przemyśle winnym pracuje 1,5 mln osób. Jak oszacowali włoscy winiarze, wprowadzenie w życie obłądnych pomysłów Komisji kosztowałoby ich 7 mld euro strat, zmniejszenie dochodów o ponad 30 proc., bankructwa i zwolnienia.

Na szczęście, na skutek oporu Francji i Włoch, idiotyczny projekt rezolucji został przed głosowaniem 14 lutego w Strasburgu gruntownie przepracowany. Swoją drogą ciekaw jestem, kto w Komisji Europejskiej wymyśla te wszystkie kretynstwa. Już ogłosili, że dieta śródziemnomorska jest niezdrowa, a teraz wspierają produkcję sztucznego mięsa. Na razie jednak: Na zdrowie! ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

PRAWO DO NADBAGAŻU

Ewa Chodakowska, najbardziej znana trenerka fitness w Polsce, podzieliła się ze światem straszną historią, która przytrafiła się jej na lotnisku w Atenach. Otóż pracownica linii lotniczych źle ją potraktowała! Co zrobiła? Zwróciła Chodakowskiej uwagę, że ma nadbagaż, i kazała jej się przepakować. „Mężczyzna siedzący przy check-inie obok zwraca się do dziewczyny po grecku: »No weź... Dlaczego jej nie puściłaś z 1 kilogramem nadbagażu?«. Dziewczyna po grecku odpowiada: »Bo ona mi się nie podoba!«. Cóż, na szczęście znam też grecki. Prostuję się i mówię: »Zrozumiałam to, co powiedziałaś. Nie podobam ci się? To jest twój argument? W dzisiejszych czasach, gdzie kobiety walczą o swoje prawa, poniżasz mnie w ten sposób? Wstydz się« – relacjonowała na Instagramie fitness celebrytka. A na koniec dodała, że nie szuka wcale pocieszenia, lecz „stara się jedynie naświetlić problem, z jakim przyszło się mierzyć kobietom w XXI w.” „Walcząc o swoje prawa, nie wygramy, jeśli wciąż będziemy [walczyć] między sobą. I to w jakże prymitywny, uwłaczający nam samym sposób” – zakończyła. Popieramy Ewę całym sercem! Prawo do nadbagażu podstawowym prawem każdej kobiety!

WIĘCEJ NIE ZNACZY LEPIEJ

Celebrytka Blanka Lipińska, autorka słynnego thrillera erotycznego, na podstawie którego nakręcono nawet film, przyjęła inną niż jej



FOT. WHOTD/EAST NEWS

koleżanki z show-biznesu taktykę i zamiast zaprzeczać operacjom plastycznym i innym zabiegom upiększającym, zaczęła się nimi publicznie chwalić. Ostatnio na przykład



FOT. PAWEŁ CORDADA

poinformowała świat, że poddała się zabiegowi stymulacji włókien kolagenowych. Na dowód zamieściła nawet zdjęcia z twarzą całą w igłach. – Zrobiłam sobie zabieg, który wyglądał spektakularnie i spektakularnie się odbył. Zabieg z igłami i ze stymulacją włókien kolagenowych. Nic się nie wstrzykuje, a twarz się podnosi – relacjonowała na Instagramie. – Wygląda to srogo. Czy zabieg jest miły? Nie! To wciąż zabieg z wykorzystaniem igieł, takich jak do akupunk-

tury, cieniutkich. Przez tę igłę przechodzi impuls elektryczny, można sobie rozpuścić kazimierza, można się naciągnąć... Ja się naciągnęłam, mam przepiękny owal twarzy! – nie kryła zadowolenia. – To był piękny dzień – podsumowała. Kiedyś ta sama Blanka Lipińska powiedziała, że „jest zrobiona na tyle, na ile było ją stać”. Patrząc na to, co ostatnio dzieje się z jej twarzą, zaczynamy trzymać kciuki za to, by nie wiodło jej się aż tak dobrze.

ZDOLNA NIESŁYCHANIE

Małgorzata Rozenek-Majdan chyba naprawdę uwierzyła, że ma talent aktorski, który trzeba rozwijać i o który trzeba dbać. Wszystko przez Patryka Vegę, który dał jej rolę w swoim filmie i przez godzinę, jak wyznała, udzielał jej aktorskich porad. Tyle wystarczyło, by zagrać w jego filmie. Jednak celebrytka uznała, że czuje niedosyt i chciała by z tym aktorstwem zrobić coś tak na poważnie. Rozważa więc szkołę aktorską. – Myslę o tym bardzo poważnie. I jeśli mam kontynuować moją przygodę z aktorstwem, to duża jest w tym zasługa Patryka, który pokazał mi, jak bardzo mogę się przy tym rozwijać – opowiada w „Super Expressie”. Chcielibyśmy choć raz usłyszeć, że któryś ze swoich licznych talentów pani Małgorzata zamierz związać, a nie rozwijać. To dopiero byłby breaking news! A tak, nuda.

PATRZCIE, JAKI LUKSUS!

Była uczestniczka programu „Top Model”, a teraz modelka i celebrytka Karolina Pisarek zasypuje swoich fanów relacjami i zdjęciami ze swojego luksusowego życia. Karolina, która w wieku 24 lat napisała i wydała swoją autobiografię, nie widzi w tym niczego złego, wręcz przeciwnie – uważa, że „nie można się cały czas przejmować tym, co ludzie mówią”. Chwali się więc autem za 1 mln zł, willą za 5 mln zł i narzeczonym, który dokłada się do tego interesu. – Każdy bierze luksus za coś innego. To jest moje życie i tak teraz wygląda. Cieszę się, że mogę motywować innych, że można – tłumaczy Pisarek w rozmowie z serwisem Pudelek. – Kiedyś spałam w hostelach, mnie w ogóle na nic nie było stać. Do wszystkiego doszłam sama. I tu nie chodzi o to, żeby się chwalić, tylko ja od zawsze pokazuję swoje życie – wyjaśnia. – Co, mam specjalnie ubrać dziurawą skarpetkę (choćby też takie mam) i pokazywać: O, zobaczcie, mam dziurawą skarpetkę? No trochę inaczej moje życie wygląda – podsumowała. To, że mogłaby nie pokazywać swojego życia wcale, przez myśl jej nawet nie przeszło. Zresztą... jaką myśl! ☺



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, na Twitterze miała ostatnio miejsce interesująca dyskusja, w której jeden pan napisał do drugiego pana: „Utuczyles się, wieprzu”. Nie chcemy teraz wnikać w istotę sporu, ale za to zwrócimy uwagę na pewien istotny, wydawać by się mogło, szczegół.

A wszystko dzięki Sylwii Spurek, która włączyła się do dyskusji i napisała: „Mogę zrozumieć Pana emocje, ale proszę zostawić zwierzęta w spokoju”. A następnie dodała: „Czy naprawdę walka o szacunek dla zwierząt pozaludzkich zasługuje na drwiny?”.

Otóż, kochani, osobopostanka europejska ma oczywistą rację. Zauważcie, jak w języku polskim utarło się, aby pewne negatywne cechy, jakie dostrzegamy u swoich oponentów, przypisywać także zwierzętom.

Pierwszy przykład z brzegu: „schlać się jak świnia”, chociaż prawdopodobnie przeciętna osoboświnia w życiu nie wypila tylu harnasi, ile przeciętny Janusz spod Sanoka robi za jednym posiedzeniem u szwagra w garażu.

Albo „uparty jak osioł”. Co sugeruje, iż cecha charakteru osoboosła, jaką jest upór, zasługuje na wytknięcie palcami. Oczywiście kto jest autorem powiedzenia? Osoby o giętkim charakterze, które tak naprawdę z zazdrością obserwują, jak osłosooba wytrwale stoi na swoim stanowisku.

Już przez litość nie poddamy analizie, co Podkarpacie miało na myśli, ile tam było nienawiści do osobopsów, kiedy wymyślali powiedzenia w stylu „pogo-

da pod psem”, „psiakrew” czy „pieskie życie”. Musimy jednak zwrócić uwagę na zwrot „darcie kotów”, który historycznie był metodą rozwiązywania sporów stosowaną na ziemiach położonych na wschód od Tarnowa.

Tak więc, kochani, więcej wyrozumiałości dla zwierząt pozaludzkich, więcej czułości w codziennym języku!



Taka ciekawostka z naszego Krakowa. Otóż na zrewitalizowanym placu Biskupim (sorry za nazwę, też czujemy się z nią niekomfortowo, wiecie – krakówek) miasto postawiło ławkę.

Ławka kosztowała ponoć 228 tys. zł, a więc za jej równowartość można byłoby kupić jakieś całkiem przyzwoite mieszkanie w niewielkim ośrodku.

Of kors powstał hejt i zamęt, ale zupełnie i całkowicie niesłusznie. Po

raz kolejny przypominamy, bo już o tym mówiliśmy Wam w kontekście strefy relaksu w Warszawie czy rydwanu w Gdańsku, na wydatkach publicznych nie wolno dziadować.

Czy miasto postawiło tę ławkę dla siebie? Czy jednak dla ludzi: turystów i ewentualnie mieszkalców? Znow mamy taką niewesołą refleksję, iż w tym kraju nie ma co się starać i nie warto robić nic. Bo potem zhejtują, sprawdzą cenę itd.

Strach do takich na urodziny pójść, bo jak dostaną prezent, to pewnie pierwsze co, a obczają w necie, ile kosztował. Okropne.

Ciekawy trend pojawia się w kolejnych postępowych krajach Europy – tym razem w Belgii. Otóż chodzi o czterodniowy tydzień pracy.

Już się ucieszyliśmy, iż oznacza to mniej i że pewnie niedługo Unia każe, aby było tak i w Polsce, ale nie. Chodzi o cztery dni po 10 godzin roboty, zamiast pięciu dni po 8. Sprawdziliśmy – to tyle samo (na kalkulatorze, możecie nam zaufać).

Cóż, widać więc, że postęp postępuje powoli. Docelowo chcielibyśmy jednak dwudniowego tygodnia pracy, ale nie po 20 godzin, of kors, tylko gdzieś po 4, żeby się jednak nie zatyrać. Ale, of kors, płatnego jak za normalny 5 x 8, inaczej to żaden interes. ©©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Plan na Nobla

Donald? Halo?

Tak, słucham. Czy to...

Lechu mówi przecież, nie poznajesz? Donek, mnie siem to bardzo nie podoba, żeś ty mnie nie zaprosił do tych swoich dyskusji. Bronka żeś zaprosił, Olka żeś zaprosił, a Lecha żeś nie zaprosił?

Nieładnie!

A to jest twój numer, ten, z którego dzwoniś teraz?

No przecież nie Bańdena, tego z USA, wiesz którego.

A... bo widzisz, nie zaprosiłem cię, bo właśnie twój numer mi gdzieś wsiąkł i tak jakoś...

W bańbuko to ty możesz robić swoje Gośkie, a nie mie.

Jak Boga kocham...

Oj, ty nie wzywaj imienia Pana Boga swego nadaremno! Ale do brze, nie wzięłeś mie, to żałuj. Ja mam akuratnie bardzo dobry plan pokojowy. Na drugiego Nobla. Jaki?

Jadem do Władimira i mu mówiem: Władimir, wojna to niedemokratycznie jest. I pijemy razem, a ja siem piję razem, to siem ludzie zbliżajom. I już nie będzie wojny. Że ja na to nie wpadłem... ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Coraz częściej dochodzę do wniosku, że niestety, ale ogromna część Polaków nie dojrzała do idei, którą niosę”.

PAWEŁ KUKIZ, poseł, w trakcie wywiadu w Radiu TOK FM



Jerzy Karwelis

Coraz bardziej prawdopodobna staje się teza, że wirus to pikuś w porównaniu z tym, co w jego obliczu zafundowała nam władza. Kto powinien za to odpowiedzialność?

Mamy światowy wysyp chęci do rozliczenia za pandemię. Ja chcę się temu przyjrzeć z naszego polskiego punktu widzenia, to znaczy pora wymienić instytucje i nazwiska, które podejmowały krytyczne decyzje co do reakcji na pandemię. Będę się starał wskazać nie tylko źródło kolejnych decyzji, lecz także ich efekty.

Na początku uwaga – rzekłbym – norymberska. Pamiętamy przecież linie obrony oskarżonych, winowajców wojny: „Myśmy tylko wykonywali rozkazy”. To nie ja wysunąłem taką analogię. Główny Inspektor Sanitarny, jeden z ważniejszych, siedzących na naszej (na razie?) wirtualnej ławie oskarżonych, sam powiedział, że przecież procedury i rekomendacje przychodziły z Unii i WHO i on nie mógł postąpić inaczej, bo miał „świąty obowiązek”. Tak? To w takim razie po co nam ten cały system służby zdrowia z sanepidem, agencjami i ministerstwem? Wystarczyłyby tylko tłumacz nadesłanych kwitów, a nie wysoko opłacani funkcjonariusze, którzy bawili się w panów życia i śmierci, by – przyłapani przez okoliczności – zasłaniać się, że oni tylko pilnie nasłuchiwali wieści ze świata.

Pierwsze dni pandemii to decyzje rządowe na poziomie rozporządzeń. Zaczniemy od tego źródłowego...

ROZPORZĄDZENIE O STANIE ZAGROŻENIA EPIDEMICZNEGO

Źródło większości rozporządzeń władz dotyczących pandemii to rozporządzenie o stanie zagrożenia epidemicznego. To poprzez odwoływanie do tego aktu późniejszych regulacji sądy podważają decyzje administracyjne dotyczące łamania obostrzeń. Chodzi o to, że w świetle prawa, przy braku podstawy prawnej, wynikające z niej egzekwowane działania są de facto nielegalne. Na ten temat odbywała się ożywiona dyskusja,



Oskarżam za pandemię

kiedy zostało ogłoszone rozporządzenie ministra zdrowia w sprawie ogłoszenia na obszarze Rzeczypospolitej Polskiej stanu zagrożenia epidemiologicznego (wprowadzono go w życie 20 marca 2020 r.).

Aby móc regulować w takim stopniu praktycznie całość rządzenia państwem w sytuacji wyjątkowej, potrzebna jest ustawa, a nie tylko rozporządzenie. Należało zatem ogłosić jeden z trzech stanów nadzwyczajnych (w tym wypadku stan klęski żywiołowej, art. 228 Konstytucji RP). Bez tego całość rozporządzeniowej „twórczości” późniejszych przepisów nie ma umocowania w prawie i może być obecnie (i w przyszłości) przedmiotem kwestionowania praktycznie wszystkich decyzji władz, gdyż

narusza zasadę legalizmu. W rzeczywistości władze ogłosiły stan, którego nie ma w konstytucji. Był to więc zabieg... językowy.

LOCKDOWN, KWARANTANNY, IZOLACJE, TESTY, DDM

Zaczął się od rekomendacji Głównego Inspektora Sanitarnego z 10 marca 2020 r. Dotyczyła ona przejścia na teleporady, testowania, drakońskich kryteriów selekcji pacjentów do hospitalizacji. Wkrótce przyjęta przez towarzystwa medyczne konkretnych specjalizacji i wydana jako zalecenia procedur. Wiązały się one głównie z powstrzymaniem się od diagnozowania pacjentów, co doprowadzało do tak kuriozalnych

procedur jak zakaz badania matki i dziecka do drugiego roku życia, jeśli któreś z nich miało pozytywny wynik na test covidowy (krajowy konsultant w dziedzinie pielęgniarstwa ginekologicznego i położniczego), rekomendacja, by w trakcie reanimacji „nie udrażniać dróg oddechowych” (Europejska Rada Resuscytacji), czy w końcu sugerowanie procedur leczenia poprzez teleporadę schorzeń stomatologicznych (Polskie Towarzystwo Stomatologiczne).

Od samego początku wymóg kwarantanny spowodował zapaść służby zdrowia, gdyż z powodu pozytywnego wyniku testów wśród personelu zamykano całe oddziały szpitalne, pozbawiając chorych należytej opieki. Odkazanie karet po każdym przewiezieniu nawet podejrzanego o COVID pacjenta wykluczało prawie na dwie godziny pojazd ze służby, co spowodowało m.in. znaczny spadek wyjazdów karet pogotowia do chorych. Wprowadzenie, od początku kwestionowanych co do jakości, testów PCR jako miernika pandemii spowodowało kreowanie kolejnych fal „zakażeń testem”, który obecnie jest już wycofywany jako złoty standard wykrywania transmisji wirusa, jeśli nie towarzyszą mu uzupełniające badania. Bez koniecznych badań obrazu choroby u pozytywnego w wyniku testu pacjenta wprowadzono kuriozalny termin „zakażonego bezobjawowego”, który kazał zdrowym ludziom, pechowo potraktowanym przez nadczuły test, przesiadywać w domowej kwarantannie, powodował medialne fale zakażeń, niepotwierdzone gwałtownym wzrostem statystyki zgonów, aż do czasu, kiedy przysły rachunki za dług zdrowotny, który sobie zafundowaliśmy majstrowaniem procedurami przy koronawirusie, tworząc rzeczywistość pandemii.

Wprowadzono także obowiązek noszenia maseczek, zasadę DDM (dystans, dezynfekcja, maseczki), która nie miała żadnych potwierdzeń w nauce, a stanowiła właściwie już tylko widomy znak istnienia pandemii, bo sami promotorzy tych działań wskazywali ostatecznie jedynie na psychologiczne znaczenie tych obostrzeń. W rezultacie okazało się (badania norweskie), że aby uchronić maseczkami przed zakażeniem się jednej osoby, 200 tys. ludzi musiałyby nosić maseczki przez cały tydzień w sytuacji małej liczby zakażeń. Tak samo legły w gruzach „dowody” skuteczności dezynfekcji czy dystansowania. Dochodziło do absurdów, kiedy noszono

maseczki na otwartej przestrzeni, mąż i żona na spacerze musieli się przemieszczać 2 m od siebie, by potem położyć się do snu we wspólnym łóżku.

Najgorszy był system selekcji w szpitalach. Osoby chore na choroby przewlekłe z pozytywnym wynikiem testu, często bezobjawowe, kierowano na oddziały covidowe, gdzie chory był pozbawiony specjalistycznej opieki związanej z chorobą właściwą. W ten sposób zaczęło przybywać zmarłych, których nie leczono w przypadkach stanów ostrych. W sumie wywołało to praktyczną „tatykę późnego leczenia”. Zarówno system ochrony zdrowia przetrzymywał chorych na kwarantannie, nie diagnozował (teleporady) ich stanów, co prowadziło w przypadkach stanów ostrych do zbyt późnej interwencji, a na dłuższą metę potęgowało to dług zdrowotny. Z drugiej strony – chorzy straszeni codziennie medialnymi kadrami z umierającymi pod respiratorami, słysząc, co się dzieje w szpitalach, do końca odraczali decyzję o telefonie na pogotowie, desymulowali objawy nawet przy teleporadach. W ten sposób nożyce zdrowotne rozeszły się w nadmiarowe zgony, niekoniecznie chorych na COVID.

Ostatnie badania amerykańskie wykazały, że osiągnięto tylko 2,9 proc. redukcji zgonów poprzez stosowanie kwarantann i izolacji. Koszty tego „zysku” są niewspółmierne do tak niewielkiej korzyści.

HOSPITALIZACJE

Omówione już kwestie ograniczeń przyjmowania do szpitali powodują kolośną zapaść służby zdrowia. Do tego dochodzi proceder ujednolicienia szpitali. Czyli przerabiania szpitali i oddziałów specjalistycznych na covidowe. Powodowało to przerywanie trwających procedur i terapii, odwoływanie i przekładanie operacji oraz blokowanie przyjęć do szpitali nowych chorych (poza covidowymi). 13 marca 2020 r. podjęto w Ministerstwie Zdrowia pierwsze decyzje ujednolicienia szpitali. Na covidowe przemianowano 21 szpitali. Najgorzej wypadło to 10 października 2020 r., kiedy minister zdrowia przekształcił szpitale trzeciego poziomu w tzw. szpitale koordynujące, co miało dać zysk dodatkowych 4 tys. łóżek. To wtedy widzieliśmy w telewizji kolumny karet czekających na przewiezienie pacjentów do innych szpitali, by zrobić miejsce covidowcom. Jednak najczęściej spowodowane procederem odwożenia pacjentów do domów. Wówczas właśnie

ruszyły zgony nadmiarowe (połowa października–połowa listopada 2020 r.) – ponad 40 tys. nadmiarowych zgonów, z ok. 5-procentowym udziałem w nich zgonów na COVID.

Doszło do paranoi w hospitalizacji. W szpitalach w czasie pandemii leczenie szpitalne zakażeń wirusem wywołującym zapalenie płuc spadło o 23 proc., niewydolności oddechowej o 28 proc., porad w POZ o 11,5 proc. (łącznie z teleporadami). O 30 proc. spadła liczba świadczeń w trybie doraźnym na oddziałach ratunkowych, o 25 proc. spadła liczba osób tam przyjmowanych. Spadek hospitalizacji wyniósł 33,9 proc., a osobodni [pobyt pacjenta na oddziale stacjonarnym lub dziennym – przyp. red.] spadły o 24,5 proc. Najsilniejsze spadki hospitalizacji miały miejsce w miesiącach największej fali paniki (w marcu 2020 r. – o 22,1 proc., w kwietniu – o 41 proc., w maju – o 31,7 proc., w krytycznych październiku 2020 r. – o 35 proc. i grudniu – o 29,4 proc.). Ludzie umierali w domach, gdzie zmarło poza szpitalami w kwietniu ponad 26,6 proc. więcej osób niż w 2019 r., a w październiku – 82,2 proc., w listopadzie – 176,4 proc. i grudniu – 99,6 proc. więcej niż w odpowiednich miesiącach roku poprzedniego. W sumie w 2020 r. zmarło w domach, poza szpitalami, o ponad 70 tys. ludzi więcej niż w odpowiednich okresach poprzedniego roku.

Ku zaskoczeniu okazało się, że te wszystkie alarmistyczne wieści, że szpitale się zatykają covidowymi chorymi, okazały się wierutnym kłamstwem. Jeśli średnio wykorzystanie łóżek od roku 2010 wynosiło ok. 65 proc., to w pandemicznym roku 2020 wyniosło tylko 54,5 proc. W liczbach wynosiło to ok. 76 tys. łóżek, a w 2020 r. o 15 tys. więcej było niewykorzystanych łóżek szpitalnych. Niestety, proceder ten był kontynuowany mimo alarmistycznych wieści o hekatombie niecovidowych zgonów nienormatywnych.

Dług zdrowotny, obok ujednolicienia szpitali, jest główną przyczyną pandemii realnych zgonów, spowodowanych błędnymi decyzjami administracyjnymi, nie COVID.

DOBRY SAMARYTANIN I DODATKI COVIDOWE

28 października 2020 r. Sejm przyjął ustawę o COVID-19. Między innymi przeszła w niej „klauzula o dobrym samarytaninie”. Nazwa jest wręcz żartobliwa, bo

■ zwalniała medyków z odpowiedzialności karnej za błędy medyczne i zaniedbania w stosunku do pacjentów.

W dodatku już trzy dni później, 1 listopada 2020 r. (nieciekawy zbieg daty ze świętem Wszystkich Świętych), decyzją ministra zdrowia wprowadzono specjalne dodatki w wysokości 100 proc. uposażenia i osobne premie za dyżury covidowe. Za każdy „bezpośredni i nieincydentalny” kontakt z pacjentem covidowym. Wprowadzano także specjalne dodatki dla szpitali za wyodrębnianie oddziałów covidowych. Powoli służbie zdrowia pandemia zaczęła się opłacać i całe środowisko medyczne było zainteresowane tym, żeby ten nadzwyczajny stan (wysokie pensje i brak odpowiedzialności za pacjentów) trwał jak najdłużej. Wkrótce z wielu placówek służby zdrowia zaczęły dochodzić sygnały o ignorowaniu pacjentów, wrogości w przyjmowaniu i obsługiwaniu chorych, co jeszcze wzmacniało chaos w służbie zdrowia wyposażonej w procedury, które – decyzjami administracyjnymi – odgradzały pacjentów od służby zdrowia i możliwości otrzymania pomocy.

EDUKACJA

Jedną z pierwszych ofiar decyzji sanitarystycznych to edukacja. 11 marca 2020 r. ukazuje się rozporządzenie rządu o zamknięciu szkół i uczelni. Zamykanie dostępu do edukacji pojawia się praktycznie w większości wersji obostrzeń kolej-

nych fal. Te nieuzasadnione względami epidemiologicznymi decyzje szczególnie bulwersują rodziców, gdyż w przypadku małych dzieci wymagają dodatkowej opieki ze strony rodziców, czyli przerywania pracy. W późniejszych stadiach, gdy wprowadzono wysyłanie całych klas czy szkół na kwarantannę z powodu zakażenia (testem) pojedynczego ucznia czy nauczyciela, kwestia przybrała postać pełzającego lockdownu, bo pośrednio godziła w gospodarkę, zmuszając tysiące rodziców albo do opieki nad dzieckiem w domu, albo do kwarantanny jego rodzica, skoro dziecko było chore.

Władze nie wycofały się z tych decyzji, ba – brnęły w zamykanie szkół, choć badania dowodziły braku korelacji pomiędzy zamykaniem szkół a powstrzymaniem transmisji wirusa. Polska przoduje w Europie, jeśli chodzi o liczbę tygodni zamknięcia szkół.

Rezultaty takich działań są co najmniej dwoiste. Znacząco spada już poziom nauczania, hodujemy całe pokolenie niedouczonej dzieci. Wzrastają też problemy psychiczne wśród dzieci odizolowanych od interakcji z rówieśnikami, otoczonych zamaskowanymi twarzami, z których nie mogą się uczyć empatii związanej z rozpoznawaniem emocji. Badania wykazały m.in.: dwukrotny wzrost liczby depresji wśród dzieci i młodzieży, 20 proc. więcej stanów lękowych, 120 proc. wzrostu zaburzeń odżywiania,

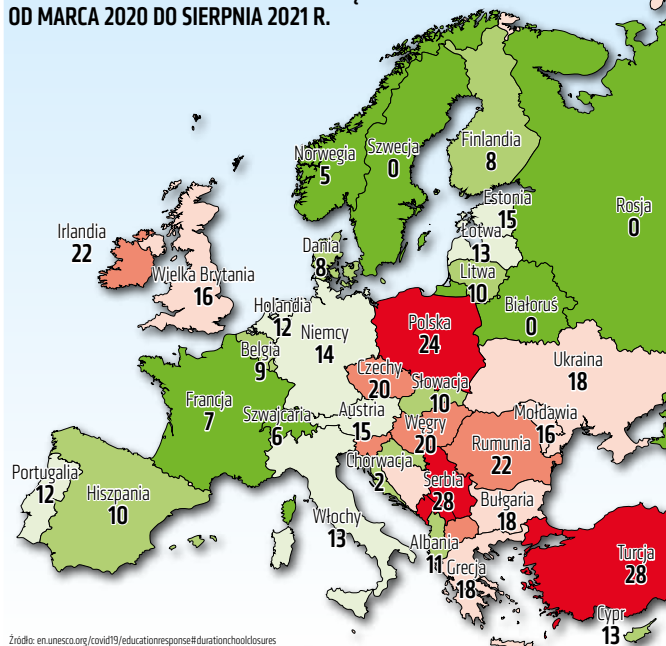
pierwsze miesiące 2021 r. wykazały wzrost o 51 proc. prób samobójczych wśród dziewczynek.

LOCKDOWNY

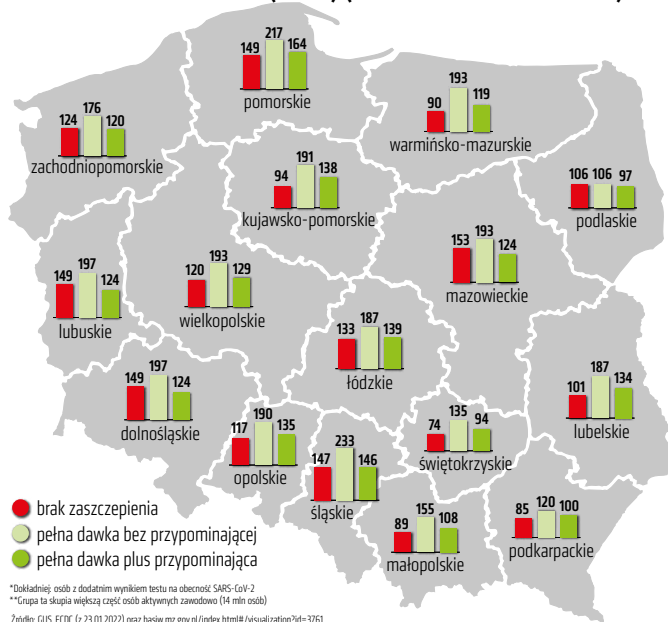
13 marca 2020 r. rząd wprowadza pierwszy lockdown, czyli ograniczenia w prowadzeniu działalności gospodarczej wybranych branż. Potem ten „spół” na pandemię będzie kontynuowany, zmieniany, jeśli chodzi o zasady i branże, których dotyczy. Reguła jest jednak ta sama – jest to próba ograniczenia kontaktu z zakażonymi w miejscach przebywania dużych grup ludzi, czyli głównie w usługach. Podstawy tych decyzji są kompletnie nienaukowe, intuicyjne i niekonsultowane z danymi branżami co do ich zasadności skutków dla biznesu.

W początkowej fazie pandemii mieliśmy do czynienia ze ścisłym lockdownem, kiedy pracowały praktycznie jedynie służby utrzymania infrastruktury i sklepy z żywnością (pandemia jakoś szczególnie omijała sieciowe sklepy, gdzie – mimo kontaktu z wieloma ludźmi – nikt nie słyszał o jakimś ognisku koronawirusa). Później obostrzenia luzowano i przerzucano pomiędzy branżami, a że dotyczyły głównie usług, to dotknęły przede wszystkim małe przedsiębiorstwa, czyli załazek klasy średniej. Kryteria wyboru branż były wręcz anegdotyczne, bo np. o kwestii zamknięcia zakładów fryzjerskich zadecydowało to,

LICZBA TYGODNI CAŁKOWITEGO ZAMKNIĘCIA SZKÓŁ OD MARCA 2020 DO SIERPNI 2021 R.



ŚREDNI DZIENNY WSKAŹNIK ZAKAŻEŃ* NA 100 TYS. OSÓB W POLSCE W DNIACH 25.01-7.02.2021 R. (14 DNI) (GRUPA WIEKOWA 25-49 LAT**)



*Dokładniej osoba z dodatnim wynikiem testu na obecność SARS-CoV-2
 **Grupa ta skupia większość części osób aktywnych zawodowo (14 mld osób)
 Źródło: GUS, ECDC (z 23.01.2022) oraz basim.rz.gov.pl/index.html#/visualization?id=3761

że na spotkaniu amerykańskiego odpowiednika Rady Medycznej ktoś powiedział o smutnym losie zakażonych dwóch fryzjerów w zakładzie w Milwaukee.

Władze zorientowały się niedawno, że lockdowny nie działają. Może zaczęły sięgać do badań, które od początku kwestionowały ich skuteczność i niewspółmierne koszty w stosunku do korzyści. Ostatnie badania wykazały pomijalny wpływ na ograniczenia śmiertelności wirusa (0,2 proc.). Jednak ciągle trzymamy się testów, czyli obłędu testowania się i wynikających z tego obowiązków kwarantann i izolacji, powodowało, że w ostatnim okresie mieliśmy ponad 1,5 mln ludzi pozamykanych w domach, najczęściej bezobjawowych. Jeśli dodać do tego konieczność opieki nad dziećmi, którym zamykano szkoły z powodu pozytywnych wyników testów w jakiejś klasie czy pokoju nauczycielskim, to mieliśmy do czynienia z pętlającym lockdownem.

TARCZE

Rząd, wprowadzając lockdown, postanowił zareagować, by sprostać problemowi, który sam stworzył. 16 kwietnia 2020 r. uchwalono pierwszą tarczę antycovidową, która była później wielokrotnie wznawiana. Zmieniają się reguły, kanały dystrybucji, branże chronione. Niektóre dostały pomoc za niską, niektóre za późno. Po kolejnych obietnicach, wezwaniach do solidaryzmu, że „jeszcze tylko (kolejne) dwa tygodnie”, firmy tracą. W nierozpoznanym slalomie decyzji lockdownowych, podejmowanych w ostatniej chwili, przedsiębiorcy nie wiedzą, jak mają planować zakupy, stany magazynowe i zatowarowanie sklepów.

Jest ciężko, szczególnie w branżach hotelarskiej i restauracyjnej. Cierpią siłownie, zakłady fryzjerskie i kosmetyczne. Jednak PKB po załamaniu w drugim kwartale 2020 r. odbudowuje się i Polska szybko nadrabia zaległości, co stanowi chlubny wyjątek w Europie. Ten wzrost jest budowany na dobrym eksporcie do krajów, którym produkcja spada w czasie COVID. Do tego dochodzi spora konsumpcja wewnętrzna, kiedy wyposażone na kolejnych kwarantannach fale konsumentów rzucają się do sklepów, by zaoszczędzone na covidowym poście pieniądze wydać na utęsknione dobra.

W końcu rząd wydaje na wszystkie tarcze ponad 187 mld zł, dodajmy – na rezultaty lockdownów, których znaczenie epidemiologiczne było pomijalne.

W obecnym czasie ta góra (pustych) pieniędzy jest mocną podstawą inflacji dochodzącej do 10 proc. Czy uratowało to polskie firmy? Rachunki za dług lockdownowy przychodzą dopiero teraz. Gdy się przeanalizuje bilans firm zamkniętych i nowo zakładanych w roku 2021, wychodzi prawie na zero. Dopiero w grudniu 2021 r. zamknięcia firm strzelają w niebo do bilansu minus 35 690.

Jeśli dodamy do tego wiele potencjalnych decyzji o zamknięciu biznesu związanych z wprowadzeniem na przełomie roku Polskiego Ładu, który nie wiadomo, dlaczego uderzył w najbardziej poszkodowaną COVID klasę średnią, to przyszłość tej ważnej grupy społecznej, będącej najlepszym płatnikiem podatków i pracodawcą, staje pod znakiem zapytania.

SZCZEPIONKI

Bardzo dziwnie wygląda też sprawa szczepień, bo właściwie wychodzi na to, że decyzję o dopuszczeniu szczepionek w Polsce podjęła instytucja europejska – EMA, Europejska Agencja Medyczna. Gdy się śledzi losy polskich decyzji w tym obszarze, to trafia się oczywiście do organu odpowiedzialnego za dopuszczanie leków na rynek polski, czyli Urzędu Rejestracji Produktów Leczniczych, Wyrobów Medycznych i Produktów Biobójczych pod przewodnictwem pana Grzegorza Cessaka. Ale ten nie podejmował w tym względzie decyzji, tylko tłumaczył na polski informacje rzeczzonej EMA, że ta rekomenduje np. używanie w Europie szczepionki Pfizera (publikacja z 23 grudnia 2020 r.) czy już wydaje decyzję (publikacja z 6 stycznia 2021 r.) o używaniu szczepionki Moderna.

Przed pandemią słyszałem cuda o tym, jak to polskie instytucje długo i szczegółowo badają byle lekarstewko na kaszel, które jest sprzedawane gdzieś od lat. Że to długo trwa i pieścimy się z różnymi badaniami klinicznymi w kilku fazach. A tu – proszę: pstryk i jest. A to oznacza, że... cała instytucja jest psu na budę, skoro do dziś w Polsce nie przebadano nawet składu jednej dawki tego preparatu, a zaordynowano go całemu społeczeństwu w obrzydliwej mieszance nachalnej propagandy i „przymusowej dobrowolności”. W dodatku mówimy o preparacie eksperymentalnym, o badaniach nieukończonych, dopuszczonego warunkowo, jakby efekty jego możliwych szkodliwych działań dało się odwołać.

Nikomiu w Polsce nie drgnęła powieka, kiedy wprowadzano te produkty, w panice nawet się o nie zabijaliśmy, a kwestia jej polskiej skuteczności stała się wręcz tematem politycznym, gdy opozycja oskarżyła władze o opiekałość w staraniu się o ten nieznaną przecież eliksir. Niepożądane odczyny poszczepienne (NOP) wypierano tak absurdalnymi argumentami, że jeden z ekspertów medycznych posunął się do kuriozum, gdy oświadczył, że nikt od szczepionki nie umarł, bo na razie nikt taki się nie zgłosił. Podczas gdy np. w USA NOP-y przekroczyły już milion wypadków – u nas zero. Mamy więc trzy wyjścia – albo oni tam dostają jakąś berbeluchę w ramię, albo my jesteśmy z lepszej genetycznie gliny. Wybieram trzecie wyjście – nasz system zgłaszania, zbierania i raportowania NOP-ów jest taki, że szczepionki u nas nie powodują żadnych efektów ubocznych.

Okazało się, że nie da się na dłuższą metę utrzymać mitu o skuteczności szczepionek w zastopowaniu pandemii. Zaczęło się w krajach o większym stopniu zaszczepienia, gdy coraz więcej w szpitalach przybywało chorych zaszczepionych, aż zaczęli stanowić tam większość. Runął też mit, że OK – może transmisji nie powstrzymuje ta szczepionka, ale stany ostre, a już zgony to na pewno. Przykład Izraela, który najwcześniej zaczął się szczepić na masową skalę, a który ma obecnie rekordy zgonów wśród osób zaszczepionych, pokazuje, że nie ma to sensu. Fala zakażeń osób zaszczepionych doszła już do Polski, gdzie zaszczepieni stanowią znaczącą większość wśród zakażonych.

A my co? Zostaliśmy z tymi kilkunastoma milionami niezdalnych (przynajmniej na omikrona) szczepionek, jak Himilbach z angielskim. I może dlatego rozdaliśmy innym to dobro na poziomie miliarda złotych. A kto bogatemu zabroni? A skoro zacząłem od pana Cessaka, to nie sposób pominąć go jako człowieka, który zgłosił Polskę do puli pięciu krajów, które wystąpiły o prawo do testowania tych specjalów na dzieciach. Od szóstego miesiąca życia.

NIE LECZYMY

Okazało się, że nie leczymy. Dopracowaliśmy się, w wyniku omówionych procedur, kuriozum, że trzeba być zdrowym, by cię przyjął lekarz. Za to Polska miała i ma swój cudowny lek na

koronawirusa, bo odkrył jego dobroczynne działania w terapii dr Bodnar. W swej poradni (nigdy jej nie zamknął przed chorymi) wyleczył amantadyną kilka tysięcy osób. W normalnych warunkach zleciałoby się do niego stado naukowców, lekarzy i decydentów, by sprawdzić, czy i jak to działa. Przeprowadzono by natychmiast badania, szybkie, bo nie trzeba byłoby badać jej szkodliwości, gdyż jest ordynowana oficjalnie od lat 30. Jednak zamiast tego Ministerstwo Zdrowia 30 listopada 2020 r. wydało rekomendację, by nie stosować i nie przepisywać pacjentom amantadyny w terapii przeciwko COVID.

Zamiast zbadać sprawę, nastano na leczącego lekarza Izbę Lekarską i... Rzecznika Praw Pacjenta, o którym nie słyszałem, by wszczął jakąś spektakularną sprawę przeciwko „dobrym samarytanom”, przy których niektórzy z „łowców skór” z Łodzi to aniołki. Za to medyka leczącego pacjentów zaatakował ich rzecznik. Badania nad szczepionką i jej kolejnymi wersjami przeleciały jak woda przez gęś, a badania znanej przecież amantadyny wloką się do dziś, choć ostatnio wspomniany pan Cessak... z satysfakcją ogłosił, że amantadyna nie leczy (po wątpliwej jakości badaniach opublikowanych przypadkiem dwa dni po tym, jak rząd... zamówił „prawdziwe” lekarstwo od Big Phary). Doktor Bodnar należy do grupy lekarzy, którzy jeszcze wysoko trzymają sztandar przysięgi Hipokratesa i chcą leczyć ludzi. Fakt, że takich ludzi się prześladowa, że tropi się wszelkie próby znalezienia lekarstwa na koronawirusa, a pojawiające się optymistyczne dane w tej sprawie zakrzykuje się lub przemilcza, każe myśleć, że zarządza-

jący zdrowiem publicznym niekoniecznie mają je w swoich priorytetach na pierwszym miejscu, przed interesami Big Phary.

PODSUMOWANIE

Jakie są efekty takich błędów, żeby chociaż zaniechać? Po pierwsze, nadmierne zgony, w dodatku praktycznie bez wpływu ze strony COVID. Od początku swojego „Dziennika zarazy” obawiałem się, że wirus jak wirus, ale jeśli zaczniemy z nim walczyć, to rozregulujemy i tak kłękoczącą po tyłu reformach służbę zdrowia i trafi nas pandemia naszej własnej reakcji. Znalazłem wykres, który porównał skalę wzrostu zgonów w pandemii z dwóch lat ze średnią z ostatnich 10 lat. Wyszło prawie 200 tys. ponadnormalnych zgonów.

Gdy się przyjrzyć bliżej, widać, kiedy to się działo i z jakiego powodu. Covidowe śmierci były prawie pomijalne w tym wzroście, te nadmiarowe są idealnie skorelowane z grzebanieniem w systemie służby zdrowia, ujednolicieniem szpitali, wywalaniem do domu w trakcie terapii i nieprzyjmowaniem chorych do szpitali.

To efekt impulsowy, pod warunkiem że tego rodzaju praktyki nie będą kontynuowane, a były i są powtarzane, kiedy już wszyscy widzieli, co i dlaczego działo się w IV kwartale roku 2020. I dalej jechano z tymi samymi „sposobami na COVID”. Drugi efekt, który z nami zostanie na dłużej, to dług zdrowotny, bomby zegarowe przenoszonych chorób, które dopiero teraz będą wybuchać przez najbliższe lata jako efekt zaniedbań diagnostycznych i utraty odporności w wyniku niepotrzebnych kwarantann totalnych. Mamy bowiem

do czynienia z masową utratą odporności, do której mogą dojść opóźnione i niewiadome co do swej skali problemy zaszczepionych.

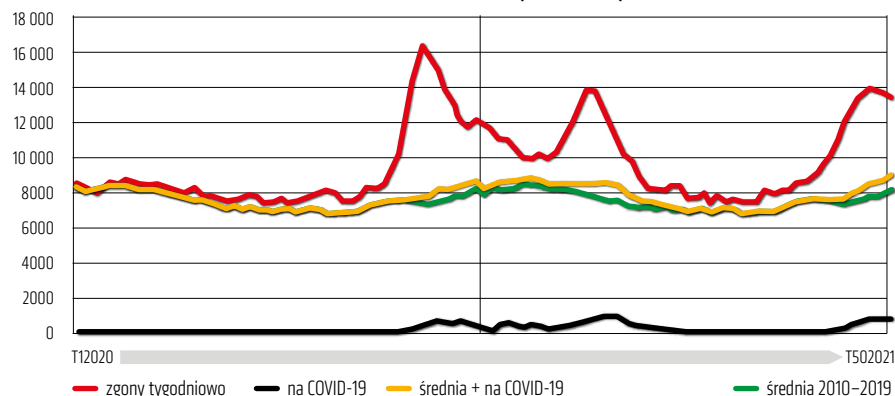
Mamy więc zgrzebny rachunek krzywd, listę błędów, wydanych decyzji, winnych. I co teraz? Niektórzy będą wypierać, że dobrze chciano, że gdyby nie zrobiono tak, to byśmy mieli rzeczone trupy na ulicach (co się łatwo weryfikuje statystykami krajów o innych strategiach), że oni tam mają lepszą służbę zdrowia, wreszcie – że trzeba się cieszyć, że przeżyliśmy, a nie mściwie i małostkowo tropić tych, którzy o nas walczyli. Inni powiedzą, że to racja, ale nie ma co się trudzić. Nie ma takiego trybunału, przed który można zaciągnąć możliwych tego świata. Inni będą mówili, że Norymberga 2.0 to za mało za takie zbrodnie. Ciekawi mnie, co z tym zrobi świat, co z tym zrobią Polacy.

Mnie się wydaje (w wersji optymistycznej), że wielu na początku narobiło tyle wielkich błędów, że nie starczyło odwagi – w świetle napływających faktów – by stanąć w prawdzie i powiedzieć: „Stop! Pomyliliśmy się”. I że od dłuższego czasu decydenci wiedzieli, że robią źle, ale sami się pakowali w lejek kontynuacji, w dług własnych błędów, do których, również politycznie trudno się było im przyznać. I tylko dlatego to się tak długo ciągnęło (i ciągnie?), choć już chyba wszyscy wiedzieli, że to największa ściema w dziejach świata.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

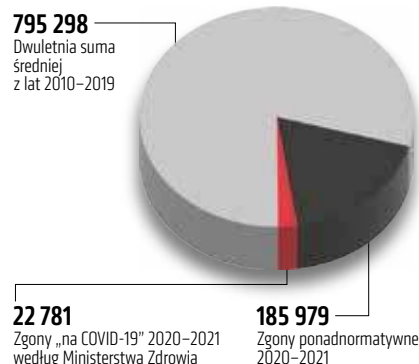
W artykule użyłem materiałów pochodzących od Pawła Basiukiewicza, Pawła Klimczewskiego i Marka Sobolewskiego, którym serdecznie dziękuję.

ZGONY W POLSCE OD 2020 R. TYGODNIOWO NA TŁE ŚREDNIEJ 10-LETNIEJ



Źródło: GUS, opracował panelklimczewski.pl

ZGONY W POLSCE W LATACH 2020–2021 NA TŁE ŚREDNIEJ 10-LETNIEJ



Źródło: GUS, opracował panelklimczewski.pl

Bank Pekao obniża marże kredytu mieszkaniowego



Planujesz zaciągnięcie kredytu hipotecznego? Bank Pekao S.A. przygotował nową promocję. Osoby, które do końca marca złożą wnioszek o kredyt mieszkaniowy, otrzymają niższą marżę i dzięki temu będą mogli otrzymać kredyt z niższym oprocentowaniem. A to nie wszystko! Sprawdź, na co dokładnie mogą liczyć poszukujący finansowania

Decyzja o zaciągnięciu kredytu hipotecznego to poważne zobowiązanie na co najmniej kilkanaście lat. Powinna być więc przemyślana i dokładnie skalkulowana. Comiesięczne spłacanie rat oraz długi okres kredytowania wiążą się bowiem z dodatkowymi kosztami, takimi jak odsetki czy prowizje. W skład całego długu wchodzi także marża kredytu hipotecznego.

– W świetle obecnych zmian stóp procentowych warto podkreślić, że marża jest stałym elementem oprocentowania i niezależnie od przyszłych zmian stóp procentowych pozostanie niezmienna w całym okresie trwania kredytu, dlatego warto na nią zwrócić uwagę. Kredyt mieszkaniowy to zobowiązanie na wiele lat i należy dokładnie sprawdzać wszystkie koszty związane z udzieleniem kredytu – podkreśla Piotr Gołąb, dyrektor Departamentu Produktów Kredytowych Klienta Indywidualnego w Banku Pekao S.A.

BANK PEKAO Z NAJBARDZIEJ KONKURENCYJNĄ OFERTĄ NA RYNKU

Ceny mieszkań rosną z miesiąca na miesiąc. Podobnie stopy procentowe, a wraz z nimi raty kredytów hipotecznych. W odpowiedzi na trudną sytuację

na rynku Bank Pekao S.A. przygotował nową ofertę kredytów hipotecznych z obniżoną marżą, która jest jedną z najbardziej konkurencyjnych na rynku.

Klienci, którzy do końca marca złożą wnioszek o kredyt w Banku Pekao S.A., otrzymają niższą marżę – od 1,79 proc. Natomiast w sytuacji skorzystania z opcji EKO przy budowie domu – nawet 1,74 proc. A to nie koniec! Dodatkowo, niezależnie od wybranej opcji i wysokości posiadanej wkładu własnego, w Banku Pekao nie ma prowizji za przygotowanie i zawarcie umowy.

Jak tłumaczy Piotr Gołąb, teraz – przy wzroście stawek bazowych – należy zwrócić szczególną uwagę na ryzyko wzrostu oprocentowania w stosunku do możliwości finansowych, które mamy, i uwzględnić je w ocenie tego, na jaką ratę możemy sobie pozwolić. – Warto uwzględnić odpowiedni bufor na potencjalny jeszcze wzrost oprocentowania lub rozważyć skorzystanie z opcji kredytu z okresowo stałym oprocentowaniem – podpowiada.

KREDYT EKO LUB ZE STAŁYM OPROCENTOWANIEM

Bank Pekao wychodzi także naprzeciw oczekiwaniom Polaków, którzy przywiązują dużą wagę do ekologicznych cech mieszkania czy domu. W opcji EKO dom z dodatkowo obniżoną marżą nie wyma-

ga żadnych dodatkowych dokumentów. Wystarczy tylko, że kupowany dom jest wyposażony w przynajmniej jedną z trzech instalacji: pompę ciepła, kolektory słoneczne lub panele fotowoltaiczne. Natomiast przy kredycie budowlano-hipotecznym instalacje muszą być ujęte w kosztorysie prac budowlanych lub kosztorysie na roboty remontowe.

Decydując się zaś na kredyt ze stałym oprocentowaniem, będzie ono wyższe, ale klient zyskuje pewność, że ustalona wartość stopy procentowej, a więc także wysokość comiesięcznej raty kredytu hipotecznego nie zmieni się przez okres pierwszych pięciu lat (60 rat) jego spłaty. Kredytobiorcy mogą przedłużyć spłatę w oparciu o stałą stopę na kolejne pięcioletnie okresy, zgodnie z obowiązującą na dzień składania wniosku ofertą banku.

Co ważne, wszystkie formalności można załatwić bez konieczności wychodzenia z domu. Klienci, którzy nie mają czasu na wizytę w oddziale lub w czasie pandemii obawiają się załatwiania formalności w placówce, mogą wybrać zdalny kontakt z doradcą hipotecznym banku. Wniosek kredytowy oraz wszelkie inne potrzebne dokumenty można przesłać e-mailowo lub z wykorzystaniem bankowości internetowej Pekao24, a wizyty w placówce ograniczyć do jednej – finalnej, podczas której podpisana jest umowa.

– Zapraszamy do kontaktu z infolinią naszego banku lub z dowolną placówką, gdzie wyspecjalizowani doradcy pomogą przeanalizować rozważane oferty i wskazać te, które będą najlepiej dostosowane do potrzeb i możliwości klienta – puentuje Gołąb.



FOT. ARCHIWUM ALEXANDRA TSCHUGGUELA

Po pierwsze, z przesłanek finansowych. Wiemy przecież, że papież Franciszek spotykał się dyskretnie z prezesem Pfizera, by omawiać pewne sprawy, jakiś rodzaj przyszłej współpracy. I druga rzecz – obserwujemy od lat, jak papież oraz krąg jego najbliższych przyjaciół, przez niektórych nazywanych „watykańskim establishmentem”, podążają linią wytyczoną przez globalistów w niemal wszystkich kwestiach, o których rozmawiamy, więc stanowisko Watykanu mnie nie dziwi. Uważam je za niewłaściwe, ale takie właśnie jest.

Czy zgodzi się pan z opinią, że koronakryzys jest częścią projektu inżynierii społecznej, który ma podważyć obecny porządek społeczny i stworzyć nowy totalitarny, z gruntu antychrześcijański ład?

Dokładnie tak jest, z tym że obecny albo – jak niektórzy wolą – stary porządek świata też nie jest już zbyt chrześcijański, a obecna sytuacja jest tylko kolejnym krokiem ku przepaści. Widzimy teraz rzeczy takie jak cyfrowa tożsamość albo szczepionki, które mogą wywołać bardzo poważne skutki uboczne, do tego stopnia, że mogą nawet pozbawiać nas płodności. Z pewnością mamy tu zatem do czynienia z elementami inżynierii społecznej. Widzimy, jak ta agenda jest forсовana przez wszystkie media i rządy państw. W zasadzie przez cały świat, poza paroma wyjątkami, w tym samym czasie, używając tych samych słów, tych samych schematów. Definitywnie coś jest na rzeczy i bynajmniej nie chodzi tu o koronawirusa. Myślę, że architektów tej sytuacji ten wirus w ogóle nie obchodzi.

Gra toczy się o coś więcej?

O wiele więcej, to jest oczywiste. Tak było zawsze. To trochę jak z aborcją – wielu ludziom się wydaje, że feministki mają rację, kiedy mówią: „Chcę decydować o moim ciele, dlatego jestem za aborcją”, pomimo że to kompletny nonsens, bo dziecko jest całkowicie odrębnym ciałem. Jeśli kobieta chciałaby decydować o własnym ciele, to wystarczyłoby, aby na przykład odstawiła pigułki antykoncepcyjne i zaczęła uważnie obserwować cykle własnego ciała albo gdyby zaczęła lepiej poznawać kobiecą anatomię jako taką, a nie z każdym dniem stawiać się coraz bardziej zmaskulinizowana.

Mamy ludzi, którzy z jednej strony mówią, jak ważne jest posiadanie osobistej wolności, a z drugiej dla tych samych ludzi synonimem wolności jest obowiązek szczepień. To jest oczywista sprzeczność.

Ukryta agenda

Z Alexandrem Tschugguelem, założycielem Instytutu św. Bonifacego w Wiedniu, jednym z liderów krucjaty różańcowej w Austrii w intencji ustania pandemii i związanych z nią restrykcji

rozmawiają Ryszard i Tomasz Gromadzcy



RYSZARD GROMADZKI, TOMASZ GROMADZKI: Czy katolik ma moralne prawo odmówić przyjęcia preparatu na COVID-19?

ALEXANDER TSCHUGGUEL: Oczywiście, że ma. Biskup Athanasius Schneider słusznie zauważył, zwłaszcza ze względu na kontekst aborcyjny, a także fakt, że rząd chce siłą wprowadzić ten preparat do naszych ciał, że to same w sobie wystarczające argumenty dla odrzucenia takiej szczepionki.

Ale papież Franciszek mówi, że przyjęcie tej szczepionki jest „aktem miłości”...

Papież Franciszek może mieć swoje prywatne zdanie na temat szczepionek, ale jego rolę i powołaniem nie jest mówie-

nie nam, czy mamy się zaszczepić czy nie. Jeśli żyje się w królestwie, w którym król stwierdzi, że aspiryna jest lepsza od ibuprofenu, to nie oznacza to jeszcze, że to, co powiedział król, jest prawem stanowionym, więc myślę, że nie powinniśmy sobie za bardzo zaprzętać głowy tymi słowami.

Watykan wykazuje dużą determinację w kwestii promocji szczepień, pomimo wielu wątpliwości i kontrowersji dotyczących preparatów przeciw COVID-19, na przykład powiązań niektórych producentów szczepionek z biznesem aborcyjnym, a także wielu zastrzeżeń podnoszonych przez naukowców co do jej skuteczności i bezpieczeństwa. Skąd zatem pana zdaniem taka determinacja Stolicy Apostolskiej w tej kwestii?

Myślę, że to, co agendy nowego porządku nam przekazują, nigdy nie jest tożsame z ich prawdziwymi intencjami. I myślę, że te agendy będą forsowane bez względu na ich koszty. Pytanie, która agenda jest wystarczająco silna w swoim zamiśle zniszczenia chrześcijaństwa? To z pewnością ta stricte antychrześcijańska agenda. Agenda liberalna dla przykładu, co by o niej nie mówić, daje jednak katolikom pewną przestrzeń do życia. Podobnie agenda czyisto kapitalistyczna, jeśli tylko skupia się na gospodarce. Jednak w dobie obecnego kryzysu mamy do czynienia z zupełnie innym rodzajem ukrytej agendy. Obserwuje się wyraźny wzrost branży pornograficznej, aktywności ruchów transgender, ogromny przyrost aborcji, zwłaszcza tych dokonywanych przez pigułki poronne, na które popyt wzrósł niebotycznie podczas pandemii. To wszystko nie jest dziełem przypadku.

Jak na zagrożenia, które stoją za tą ukrytą agendą towarzyszącą pandemii, powinni reagować katolicy?

Powinniśmy odmawiać Różaniec, myślę, że najlepiej publicznie i z regu-larnością. My to robimy raz w tygodniu. W Austrii jest nas już kilka tysięcy. Was proszę o to samo. Myślę, że to bardzo waż-

ne. Powinniśmy także stawiać w obronie naszej wiary i uważam, że nie powinniśmy rozgraniczać wiary od polityki. Kościół od państwa – może i owszem, ale nie wiary od polityki. A jeśli ludzie zapytają nas: „Dlaczego to robicie?“, to odpowiadaj-cie: „Bo jesteśmy wierzący“, „Bo chcemy służyć Bogu“.

Austria jest pierwszym krajem w Europie, w którym przyjęto prawo wprowadzające przymus szczepień. Jednak, jak pan wspominał, jest także krajem, w którym podjęliście krucjatę różańcową w intencji ustania tzw. pandemii i represji wobec osób sprzeciwiających się przymusowi szczepień. I o czym mało kto pamięta, Austria ma w swojej historii niezwykle wydarzenie w postaci zwycięskiej krucjaty różańcowej, która uwolniła kraj od rosyjskiej okupacji w 1955 r. Zwycięstwo znowu przyjdzie przez Maryję?

Naturalnie. Ona jest Królową Niebios i jeśli chcemy interwencji Niebios, to możemy to zrobić tylko przez jej wstawien-nictwo. Maryja wówczas wyposaża nas w przymioty niezbędne do zwycięstwa. Jestem przekonany, że zmiażdży naszych nieprzyjaciół. Z pewnością. Zobaczymy, jak będzie, ale tak zawsze się działo w hi-storii. Więc czemu nie miałyby się stać i tym razem? Coraz więcej ludzi utwier-

dza się w przekonaniu, że aby podołać temu obecnemu zamętowi, człowiekowi potrzeba prawdziwego nawrócenia i bycia autentycznym katolikiem. Trzeba wspierać prawych kapłanów i odważnych, szcze-rze oddanych ludziom liderów. Ateistom jest o wiele trudniej odnaleźć się w tym wszystkim. W dzisiejszych czasach Bóg wymaga od nas o wiele więcej misyjnego zapału niż w minionych dekadach.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Alexander Tschugguel – (ur. 1993), założyciel Instytutu Świętego Bonifacego w Wiedniu – oddolnej inicjatywy austriackich katolików podjętej w 2019 r. jako odpowiedź na Synod Amazoński w Watykanie i jego postulaty. Instytut skupia się na obronie życia poczętego, przeciwdziałaniu seksualizacji dzieci i młodzieży w austriackich szkołach. Wiosną 2020 r. wraz z ogłoszeniem przez WHO pandemii koronawirusa Instytut sprzeciwił się odbieraniu przez rząd swobód obywatelskich pod pretekstem pandemii oraz obowiązkowi szczepień przeciw COVID-19. Od kilku miesięcy Instytut organizuje cotygodniową inicjatywę modlitewną „Różaniec za Austrię”, połączoną z procesją ulicami Wiednia. Tschugguel zasłynął z tego, że podczas Synodu Amazońskiego wykradł w nocy z bazyliki św. Piotra pogańską figurę Pachamamy i utopił ją w Tybrze.

REKLAMA


**INSTYTUT
LITERATURY**



Wojciech Wencel

Lechoń. Rycerz i faun

Brawurowa biografia
wielkiego poety

zamów książkę na **sklep.instytutliteratury.eu**
z **kodem rabatowym DRz 20% TANIEJ!**

Pogoda dla Konfederacji



Rafał A. Ziemkiewicz

Wolnościowo-endecka dwoistość Konfederacji sprawia, że jako jedyna zachowuje dziś zdolność koalicyjną z dwoma hegemonami sceny politycznej, których krytykuje

Kto wygra wybory? Nasz koalicjant – ten bon mot Waldemara Pawlaka coraz lepiej pasuje do Konfederacji. Partia, w opinii głównych graczy skazana na to, by – jak poprzednie partie firmowane przez Korwin-Mikkego – wiecznie pozostawać na marginesie, zapewne nie wygra następnych wyborów, ale coraz bardziej prawdopodobne staje się to, że od tego, który z plemiennych, tożsamościowych bloków politycznych poprze, zależeć będzie to, który obejmie władzę.

Jedno można stwierdzić na pewno: wszystkie wróżby i przewidywania, które dotyczyły tej formacji, okazały się chybione. Miała w ogóle nie wejść do

Sejmu: weszła, w dużym stopniu dzięki tyleż gwałtownym, co niezręcznym atakom propagandy PiS podczas kampanii wyborczej. Skoro już się tam znalazła, obie główne partie próbowały ją zdusić, otaczając swoistym kordonem sanitarnym: przedstawiciele jej koła poselskiego nie dopuszczano do ważnych spraw, a wszyscy inni posłowie dostali wyraźny i poparty zapowiedzią zdecydowanych sankcji zakaz podpisywania się pod jakiegokolwiek konfederackimi projektami. Jednocześnie, metodami od lat w polskim parlamentarzystwie przeciwnymi, pracowano na skuszeniu do przesadyki konkretnych, wybranych posłów.

Nie wróżyła dobrze Konfederacji wewnętrzna niespójność: zarówno rozbieżności między frakcjami „wolnościowców” i „narodowców”, jak i nasilenie politycznego ekscentryzmu, w czym powoli tracącego na atrakcyjności Korwin-Mikkego godnie zastąpił Grzegorz Braun. Nadal są to jej główne problemy, ale udane prawybor i kampania prezydencka Krzysztofa Bosaka pokazały, że oba środowiska potrafią trzymać swoich harcówników w ryzach, a kilka lat funkcjonowania na scenie politycznej pozwoliło stopniowo wylansować kolejnych liderów – Artura Dziambora, Sławomira Mentzena i in-

nych, poszerzających pasmo dotarcia nowego ugrupowania do wyborców.

OBŚŁUGIWANIE RADYKALIZMÓW

Skuteczna okazała się także polityczna taktyka obsługiwanie radykalizmów: ostro artykułowana wrogość wobec „eurokołchozu”, doprowadzona do granic hysterii krytyka obostrzeń sanitarnych, lockdownu i szczepień. Politykom głównych nurtów, żyjącym w kulcie sondaży i niewyobrażającym sobie, że można otwarcie głosić poglądy w sondażach tych odrzucane przez miążdżącą większość, mówienie „wyjdźmy z UE” w sytuacji, gdy za członkostwem opowiada się ponad 80 proc. badanych, albo krytykowanie walki z pandemią, której miążdżącą większość Polaków panicznie się boi i żąda od polityków działań, a nie najbardziej nawet rozsądnych debat, wydawało się czystym szaleństwem.

Dzięki temu jednak Konfederacja zdołała skonsolidować stabilny, zapewniający przekroczenie progu wyborczego elektorat, po części złożony z różnych grup radykalnych, po części z rozczarowanych jałowością wojny polsko-polskiej byłych wyborców PO i PiS. Nieoczekiwanie na korzyść Konfederacji zaczęło działać to, co w szczytowym momencie owej wojny udaremniało jedną po drugiej kolejne



FOT. TOMASZ JASTRZEBSKI/REPORTER

partia KORWiN, było czystą demagogią. Jednak w ostatnich latach europejskie elity, uznawszy budowę europejskiego nadpaństwa za historyczną konieczność, zwalnającą je z obowiązku szanowania zawartych porozumień i jasno wyrażanej woli większości obywateli państw tworzących UE, faktycznie zaczęły budować czegoś na kształt poprawionego ZSRS – i to z wielką determinacją, by nie oglądać się na koszty, jak tego dowodzi ubiegłotygodniowa decyzja TSUE o oddaleniu polsko-węgierskiej skargi. Paniczne środki podjęte do zwalczania epidemii COVID-19 okazują się zaś z perspektywy czasu daleko bardziej szkodliwe niż sama epidemia.

Rosnąca presja UE na wyrzeczenie się państwowej suwerenności – i to nie za obietnicę dobrobytu, ale w imię niosących zubożenie i obniżenie poziomu życia ideologicznych szaleństw „ratowania klimatu”, agresja Putina, obnażająca nikczemność polityki niemieckiej i bezsilność Unii w sprawach, do których ją powołano, powszechne łamanie wolności obywatelskich w imię sanitaryzmu – te i inne czynniki zmieniają politykę w sposób, który skrajnie niegdyś idee przesuwają do centrum. To nic nowego. Tak samo doszedł do władzy Jarosław Kaczyński. Przez całe lata 90. uparcie trzymał się diagnozy „postkomunistycznego układu” i konieczności jego rozbicia oraz oczyszczenia życia publicznego – i przez całą dekadę ta diagnoza, odrzucana przez większość wyborców, zamykała go na marginesie polityki. Aż do wstrząsu, którym była dla Polaków komisja „rywinowska” i odsłonięty przez nią obraz państwa-fasady, za którym kryją się zgnilizna, korupcja i układy.

Oczywiście pomiędzy wyjściem Kaczyńskiego z politycznej izolacji a sięgnięciem po władzę minęło sporo czasu – Konfederacja nie musi jednak czekać, aż nastroje społeczne zmienią się tak bardzo, by dać jej wynik wyborczy pozwalający na samodzielne rządzenie. W zupełności wystarczy jej wynik dwucyfrowy, w granicach 10–15 proc. A taki, jak wynika z sondaży, jest w jej zasięgu.

DONALD TUSK JUŻ ZROZUMIAŁ?

Jej wolnościowo-endecka dwoistość sprawia, że na scenie politycznej podzielonej ostro na dwa bloki – PiS z Solidarną Polską z jednej, a PO, Hołownia, PSL i Lewica z drugiej strony – Konfederacja jako jedyna zachowuje zdolność koalicyjną z obydwojema krytykowanymi dziś przez nią hegemonami. Widać to już dziś, gdy

narodowcy z Konfederacji zapewniają PiS większość do przegłosowania takich ustaw jak „lex Czarnek”, a jednocześnie jej wolnościowa część zbiera punkty, nie zostawiając suchej nitki na absurdach Polskiego Ładu czy projektowanych restrykcji covidowych. W sytuacji, gdy żaden z bloków nie będzie miał w przyszłym Sejmie większości – a jest to bardzo prawdopodobne – pierwszemu łatwo będzie w razie czego wytłumaczyć wyborcom Konfederacji: „Popieramy PiS jako mniejsze zło, bo najważniejsze to bronić suwerenności przed eurokołchozem”, albo drugiemu: „Popieramy PO jako mniejsze zło, bo najważniejsze to odbudować w Polsce wolność gospodarczą, państwo i prawo”. Przy czym w każdym wypadku będzie temu towarzyszyć obietnica, że skoro PiS (PO) nie może rządzić bez Konfederacji, a ona może koalicjanta zmienić, dopilnuje, aby PiS zszedł z drogi etatystycznej albo PO – z kursu eurofederalnego; a w każdym razie, żeby nie poszły w skrajności.

Z dwóch hegemonów polskiej sceny politycznej najwyraźniej zrozumiał to już ten bardziej cyniczny – Donald Tusk, który nie krytykuje Konfederacji i wysyła dyskretne sygnały gotowości do porozumienia. Wprawia to w panikę Lewicę i sekundujące jej lewicowo-liberalne salony, które zdają sobie sprawę, że z różnych względów Konfederacja byłaby dla Tuska partnerem wygodniejszym (nie mówiąc już o tym, że także, jak wynika z dynamiki sondaży, silniejszym). Stąd wielki propagandowy wysiłek, by zrobić z Konfederacją to, co udało się w wypadku Hołowni, czyli zagonić zawczasu do kojca, w tym wypadku PiS-owskiego. Uporczywe dodawanie przez celebryckie salony do ich ulubionych ośmiu gwiazdek „i Konfederację!” wydaje się jednak bezsilne.

Po stronie Jarosława Kaczyńskiego na razie górę biorą jego szczerza endekofobia oraz stare urazy do Korwin-Mikkego. Ale mniej prominentni politycy Zjednoczonej Prawicy, zwłaszcza Solidarnej Polski, zaczynają już traktować Konfederację jako swego naturalnego (powiedzmy szczerze: jedyne go możliwego) przyszłego sojusznika, wyciszając, mimo medialnej koniunktury, dawne oskarżenia o prorosyjskość.

A samej Konfederacji pozostaje tylko utrzymać dotychczasową popularność i wewnętrzną spójność. Co przy tej dawce politycznego szaleństwa, którą ma ona w swym politycznym DNA, może się okazać poważnym wyzwaniem.

próby stworzenia „trzeciej siły”: oskarżenie ze strony PO o gotowość współpracy z PiS, a ze strony PiS – o gotowość współpracy z PO. Jeszcze niedawno polaryzacja wytworzona wzajemną nienawiścią politycznych plemion była tak silna, że hasło „PiS, PO jedno zło” czyniła gwarancją marginalizacji. Z czasem okazało się, że w oczach pewnej, stale rosnącej części elektoratu symetryczne oskarżenia o gotowość współpracy z drugim plemieniem uwiarygadniają Konfederację jako partię „spoza duopolu”. Tym bardziej że Konfederacja nie pozostaje dłużna, konsekwentnie podtrzymując narrację, w której różnica między PO a PiS jest tylko pozorem, a cała wojna między nimi – wyłącznie socjotechnika, pozwalająca panować nad społeczeństwem „bandzie czworga”, którą w tej narracji stanowi ciche porozumienie PiS z jednej, a PO, PSL i Lewicą z drugiej strony.

Na ten stan rzeczy nie bez wpływu pozostaje fakt, że w obu mocno akcentowanych przez Konfederację obszarach, stosunku do UE oraz do pandemii, zadziałał mechanizm „oszołomy miały rację”. Nazywanie Unii Europejskiej „Związkiem Socjalistycznych Republik Europejskich” i budowanie symetrii „wczoraj Moskwa, dziś Warszawa”, jeszcze w czasach, gdy czyniły to Kongres Nowej Prawicy czy



FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

W oparach absurdu



Jan Fiedorczuk

Kaczyński zabija dla utrzymania władzy, PiS odpowiada za śmierć 200 tys. Polaków, a zamachy na życie krytyków rządu to szara rzeczywistość – oto najnowsza narracja radykalnego antypisu

W minionym roku w Polsce zmarło najwięcej osób od czasów drugiej wojny światowej – ponad 500 tys. (w tym z powodu samego koronawirusa ponad 68 tys.). W styczniu resort przekazał z kolei, że od początku pandemii na COVID-19 zmarło łącznie już 100 tys. osób. Dzierżąc władzę od ponad sześciu lat, PiS bierze odpowiedzialność za stan polskiej wspólnoty i nie uniknie pytań o powyższe wyliczenia. Wilczym prawem opozycji jest z kolei krytykować każde potknięcie rządzących i polska opozycja zdecydowała się skorzystać z tego prawa w całej rozciągłości. Aż do granic absurdu.

FRUSTRACJA I RADYKALIZM

Jakkolwiek cynicznie by to brzmiało, z politycznego punktu widzenia wybuch pandemii mógł być postrzegany przez opozycję jako szczęśliwy traf. Skoro

przez tyle lat nie udało się znaleźć sposobu na Kaczyńskiego, to teraz COVID-19 dokona tego, czego nie potrafili poprzedni liderzy PO i Lewicy. Jednak miesiące mijały, a PiS w sondażach nieprzerwanie wyprzedzał konkurentów.

Opozycja początkowo – jakby pomna poprzednich doświadczeń, gdy to potrafiła przegrzać nawet najbardziej kompromitującą wpadkę rządzących – starała się skupić na krytyce konkretnych zaniechań władzy, wskazując czy to na chaos w służbie zdrowia, czy też na hipokryzję rządzących (słynne wystąpienie premiera, który przekonywał w wakacje 2020 r., że wirusa już nie trzeba się bać). Jednak fakt, że nawet globalna pandemia nie była w stanie zatopić PiS-owskiej łodzi, w naturalny sposób potęgował frustrację w szeregach opozycji i jej zniecierpliwionych akolitów, którzy oczekiwali, że lada dzień poparcie dla PiS się załamie i „znowu będzie tak, jak było”.

„Polski rząd zabija ludzi, biernie przyglądając się pandemii” – alarmował na początku 2021 r. Jan Hartman w „Gazecie Wyborczej”. Jakkolwiek w narracji opozycji od dawna implicite przewijało się powyższe oskarżenie, początkowo nikt wprost nie oskarżał polskich władz o zabijanie obywateli. Opozycja zdawała się rozumieć, że zarzucanie politykom PiS mordowania ludzi jest zbyt kuriozalne dla większości wyborców i najlepsze, co można zrobić, to pozwolić rządzącym, by sami męczyli się z załamaniem służby zdrowia i kryzysem gospodarczym. – Jeżeli dzisiaj rząd przedstawia nowe pomysły, to pytamy, gdzie jest odpowiedzialność za ponad 100 tys. zgonów w naszym kraju? Kto odpowie za to, co się stało? – dopytywał Cezary Tomczyk z KO w maju zeszłego roku.

Po Hartmanie zaczęły się jednak pojawiać podobne głosy i nim ktokolwiek się zorientował, opozycja (partyjna i medialna) na wyścigi zaczęła się przerzucać coraz cięższymi oskarżeniami. Agnieszka Kubik z „Gazety Wyborczej” kilka tygodni temu przeliczyła, że „przez rząd codziennie umiera tyłu ludzi, ilu jest posłów”. Z kolei Radosław Sikorski, pisząc o kolejnych zgonach, zaczął posługiwać się „miarą smoleńską” i porównywał liczbę codziennych zgonów do liczby ofiar katastrofy z 2010 r. „Dziś znowu sześć tupolewów przez kryminalne tchórzostwo

PiS” – to jeden z takich wpisów zamieszczonych przez europośła na Twitterze.

Tomasz Lis błysnął natomiast porównaniem liczby ofiar pandemii do programu „Rodzina 500+”. „W kwestii wzrostu liczby urodzeń w Polsce program »500+« przyniósł efekty mizerne albo żadne. Natomiast w kwestii przyrostu liczby zgonów PiS-owski program »500+« jest realizowany codziennie z nieubłaganą konsekwencją” – napisał naczelny „Newsweeka” pod koniec ubiegłego roku.

Postępująca radykalizacja przekazu była widoczna gołym okiem. Wkrótce zarzuty dotyczące zaniedbań zaczęły być wypierane przez explicite formułowane oskarżenia dotyczące świadomego mordowania Polaków przez złowrogi reżim.

„Rząd nie robi nic, bo boi się stracić poparcie niezaszczepionych. TO jest rzeź. Rzeź Kaczyńskiego” – ogłosił Roman Giertych na Twitterze. „Prawie 800 osób zmarło w ciągu ostatniej doby na COVID-19. To już wygląda jak ludobójstwo” – oceniła kilkanaście dni później Katarzyna Lubnauer.

Z kolei podczas styczniowych obrad Sejmu posłowie Nowej Lewicy wyciągnęli spory transparent, wprost oskarżając rządzących o rosnącą liczbę zgonów.

„Panie prezydencie, panie premierze, drodzy ministrowie! Z przykrością zawiadamiamy o śmierci ponad 100 tys. Polek i Polaków, zmarli na COVID-19. Winę za to ponosi PiS, który ze strachu przed antyszczepionkowcami nie podjął decyzji ratujących życie” – głosił napis na transparencie.

Rzekome 100 tys. ofiar „obciążających PiS” to jednak i tak stosunkowo łaskawy rachunek, gdyż Szymon Hołownia mówi już o 200 tys. „Ci ludzie mogliby żyć – przekonuje lider Polski 2050 – gdyby panie i panowie z PiS dbali o naszą ochronę zdrowia tak, jak dbają o swoje spółeczki”.

Najciekawiej jednak sprawa wygląda nie w Sejmie, tylko na obrzeżach opozycji, gdzie antypisowcy mogą sobie pozwolić na znacznie więcej. I tak prym wiedzie tutaj płk Adam Mazguła, który całkiem wprost pisze, że Mateusz Morawiecki jest po prostu „ludobójcą”, który „morduje” (sic!) setki Polaków dziennie. „Reżim antypolskich katolickich faszystów trwa” – grzmi wojskowy w jednym z niedawnych wpisów.

Dążenie radykalnego odłamu opozycji (rozumianej szeroko jako pewne środowisko polityczno-medialne) do oskarżenia PiS o świadome mordowanie

Polaków brzmi absurdalnie, jednak – na swój dziwny sposób – logicznie. Po tylu latach upokarzających porażek, aby utrzymać nimb swojej rzekomej elitarności, opozycja wymyśla coraz bardziej kuriozalne oskarżenia pod adresem rządzących. Z politycznego punktu widzenia ma to efekt odwrotny do założonego, jednak ten (mówiąc brzydko) imperatyw moralny jest silniejszy od rozumu.

A WIĘC LUDOBÓJSTWO?

Powyższa narracja dotycząca pandemii nie jest jakimś novum i jedynie wpisuje się w szerszą opowieść o „zbrodniczej polityce” rządzących.

„Wiemy już, że dla utrzymania władzy i własnej bezkarności ludzie PiS gotowi są kłamać, prokurować dowody [...], nielegalnie podsłuchiwać. Pytanie, czy gotowi są zabijać? Pytam śmiertelnie poważnie” – zastanawiał się niedawno Radosław Sikorski. O ile europoseł jeszcze się wahał, o tyle już wątpliwości nie ma jego dobry znajomy Roman Giertych. Mecenasek opublikował kilka miesięcy temu nagranie zatytułowane „PiS chciał mnie zabić”, na którym odnosi się do sprawy swojego głośnego zatrzymania przez służby. – Zwracam się do Jarosława Kaczyńskiego i Zbigniewa Ziobry. Panowie, chcieliście mnie zabić, chcieliście mnie zabić publicznie, politycznie, moralnie, chcieliście pozbawić mnie zdrowia, wolności, a być może życia – głosił były wicepremier.

Również Jacek Żakowski zdaje się pozbawiony „złudzeń” Sikorskiego. „[Kaczyński – przyp. J.F.] Zabija, bo chce. Morduje dla posad, dla kasy, by paść swe narcystyczne ego” – pisał publicysta w listopadzie na łamach „Gazety Wyborczej”.

Przykłady podobnych elukubracji dotyczących „zbrodniczych zapędów” PiS można mnożyć. Warto z pewnością wspomnieć o artykule Marka Migalskiego, który kilka miesięcy temu opublikowała „Rzeczpospolita”. Były europoseł, wymieniając kolejne pola morderczej aktywności rządzących, stwierdza ostatecznie, że „prawdopodobnie władze, przez działania i zaniechania, zabiły więcej Polaków niż Stalin oficerów w Katyniu”. Migalski, opisując działania PiS, które miały rzekomo doprowadzić do tej sytuacji, nie skupiał się wyłącznie na pandemii, ale wskazał również na finansowanie TVP, lotniska w Baranowie czy nawet polskiej armii, twierdząc, że te fundusze można było po prostu przekazać na służbę zdrowia. A że PiS na to się nie zdecydował i pom-

puje miliony np. w wojsko? No cóż, zabił więcej niż Stalin w Katyniu. Aż dziwi, że Magdalena Środa twierdzi jedynie, że w kwestii ofiar „to dyktatura Kaczyńskiego ma ich więcej niż Jaruzelskiego”. Na tle Migalskiego czy Mazguły słynna filozof brzmi niemal jak kryptopisowiec.

ZBRODNI I KARA

Pod koniec roku, gdy resort zdrowia poinformował o śmierci kolejnych 709 osób, TVN24 postanowił przerwać regularną transmisję, a na antenie przez 10 sekund wyświetlano bez żadnego dźwięku czarno-białą planszę z hasłem: „Polska 709 zgonów”. Wcześniej na żółtym pasku pojawił się napis: „Zmarło kolejnych 709 osób – Kto za to odpowiada?”. Opozycja totalna nie bawi się jednak w niedopowiedzenia TVN, ponieważ kto odpowiada, to przecież wiadomo od początku. Ważne jest, czy ten ktoś za to faktycznie zapłaci.

W grudniu zeszłego roku Leszek Miller ogłosił konieczność powołania komisji śledczej ds. zgonów. „Po zmianie władzy komisja śledcza jest niezbędna, aby rozliczyć funkcjonariuszy rządu PiS z tragicznych zaniechań” – napisał europoseł.

Tym tropem podążał Donald Tusk. – Odpowiedź za to, za tę niepotrzebną śmierć tysięcy ludzi tylko dlatego, że nie mieliście odwagi albo interesu w tym, żeby respektować rekomendacje powołanej przez was Rady Medycznej – stwierdził lider PO. Groźba Tuska jest tym, czego od sześciu lat oczekuje elektorat wychowany na TVN24. Jest zbrodnia, musi być i kara.

Opozycja może atakować rząd za każde potknięcie. Takie jest jej wilcze prawo. Inną jest rzeczą, czy z tego prawa korzysta rozsądnie. Zapaść służby zdrowia oraz restrykcje będą w naturalny sposób ciążyły rządzącym przez kolejne miesiące aż do wyborów w 2023 r., gdy to Polacy rozliczą ich przy urnach. Opozycja (zarówno partyjna, jak i medialna) zamiast jednak punktować rząd, kolejny raz przegrzewa temat, eksploatując go do granic absurdu. W opowieść o niekompetentnej władzy, która nie udźwignęła wielopoziomowego kryzysu, uwierzy bez trudu większość Polaków (bo i nie trzeba ich szczerzeliwie do tego przekonywać), w narrację o złowrogim Kaczyńskim mordującym obywateli dla utrzymania wpływów nie uwierzy jednak nikt poza wąskim gronem radykałów.

Władza w ręce kuratorów



Młodzi ludzie tańczyli poloneza przed Pałacem Prezydenckim – domagali się weta w sprawie „lex Czarnek” FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM



Kamila Baranowska

„Lex Czarnek” to jedna z najbardziej atakowanych ustaw w tej kadencji. Zarówno politycznie, jak i merytorycznie. Czy słusznie?

Mamy nadzieję, że pan prezydent i jego małżonka nas widzieli. Machamy do nich! Liczymy, że Andrzej Duda nie podpisze tej szkodliwej ustawy. Tylko weto! – apelowali młodzi ludzie pod Pałacem Prezydenckim, tańcząc tam... poloneza. To była forma protestu przeciwko uchwalonej kilka dni wcześniej przez Sejm ustawie nazwanej „lex Czarnek”. Smaczku protestowi dodawał fakt, że na przodzie tanecznego korowodu stanął Franek Broda, prywatnie siostrzeniec premiera Mateusza Morawieckiego, który już wcześniej angażował się w różne antyrządowe akcje.

Ten obrazek to kwintesencja tego, co od wielu tygodni dzieje się wokół nowelizacji ustawy Prawo oświatowe. To jedna z najbardziej oporekstawianych i budzących tak wielkie emocje regulacji przyjętych przez parlament. Opozycja dobrze wyczuła w tej sprawie ogromny potencjał do aktywizacji swoich sympatyków i nie tylko ich, bo akcja

sprzeciwu wobec „lex Czarnek” zatacza coraz szersze kręgi, docierając także do ludzi na co dzień polityką się nieinteresujących.

CIOŚ W „EDUKACJĘ SEKSUALNĄ”

Co się zmieni w funkcjonowaniu szkół, jeśli nowelizacja ministra Przemysława Czarneka wejdzie w życie? Przede wszystkim zwiększy się rola i władza kuratorów oświaty oraz zmienią się zasady funkcjonowania organizacji pozarządowych w szkołach i placówkach oświatowych. W zamyśle ministra, jeśli jakkolwiek organizacja zewnętrzna będzie chciała prowadzić w szkole lekcję, nie wystarczy już samo zezwolenie dyrekcji. Konieczna będzie pozytywna decyzja kuratora oświaty. W świetle nowych przepisów szkoła jest także zobligowana do przedstawienia w kuratorium szczegółowego planu zajęć z konspektami i wszystkimi wykorzystywanymi materiałami dwa miesiące przed planowaną wizytą zewnętrzną organizacji. Co więcej, udział ucznia w zajęciach prowadzonych przez zewnętrznego podmiot będzie każdorazowo wymagał pisemnej zgody rodziców.

Główny zarzut krytyków (z opozycji, ZNP i zawiązujących się ruchów uczniów i rodziców przeciwko nowemu prawu, takich jak choćby Wolne Szkoły) dotyczy zwiększenia wpływu władzy centralnej, czyli ministra, nad szkołami za pośrednictwem kuratorów i ograniczenie tym

samym autonomii szkół, a także wpływów samorządów. Pojawiają się także oskarżenia o... cenzurę. Opozycja oskarża PiS, że jedynym powodem nowelizacji ustawy była walka z edukacją seksualną w szkołach. Trochę w tym racji jest, bo minister Przemysław Czarnek nie kryje, że chciał ukrócić wpuszczanie edukatorów seksualnych i organizacji promujących LGBT do szkół. Uznał, że kontrola nad szkołami to pierwszy krok do zahamowania rewolucji kulturowej, do której przelewica na całym świecie. Przy czym zrobił to dość sprytnie, włączając do procesu decyzyjnego na temat tego, co dzieje się w szkole, rodziców. – Do tej pory było tak, że organizacje pozarządowe wchodziły do szkół za wiedzą, ewentualnie, rady rodziców, która jest tylko jakąś częścią wszystkich rodziców w szkole. Natomiast rodzice najczęściej nie wiedzieli, czego te organizacje pozarządowe uczą w szkołach – mówił minister Czarnek na jednej z konferencji prasowych. I dodawał, że nowymi przepisami „chce postawić temu tamę”.

KURATOR PONAD WOLĄ RODZICÓW?

Choć krytycy „lex Czarnek” nie krytykują wprost zwiększenia wpływu rodziców na to, co się dzieje w szkołach ich dzieci, to jednak zwracają uwagę na to, że ostatecznie i tak decyzja będzie należeć wyłącznie do kuratora. Bo nawet

jeśli większość rodziców wyda zgodę na zajęcia z zewnętrzną organizacją, to kurator będzie mógł je zablokować, powołując się na własną ocenę ich adekwatności do wieku dzieci. Resort edukacji odpierał te zarzuty, podkreślając, że to skupianie się na skrajnych i marginalnych sytuacjach, a w praktyce większość decyzji kuratorów będzie pozytywna.

– Jeśli organizacja pozarządowa chce wejść do szkoły, to dwa miesiące przed tym musi ujawnić program nauczania, materiały, treści, które dzieciom chce przekazywać, tak żeby wszyscy rodzice mieli dostęp do tych projektów i zadecydowali, czy chcą, żeby ich dziecko chodziło na te zajęcia – wyjaśniał minister Czarnek.

Część nauczycieli i dyrektorów odpowiada argumentem, że często muszą działać szybko i nowe przepisy im to utrudnia. Na przykład wtedy, gdy wśród uczniów dojdzie do próby samobójczej i trzeba natychmiast zorganizować serię zajęć z psychologiem czy terapeutą spoza szkoły.

Jednak większość krytyki skupia się także na widocznym zwiększeniu wpływu kuratorów, którzy nie tylko będą decydować, kto i czego naucza w szkole w ramach zajęć zewnętrznych, lecz także będą mogli odwoływać dyrektorów szkoły na podstawie własnej oceny, także w trakcie roku szkolnego. – Chcecie zrobić z kuratorów oświaty funkcjonariuszy waszej służby bezpieczeństwa – grzmiał Rafał Grupiński z Koalicji Obywatelskiej. I mniej więcej w tym duchy utrzymane są opinie polityków opozycji.

Ten zapis miał się także mocno nie spodobać pierwszej damie, z którą spotkały się posłanki Koalicji Obywatelskiej, by namówić ją do przekonania prezydenta, aby zawetował ustawę. Ministerstwo tłumaczy, że „po stronie kuratora nie ma tu żadnej dowolności”, a dyrektor, jeśli poczuje się niesprawiedliwie oceniony, zawsze może pójść do sądu pracy. – Chodzi jedynie o to, by kurator oświaty był wyposażony w narzędzia, dzięki którym będzie mógł bronić prawa rodziców do wychowania dzieci zgodnie z ich światopoglądem – odpowiadał na podobne zarzuty minister Czarnek podczas dyskusji w Sejmie.

Spór o rolę kuratorów i rolę państwa w zarządzaniu szkołami nie jest niczym nowym. Ani PiS, ani Jarosław Kaczyński nigdy nie ukrywali, że ich celem jest wzmacnianie władzy centralnej, bo tylko w ten sposób da się sprawnie zarządzać państwem. Po wzmocnieniu roli wojewodów przyszła kolej na kuratorów. Po

Prezydent jest w niełatwej sytuacji – jeśli zawetuje ustawę, to narazi się partii, jeśli podpisze, to cała krytyka spadnie na niego

drugiej stronie jest filozofia firmowana przez Platformę Obywatelską. To przecież Katarzyna Hall, była minister edukacji w rządzie PO-PSL, zasłynęła swego czasu słowami, że „kuratoria trzeba zlikwidować”. Tak jak swego czasu Grzegorz Schetyna jako szef PO postulował likwidację urzędów wojewódzkich i przekazania kompetencji wojewodów sejmikom.

Ten kij ma jednak dwa końce. Bo z raz uchylonych przez PiS drzwi w przyszłości będą korzystać inni. Jeśli PiS straci władzę, to nowi rządzący będą powoływać własnych wojewodów i kuratorów, którzy będą decydować o tym, kogo wpuszczać do szkół. Nietrudno wyobrazić sobie sytuację, w której wówczas na oścież będą mogli otworzyć drzwi wszelkim seksedukatorom i tęczowym organizacjom, przed którymi chce bronić szkoły minister Czarnek. Przed tym ma ustrzec warunek pisemnej zgody rodziców, którego – na co liczy minister Czarnek – nikt nie odważy się ruszyć.

„Lex Czarnek” to dla opozycji nie tylko wdzięczny, lecz także wygodny temat. Sam Czarnek to kopalnia nie zawsze przemysłanych wypowiedzi, które można do zdumienia przypominać i cytować. Nie pomaga także nadaktywność najbardziej dziś chyba znanej kurator oświaty, czyli Barbary Nowak z Małopolski, która uosabia wszystkie lęki i strachy obozu anty-PiS, związane z nowelizacją prawa oświatowego. Za udaną trzeba też uznać akcję posłów opozycji z szukaniem we wszystkich kuratoriach skarg rodziców na prowadzone w szkołach kontrowersyjne zajęcia (co – jak tłumaczył rząd – dało asumpt do stworzenia nowych przepisów). Barbara Nowak mówiła o 30 tys. e-maili ze skargami, znaleziono kilka. Kontrole we wszystkich kuratoriach pokazały, że jeśli pojawiały się jakieś skargi, to pojedyncze.

SKĄD TA NOWELIZACJA?

Politycznie w sprawie „lex Czarnek” jest co najmniej kilka pytań. Po pierwsze, dlaczego ustawę postanowiono odrzucać właśnie teraz i właśnie teraz poddać ją

głosowaniu, skoro odrzucił ją Senat? Posłowie byli mocno zaskoczeni, bo ustawa pojawiła się w planie głosowań nagle. Najprostsza odpowiedź brzmi, że stało się tak dlatego, iż PiS akurat miał na sali sejmowej większość, a do tego Jarosław Kaczyński potrzebował dowodu na posiadanie większości sejmowej po tym, jak nie udało się przyjąć ustawy dotyczącej wprowadzenia obostrzeń covidowych w miejscu pracy (słynne „lex Hoc”, lecz w zmienionej wersji).

Wiadomo też było, że ustawa ministra Czararka budzi tak ogromne emocje, że na jakiś czas odciągnie uwagę od innych problemów, chociażby tych z Polskim Ładem, które dziś spędzają sen z powiek rządowi Zjednoczonej Prawicy. Choć trzeba dodać, że akurat premier Morawiecki nie jest największym entuzjastą ustawy ministra Czararka.

Jest jeszcze kwestia prezydenta Andrzeja Dudy, który stał się w ostatnim czasie bardzo aktywny, zarówno jeśli idzie o sprawy międzynarodowe i kwestie bezpieczeństwa, jak i te dotyczące na przykład sporu o sądownictwo, w sprawie których spotykał się z opozycją. Prezes PiS – jak spekulują posłowie PiS – mógł chcieć postawić go w problematycznej sytuacji, by jasno określił się, po której jest stronie, i by utrudnić mu kolejne rozmowy z opozycją.

Co robi prezydent? Trudno spodziewać się weta, pamiętając wypowiedzi Andrzeja Dudy z kampanii wyborczej, gdy obiecywał, że zwiększy wpływ rodziców na to, co się dzieje w szkołach. Jeszcze przed drugą turą wyborów prezydenckich w 2020 r. projekt prezydencki wpłynął do Sejmu, gdzie od razu trafił do zamrażarki. Nie było tam, co prawda, mowy o zwiększeniu wpływu kuratorów, ale idea, by wprowadzić dużo większą kontrolę nad tym, kto i czego naucza w szkołach, jest zbliżona. Ponadto szybkie głosowanie ustawy w wersji pierwotnej, bez uwzględnienia zgłaszanych przez pierwszą damę i prezydenta zastrzeżeń, wzbudziło w Pałacu Prezydenckim niesmak i rozczarowanie.

Prezydent jest dziś w niełatwej sytuacji. Jeśli zawetuje, to narazi się partii, a Kaczyński potraktuje to jako wypowiedzenie wojny. Jeśli podpisze, a nawet skieruje do TK, to cała fala krytyki, która dziś skupia się na ministrze Czararku i kuratorze Nowak, przejdzie na niego. Głowa państwa ma czas na podjęcie decyzji do 3 marca.

Jeśliby przejrzeć większość portali i mediów w Polsce, to można by było odnieść wrażenie, że wraz ze śmiercią Daniela Passenta odszedł jedynie utalentowany felietonista i autorytet dziennikarstwa. „Newsweek” pisał, że Daniel Passent był cudownie ocalonym dzieckiem, wybitnym felietonistą i serdecznym człowiekiem. Wojciech Tymowski z „Gazety Wyborczej” z kolei podkreślał, że w jego osobie „odchodzi też część osobistej historii każdego, kto tak jak ja przez dziesiątki lat czytał jego teksty w »Polityce«”. Z kolei Waldemar Kuczyński, niegdysiejszy działacz Solidarności, dziś mocno zaangażowany w obronę III RP, deklarował: „Kiedyś był dla mnie przeciwnikiem politycznym, ale nawet wtedy nie miałem go za wroga, a uważałem tak o wielu z komuny. Passent był tym, jak cała »Polityka«, dzięki którym PRL była bardziej ludzka”.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wyparowała gdzieś pamięć o tym, że w pierwszych tygodniach stanu wojennego solidarnościowy bard Jacek Kaczmarski mianował Passenta symbolem wspierania piórem brutalnej ekipy stanu wojennego. Okazuje się, że ludzie pamiętający tamte czasy, będący dziś po opozycyjnej stronie barykady, całkowicie wygumkowali ze wspomnień na jego temat jakiekolwiek niechlubne akcenty. A z kolei młodsza generacja publicystów po prawej stronie, urodzonych w latach 70., niespecjalnie pamięta Passenta z czasu dziennikarskich weryfikacji, które ten uzasadniał swoim usługowym piórem. A nad wszystkim oczywiście hula dziś nadużywana formuła „o zmarłych dobrze albo w ogóle”. Trudno jednak komentować odejście Passenta w aurze zachwyty nad jego dżentelmeńskimi manierami i erudycją światowca.

OBYŚ ŻYŁ W CIEKAWYCH CZASACH

Daniel Passent urodził się 28 kwietnia 1938 r. w Stanisławowie, na najdalszych południowo-wschodnich kresach II RP. Kiedy miał rok i cztery miesiące, wybuchła druga wojna światowa. Dla żydowskiego dziecka był to potencjalny wyrok śmierci. Rodzice ukryli syna w okolicach Częstochowy, w domu przyjaciela rodziny, który posiadając tzw. dobry wygląd, egzystował na fałszywych aryjskich papierach. Dziecko było ukrywane w kolejnych miejscach, by w końcu 1944 r. doczekać na warszawskiej Pradze

Intelekt w cieniu lęku



Piotr Semka

Refleksji nad tym, w jak dużym stopniu talent publicystyczny Daniela Passenta był naznaczony koniunkturalizmem i lękiem przed komunistyczną władzą, było niewiele. Trudno jednak komentować jego odejście w aurze zachwyty nad jego dżentelmeńskimi manierami i erudycją światowca



FOT. ROBERT LASKA/FORUM

wejścia wojsk sowieckich. W momencie wyzwolenia od kosmaru ciągłego ukrywania się chłopak miał sześć lat.

Można tylko się domyslać, jak ciągły stan zagrożenia wpłynął na psychikę dziecka w ciągu długich lat wojennej mimikry. Rodzice Passenta zostali rozpoznani przez polskich delatorów w czasie przejazdu kolejką podmiejską na linii otwockiej i zamordowani przez Niemców. Po wojnie, po różnych perypetiach, opiekę i wychowanie chłopaka wzięli na siebie przedwojenny komunista Jakub Prawin, którego żona była siostrą ojca Passenta.

Już w końcu 1945 r. Prawina wysłano do zachodnich sektorów okupowanego Berlina, gdzie został szefem polskiej misji wojskowej. Był to kontrast w porównaniu z latami wojennej poniewierki. Rozpieszczany przez ordynansów i wychowywany na wzorowego komunistę Passent jeździł berlińskim metrem z zachodnich sektorów stolicy Niemiec do strefy sowieckiej na zbiorki wschodnich berlińskich pionierów. Po powrocie do kraju wysoko postawiony przybrany ojciec zapewnił mu studia ekonomiczne na uniwersytecie w Leningradzie. W 1956 r. trafił na Uniwersytet Warszawski, akurat gdy wybuchła październikowa gorączka polityczna, i tam związał się z pismem „Sztandar Młodych”, które wówczas było całkiem rewolucyjne. Ale szybko mija wolnościowa gorączka i w 1959 r. Passent dołącza do zespołu „Polityki”, w którym pisać będzie do ostatnich tygodni życia. Po latach mówi: „»Polityka« jest moim drugim domem. Ponad 60 lat pozostaję w związku raz formalnym, raz na kocią łapę, ale zawsze z »Polityką«. Na pewno ma to coś wspólnego z potrzebą bezpieczeństwa, jaką odczuwałem po wojnie”.

Ten rys ciągłego poszukiwania miejsca, które zapewni przetrwanie, zapewne był konsekwencją tragicznych wojennych przeżyć. Ale też zmuszał do zginania karku przed komunistycznym aparatem. Mieczysław Rakowski, redaktor naczelny „Polityki” właśnie na zasadzie takich wzajemnych usług oferował różnym ludziom bezpieczeństwo i stabilizację w okresie. Wielki wszechwładny Mieczysław Franciszek rozciągał parasol nad swoją dziennikarską trzódką, a w zamian jego podwładni mieli być mu bezwzględnie posłuszni. Oferował mniej dogma-

tyczny i bardziej zerkający na zachód rodzaj partyjnej ortodoksji, ale jednocześnie zazdrośnie pilnował, by nikt inny poza jego zespołem nie otrzymał tego wyjątkowego statusu.

Passent szybko się zorientował, że daje to spore możliwości, i z tych możliwości korzystał. Ożeniony z córką prokuratora z lat stalinowskich – tkwił w świecie, gdzie władze PRL traktowało się serio. Ale jednocześnie ta władza za poprawne wybory przyznawała dobra niedostępne dla zwykłego obywatela. Na początku lat 60. uzyskał staże na amerykańskich uniwersytetach Princeton i Harvard. Wtedy też zaczęła się jego schizofreniczna relacja z Ameryką. Z jednej strony chłonał amerykańską kulturę i np. po powrocie z USA był częstym gościem na przyjęciach w Ambasadzie Stanów Zjednoczonych w Warszawie. Z drugiej strony bez oporu przyjął status tajnego współpracownika SB, który referował oficerom rozmowy z dyplomatami USA. W niektórych tekstach dawała o sobie znać fascynacja Ameryką, ale w innych rozpisywał się, jak władze w Waszyngtonie prześladowują murzyńskich działaczy.

W końcu lat 60. trafił w charakterze tłumacza do komisji rozejmowej działającej w czasie wojny wietnamskiej, chłonać szanse bycia reporterem w tym rejonie Azji, który skupiał wtedy uwagę całego świata. Dla wykazania ideologicznej prawowierności publikował na łamach „Polityki” teksty opisujące Amerykę jako ciemniejszy Indochin. I jak to było w tamtych latach w jego manierze, zawsze podkreślał, że trzeba wspierać liberalne nurty PZPR, bo inaczej przyjdą ponurzy moczarowcy z antysemicką pałką.

To dlatego z takimi nadziejami przyjął nadejście epoki Gierka, który zamknął marcowe rozliczenia. Pierwsza połowa lat 70. to chyba najspokojniejszy okres w życiu Passenta. Miał publicystyczny talent i umiał być dowcipny. „W latach 70. jako człowiek nieopierzony lubiłem »Politykę« – wspominał po latach publicysta Piotr Zaręba. – Występowali w niej ludzie znani mi dobrze z ówczesnej bardzo zabawnej, gierkowskiej telewizji. Byli dowcipni. – Odkąd w radomskim kiosku wypłacono mi resztę prezerwatywą, nic mnie już nie zdziwi – ten dowcip Daniela Passenta rozśmieszał mnie w liceum do łez”.

Daniel Passent zajął się własną, życiową małą stabilizacją. Związał się

ze słynną poetką Agnieszką Osiecką, a jego dom stał się salonem elit Warszawy. Był to świat, w którym pojawiali się Maryla Rodowicz, Edyta Gąrtner czy Jerzy Urban, słynne były w Warszawie imprezy w domku Osieckiej w Falenicy. A jednocześnie pół Warszawy śmiało się z rozmaitych aluzji w tekstach, które Passent pisywał dla kabaretu Pod Egidą Jana Pietrzaka.

Ta układanka była wręcz idealna. Rakowski zapewniał mu pracę w prestiżowym partyjnym piśmie, partnerka wprowadziła go do elity artystycznej Warszawy, a jednocześnie Passent puszczał oko do kręgów bardziej krytycznych wobec systemu, podśmiewając się leciutko z realnego socjalizmu w swoich anonimowych skeczach.

Na ten dość komfortowy stan rzeczy cieniem padał jedynie narastający alkoholizm Osieckiej. Z tego powodu to on musiał coraz więcej czasu poświęcać na wychowywanie córki, co po latach z szacunkiem wspomina wielu przyjaciół jego domu.

SWOBODA BEZ PRZESADY

Ten dość wygodny status ni to propagandzisty, ni to kontestatora dla wtajemniczonych zaczął się rozsypywać w połowie lat 70. Na horyzoncie pojawili się groźni rywale aspirujący do rządu dusz nad warszawskimi elitami. Ich uosobieniem był Adam Michnik, który urodzony w 1946 r. nie miał za sobą traumy wojennej i doskonale czuł się w roli kogoś, kto rzuca wyzwanie władzom PRL. Passent z rozdrażnieniem obserwował, jak to młodszemu o osiem lat koledze sprzyjała zmiana nastrojów społecznych po czerwcu 1976 r. oraz sympatie aktorów czy pisarzy. Jego błyskotliwe felietony przestały być sensacjami dnia z racji przemycenia paru wyrafinowanych antysystemowych aluzji. Ich czar topniał jak mroźny śnieg w porównaniu z podziemnymi kwartalnikami i zachwytem dla zatrzymywanych na 48 godzin KOR-owców.

Ale rozdrażnienie z powodu zmiany klimatów w warszawskich salonach zaczęło zamieniać się w poważną wściekłość w momencie wybuchu Solidarności. Dysponując sporą inteligencją Passent zaczął rozumieć, że jeżeli rewolucja solidarnościowa zacznie się rozwijać albo – co gorsza – zwycięży, to cały ekskluzywny i dostępny mu świat zagranicznych wyjazdów, wyznaczania

przez „Politykę” standardów liberalizmu zniknie na tle znacznie bardziej zasłużonych dla wolności solidarnościowców, którzy zaczną ustawiać nową hierarchię wpływów i prestiżu. Nic dziwnego, że wprowadzenie stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. Passent przywitał z ulgą. Owszem, płacił za to cenę ostracyzmu. Jacek Kaczmarski dedykował mu swój prześmiewczy „Marsz intelektualistów”, czyniąc z niego symbol pismaków, którzy swój talent dziennikarski oddali na usługi dyktatora w czarnych okularach.

Passent odreałgował niedawny lęk przed końcem znanego sobie świata poprzez nieukrywana niechęć wobec kolegów, którzy odeszli z „Polityki” w ramach działania komisji weryfikacyjnej, która w 1982 r. czyściła pismo z niewygodnych ludzi. Na łamach wznowionej „Polityki” w 1982 r. pisał: „Zgadzam się z Urbanem, że wiarygodność pewnych ludzi, a także prasy po 13 grudnia wymagała, aby część aktywu odeszła, aby ludzie najbardziej krótkowzroczni i zaciętrzewieni, którzy utracili poczucie rzeczywistości i stracili tę niezbędną dla dziennikarza kwalifikację, usunęli się – niekoniecznie na zawsze, ale przynajmniej na czas otrzeźwienia i kaca. Słowem – problem polityczno-kadrowy w dziennikarstwie istniał. Ani Urban [rzecznik ekipy stanu wojennego – przyp. P.S.], ani weryfikanci go nie wymyślili”.

Te słowa pochwały dla brutalnego wyrzucania kolegów z „Polityki” na bruk były przyjmowane przez dziennikarzy, którzy chcieli zachować swoją godność, z oburzeniem. Ale Passent w roli rzecznika rządu Jaruzelskiego czuł się bardzo dobrze. Co więcej, prezentował się teraz jako niepokorny, który musi znosić afronty ze strony zaczadzonych kolegów biegających do kościołów na msze za ojczyznę.

W „Polityce” z 1 października 1983 r. głosił ex cathedra: „Wprowadzenie stanu wojennego powstrzymało upadek kraju i to jest już historycznym krokiem tego rządu [...]. Realnej i lepszej alternatywy nie było”.

Dopiero po latach wyszedł na jaw napisany przez Passenta list do gen. Czesława Kiszczaka. Publicysta „Polityki” śpieszy w nim donieść ówczesnemu szefowi MSW, żeby – broń Boże – nie brał serio plotek, że jest krytyczny wobec ekipy Jaruzelskiego, i podkreślał, że jedynie boi się, by generała nie zastąpili jacyś

twardogłowi. Jeszcze w 1988 r., gdy zaczęły się pojawiać pogłoski o rozmowach Okrągłego Stołu z opozycją, Passent przestrzegał przed zbyt pociępnym negocjowaniem z Solidarnością. Wiosną 1988 r. pisał w tekście „Widma demokracji”: „To, co w polityce liczy się naprawdę, to władza i walka o nią [...]. Proponowane neokompromisy i paktów nic by nie pomogły w realizacji niepopularnych posunięć w rodzaju podwyżek cen, zamarzania płac, dociskania pasa itp., itd. Powinni to zrozumieć zwłaszcza ci obserwatorzy krajowi i zagraniczni, którzy stwierdzają jednym tonem – władza nie ma żadnego oparcia i dlatego powinna wprowadzić demokrację, czyli założyć sobie stryczek na szyję”.

Dopiero po latach wyszedł na jaw napisany przez Passenta list do gen. Czesława Kiszczaka

Gdy w końcu dochodzi do rozmów Okrągłego Stołu, a potem powstania rządu Tadeusza Mazowieckiego, Passent uznaje, że sytuacja szybko może rozwinąć się w groźny dla niego kierunek. Wyjeżdża na stypendium do Stanów Zjednoczonych, aby przyjrzeć się rozwojowi wydarzeń z bezpiecznej odległości zza Atlantyku. Jak wtedy w Warszawie głosiła plotka, Passent odgrażał się, że w razie prób pociągnięcia go do odpowiedzialności przez solidaruchów poprosi o azyl w USA.

Minęło jednak trochę czasu i w 1993 r. postkomuniści pod wodzą Aleksandra Kwaśniewskiego wrócili do władzy, a Passent powrócił do kraju i stał się *spiritus movens* ideologicznej kampanii tygodnika „Polityka” na rzecz odczarowania Polski ludowej. W 1994 r. pisał na łamach tygodnika: „Jakże można rozstać się definitywnie i rzeczowo z PRL? Odrzucić połowę albo i całe swoje życie? Uznać, że wszystko, co się robiło, książki i felietony, które się pisało, filmy, w których się grało, teatry, do których się chodziło, nawet tabliczkę mnożenia – wszystko to było równie bez sensu jak księżycowa ekonomia i równie zbrodnicze jak stalinizm?”.

Ówczesna postawa Passenta była tak beczelna, że nawet publicysta „Gaze-

ty Wyborczej” Łukasz Ramlau poczuł się zmuszony do napisania polemiki. Ramlau pisał 12 września 1994 r.: „Nie chodzi przecież, aby odrzucić wszystko, co działo się w czasach PRL. Trzeba się tylko umieć zdobyć na ocenę tych książek, felietonów i filmów. Bo jedne były kłamliwe, inne podłe, inne uczciwe, a niektóre po prostu żadne. Tak samo było z ludźmi”.

Ale Passent czuł już wcześniej, że zła- pał wiatr w żagle. Na łamach „Polityki” przez kolejne siedem lat reprezentował logikę apologii III RP przeciwko strasznej prawicy, która zamierza zdobyć władzę, aby wprowadzić na nowo antysemityzm i zamordyzm.

Ciekawe też jest to, z jaką pasją atakował publicystów prawicy. Gdy po 2000 r. wielu z nich było bez pracy i publikowali na łamach prasy, używając formuły „publicysta niezależny”, ze swadą kąpił z tego określenia, sugerując, że jego ideowi adwersarze są po prostu sługusami liderów prawicowych partii. W latach 1997–2002 doszedł do funkcji ambasadora RP w Chile. Był to swoisty prezent od prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego dla publicysty, który swoim piórem odbudował wpływy postkomunistów po 1990 r.

Salon III RP pokochał Passenta wierną miłością i zapomniał o wszystkich jego grzechach ze stanu wojennego. W 1994 r. Piotr Zaremba tak pisał na łamach kwartalnika „Frona”: „Niechęć do ludzi nawiązujących do tradycji narodowych, kochających polski Kościół, a jeszcze, nie daj Boże, chlubiących się dawną walką z komunizmem, pozwala »Politykowie- mu« ludowi kochać Passenta, tolerować Kałużyńskiego, a Stommie wybaczać, że beznadziejnie nudzi”.

Cała wymieniona trójka publicystów pożegnała się już z tym światem, ale można stwierdzić, że przeprowadnia Zaremba sprzed 28 lat dokładnie się sprawdziła. Wylewne wspomnienia o Passencie napisali po jego śmierci tak różni publicyści liberalni jak Adam Szostkiewicz, Waldemar Kuczyński czy znacznie młodsza Karolina Wigura. Refleksji nad tym, w jak dużym stopniu talent publicystyczny Passenta był naznaczony koniunkturalizmem i lękiem przed komunistyczną władzą, było niewiele. O wiele częściej usłyszeć można było w ostatnich dniach pochwały Passenta jako autorytetu dziennikarskiego. W tym sensie Passent może w zaświatach uśmiechać się z satysfakcją.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Zmieniamy oblicze chorób genetycznych

Novartis zmienia kształt medycyny,
aby poprawić jakość życia ludzi
z rzadkimi chorobami genetycznymi.

Wykorzystując najnowocześniejsze
technologie, pracujemy nad
przekształceniem obiecujących terapii
genowych w sprawdzone metody leczenia.

 **NOVARTIS** | Reimagining Medicine

ŁUKASZ ZBORALSKI: W ostatnim numerze tygodnika „Do Rzeczy” opisałem raport GUS na temat demografii Polski. Wynika z niego, że jesteśmy blisko momentu, w którym nie da się już odwrócić tego, że po prostu wymrzemy. Czy powołanie Instytutu Rodziny i Demografii nie jest już musztardą po obiedzie?

BARTŁOMIEJ WRÓBLEWSKI. To dobre pytanie. Jako społeczeństwo powinniśmy tym problemem zająć się 30 lat temu. Już w końcu lat 80. sytuacja demograficzna Polski zaczęła się pogarszać. Zgadzam się, że Instytut powinien zostać powołany trzy dekady temu. We Francji już w latach 30. ubiegłego wieku dostrzeżono problem demograficzny i w 1945 r. została taka instytucja powołana – Narodowy Instytut Badań nad Demografią.

Dlaczego się tym tematem na poważnie nie zajmowaliśmy? Przez dekady nie widzieliśmy, że zaczyna się nas rodzić coraz mniej?

Widzieliśmy. Wiedzieli to demografowie i wiedziała to opinia publiczna. Dominowało jednak przekonanie, że nie w tej sprawie zrobić się nie da, bo taki sam trend jest w USA i w całej Europie – czyli w miarę bogacenia się społeczeństwa zaczynamy mieć mniej dzieci.

Jeśli jednak porównamy sytuację demograficzną na naszym kontynencie, to widać też różnice między państwami. I to nawet w krajach, które wydają się podobne. We Francji średnia dzietność kobiet wynosi 1,8; na Maltie – 1,1. To istotna różnica. Nie jest bez znaczenia, czy państwo podchodzi do tego problemu aktywnie czy pasywnie. Oczywiście jest też prawdą, że trend cywilizacyjny, patrząc na całą Europę, jest negatywny.

Ja bardzo lubię prowadzenie polityki na poziomie krajowym w oparciu o dane i fakty. Think tank, który mógłby podsuwać dane i rozwiązania, jest więc z założenia pomysłem właściwym. Tylko patrzę na Europę i widzę, że absolutnie nikt nie rozwiązał tego problemu. To co może wymyślić polski Instytut?

Trendu kulturowego nikt nie odwrócił, ale różnice, jak te między Maltą a Francją, są znaczące. I to pomijając kwestie wyższej dzietności w rodzinach imigrantów z Bliskiego Wschodu, innych części Azji czy Afryki. Dobra wiedza, przyjmowanie dobrych praktyk prorodzinnych z innych państw, monitoring stosowanych programów społecznych i odwaga do wprowadzenia korekt mają sens. Nawet wtedy, gdyby nie doprowadziło to do odwrócenia trendu demograficznego,

a tylko do złagodzenia bądź korekty. Każda jedna dziesiąta wskaźnika dzietności ma konsekwencje dla przyszłości Polski i warto o to zabiegać. Jeśli wydajemy rocznie na politykę prorodziną 62 mld zł, a na społeczną łącznie 112 mld zł, to powinno być nas stać na jedną dwutyśiętną czy – patrząc na całą politykę społeczną – niemal jedną czterotysięczną tej kwoty – nieco ponad 30 mln zł rocznie – na to, żeby była instytucja niezależna od rządu, badająca ten obszar i przedstawiająca propozycje działań prorodzinnych, pronatalistycznych.

30 mln zł można rozdać 200 nowożeńcom na mieszkania po 150 tys. zł i oni by mieli to, co naj-

ważniejsze, by wydać na świat potomstwo. Niech pan mnie przekona, że taka kwota rocznie wydana na Instytut przyniesie realną korzyść.

Najważniejszy argument, że to stosunkowo niewielki koszt, już padł. Ale dobrze, spójrzmy z innej strony. Możemy przyjąć, że podatnik w Polsce przez całe życie wpłaca do budżetu w podatkach w sumie 1,5 mln zł. Zatem te 30 mln zł, o których rozmawiamy, to pieniądze wpłacone przez całe życie przez 20 osób. Nawet minimalny efekt demograficzny działania Instytucji byłby opłacalny. Trzeba próbować. Pokazał to program „Rodzina 500+”, który w pewnym stopniu spowodował wzrost liczby urodzonych dzieci i pewne zahamowanie złego trendu.

Z Bartłomiejem Wróblewskim, posłem PiS, pomysłodawcą powołania Instytutu Rodziny i Demografii rozmawia Łukasz Zboralski



Warto walczyć o więcej narodzin

No właśnie w ostatnim raporcie GUS widać, jak bardzo to było chwilowe. Nic nie zmieniło się w tym, że wymieramy jako naród. Czy mając dzisiejszą wiedzę o efektach tego programu, przedstawianego jako ten, dzięki któremu rodzić się będzie więcej Polaków, głosowałby pan też za przyjęciem „500+”?

Tak, choć może w nieco innej formule. Program ma jednak duże znaczenie, przede wszystkim społeczne i godnościowe. Rzeczywiście wielu z nas miało nadzieję, że przyniesie on także trwałe efekty demograficzne. Natomiast nie był bez znaczenia. Według prognozy GUS z 2015 r. już w 2019 r. wskaźnik dzietności miał spaść do 1,28 dziecka na kobietę. Ostatecznie wyniósł jednak 1,41. Obecnie oczywiście pandemia utrudnia analizy, wydaje się, że sytuacja znowu się pogarsza. Wychodząc naprzeciw oczekiwaniom młodych rodziców, w tym roku uruchomiliśmy Rodzinny Kapitał Opiekuńczy, dający rodzinom wsparcie na wychowanie dzieci w drugim i trzecim roku życia – po 500 zł miesięcznie. Trzeba szukać także rozwiązań prawnych wychodzących naprzeciw oczekiwaniom kobiet, choć też mężczyzn w zakresie łączenia kariery zawodowej z posiadaniem dzieci. Być może jeszcze ważniejsze – choć zapewne jeszcze trudniejsze – są działania, które zmieniłyby nastawienie Polaków do zakładania rodzin i posiadania dzieci. Jednym z zadań Instytutu ma być także prowadzenie kampanii społecznych.

Kampanie społeczne nie wpływają na zachowania ludzi albo wpływają na nie w nikłym stopniu. Skąd się bierze pana optymizm myślenia, że jakaś instytucja powie ludziom, że powinni inaczej żyć – np. mieć więcej niż jedno dziecko – i oni zaczną tak żyć? W Europie nikt nie namówił ludzi nawet do tego, żeby mieli tyle dzieci, by była zapewniona zastępowalność pokoleń. Jedyne, co za granicą zafunkcjonowało, to przyjmowanie migrantów, którzy mają wielodzietne rodziny.

Obaj jesteśmy realistami. Zdajemy sobie sprawę z sytuacji, w której jest Polska i Europa. Zgadza się w tym, że odwrócenie dominującego trendu kulturowego jest bardzo trudne, a być może niemożliwe. Uważam jednak za konieczne szukanie dróg między imposybilizmem a woluntaryzmem. W Instytucie widzę szansę na prowadzenie badań nad demografią w inny sposób niż w ostatnich dekadach. To nie jest bez znaczenia, kto prowadzi analizy, formułuje propo-

zycje polityki demograficznej, prowadzi kampanie medialne. To inny obszar, ale jest pewna analogia. Gdybyśmy nie mieli IPN, jak wyglądałyby badania dotyczące historii współczesnej? Powołując IPN, nie mieliśmy pewności, że doprowadzi to do zmiany, ale mieliśmy nadzieję. I to się udało. Narzekanie, że nic już się nie da zrobić, niewiele pomoże. Niektórzy, którzy już tak uważają, mówią, że trzeba otworzyć granice, a już na pewno nie ma potrzeby i powodu budowania zapór na granicach...

Taki proces państwo może sobie przecież zaplanować. Migrantów może sobie wybierać, nie trzeba przyjmować wszystkich, którzy chcą tu przyjechać.

To inna sprawa i to oczywiste. Najpierw jednak trzeba próbować poprawić sytuację na tyle, na ile się da własnymi siłami – poprzez wzrost narodzin i sprowadzanie rodaków do kraju. Nie powinniśmy się poddawać fatalizmowi, ale robić, co się da.

Pan to nazywa fatalizmem, ja – realizmem. Dlatego nie miałbym nic przeciw temu, żeby ratując demografię, przyjąć jeszcze 2 mln Ukraińców czy Białorusinów, którzy są nam kulturowo bliscy i którzy mogą chcieć układać sobie życie w dużo stabilniejszym kraju, zapewniającym większe możliwości rozwoju. Czy Instytut nie powinien też zajmować się polityką wykuskiwania imigrantów?

Może nie ma między nami zasadniczej różnicy: realizm tak, fatalizm nie. Jeśli nie uda się doprowadzić do tego celu – który powinien być podstawowy – zwiększenia liczby urodzin i zachęcania osób polskiego pochodzenia do powrotu, to będziemy musieli polegać na imigrantach. I lepiej, gdyby byli z krajów bliskich kulturowo. To wymaga jednak namysłu, analizy, przemyślanego działania – i tu taka jednostka jak Instytut pomoże. Dodam na marginesie, że Ukraina i Białoruś także borykają się z trudnościami demograficznymi. Prawdopodobnie za pewien czas liczba chętnych do przyjazdu będzie już niewielka.

Dlatego powinniśmy dbać o polskie rodziny. A Instytut ma dwa podstawowe cele. Z jednej strony ten, o którym głównie rozmawiamy w zakresie badań i współkształtowania polityki demograficznej, a z drugiej – prezes Instytutu będzie miał kompetencje interwencyjne, będzie rzecznikiem praw rodziny. Będzie mógł bronić konstytucyjnych praw rodziny i praw rodziców w otoczeniu,

które jest coraz mniej przyjazne rodzinie, a już szczególnie tradycyjnemu modelowi małżeństwa jako związku między kobietą i mężczyzną. Skoro zgadzamy się, że to zmiany cywilizacyjne i kulturowe są główną przyczyną problemów demograficznych, to musimy bronić praw podstawowych, które chronią rodzinę.

Jeśli Instytut zacznie działać, to po jakim czasie powinniśmy ocenić to, czy jego praca ma sens. Po roku, dwóch latach?

Działania w zakresie ochrony praw rodziny i rodziców będą podjęte szybko – bo znana jest konstytucja, wypracowane sposoby działania rzeczników, natomiast w aspekcie badań i wdrażania polityki demograficznej potrzeba więcej czasu. Uczciwie będziemy mogli to ocenić po dekadzie. Mówimy o stworzeniu instytucji, jakościowo innej od istniejących, w tym zupełnie nowego zespołu badaczy, analityków i specjalistów od komunikacji społecznej. Notabene dziś zespoły demografów są w Polsce niewielkie, rozrzucone po instytucjach w całym kraju.

Czyli wydamy 300 mln z kieszeni podatników, zanim dowiemy się, czy ich wydanie miało sens?

Nie, bo interwencje rzecznikowskie zobaczymy szybciej. Ale prawda, że działania w sferze demografii wymagają czasu. Unikajmy tu populizmu. 300 mln zł, o których pan mówi, proszę zestawzić z budżetami polityki prorodzinnej przez dekadę, czyli – upraszczając – 620 mld zł, czy polityk społecznych – 1,112 mld zł. To nadal wspomniane jedna dwutysięczna czy niemal jedna czterotysięczna tego, co wydamy na politykę prorodzinną i społeczną.

To zapytam inaczej – czy w obliczu naszych obecnych wskaźników demograficznych sprawdzanie efektywności działania po 10 latach to znów nie będzie już dużo za późno?

A jaka jest alternatywa? Taki Instytut powinien powstać już na początku lat 90. Czy to oznacza, żeby go dziś nie powołać? Nie. Spójrzmy na inne sprawy. W 1989 r. powinniśmy zacząć od lustracji i IPN, ale stało się to, i to w niepełny sposób, dekadę później. Trzydzieści lat temu nie zbudowaliśmy elektrowni atomowych. Czy nie powinny dziś powstawać? Czasami z różnych powodów reagujemy z opóźnieniem. Czy to znaczy, że tych działań powinniśmy zaniechać na zawsze? Uważam, że nie.

Cyberprzestępcy coraz groźniejsi?



FOT. ANDRZEJ STOK



Paweł Zdziarski

Nękanie telefonami, groźby śmierci, podszywanie się pod inną osobę, wyłudzenie pieniędzy – to najczęstsze przejawy tzw. spoofingu. Problem dotknął polityków, pracowników służb, dziennikarzy i wiele przypadkowych osób. Czy mamy do czynienia z poważnym zagrożeniem z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa i poszczególnych obywateli?

W skrócie spoofing polega na wykorzystaniu oprogramowania do zmiany numeru telefonicznego lub nazwy dzwoniącego, którą odbierający widzi na wyświetlaczu swojego telefonu. Cyberprzestępcy stosują tę metodę od dłuższego czasu, jednak sprawa nabrała rozgłosu, gdy w ostatnich tygodniach ofiarami ataków padły osoby życia publicznego. Na przełomie stycznia i lutego praktycznie nie było dnia, aby nie pojawiały się nowe doniesienia na ten temat.

POLITYCY NĘKANI PRZEZ HAKERÓW

W połowie stycznia poseł koła Polskie Sprawy Paweł Szramka poinformował, że ktoś zadzwonił do niego z numeru Pauliny Matysiak z Lewicy. W słuchawce polityk usłyszał nieznany głos, który kierował w jego strony groźby i obelgi. Po chwili manewr został odwrócony i to Matysiak otrzymała tajemniczy telefon z numeru Szramki. Do sprawy odniósł się na Twitterze Janusz Cieszyński, sekretarz stanu w KPRM i pełnomocnik rządu ds. cyberbezpieczeństwa. Oceniał, że to kolejny przypadek spoofingu, który cyberprzestępcy próbują wykorzystać do podsycania politycznych sporów.

– Słuchajmy głosu ekspertów i nie dajmy się rozegrać – zaapelował Cieszyński.

Jak dodał, każda poszkodowana osoba może liczyć na profesjonalne wsparcie państwowych instytucji. Na początku roku polityk ujawnił, że sam padł ofiarą podobnych działań. Ktoś miał podszyć się pod jego numer i zadzwonić na Komendę Stołeczną Policji. Jak się okazało, był to dopiero początek lawiny ataków za pomocą spoofingu. Na stronie ZUS pojawił się komunikat z ostrzeżeniem przed nowym oszustwem. Przestępcy podszywają się pod infolinię i dzwonią do klientów w celu kradzieży ich danych.

Jedną z ofiar hakerów to córka Pawła Wojtunika, byłego szefa CBA. W nocy odebrała telefon, myśląc, że dzwoni jej ojciec. Następnie usłyszała nieznany jej głos i słowa: „Twój tata nie żyje, nie oddycha, dzwonię z jego telefonu”. Były szef CBA zareagował na incydent i opisał go na Twitterze, dodając, że przekracza on „wszelkie normy i granice”.

Doniesień medialnych o podobnych sytuacjach było znacznie więcej. Ktoś zadzwonił z numeru Szymona Hołowni do posłanki Hanny Gill-Piątek. Podobny telefon otrzymał sam Hołownia. Połączenie z numeru CBA o rzekomej śmierci syna odebrać miał Marcin Matczak. Z kolei córka Romana Giertycha dostała telefon z groźbą śmierci z numeru kancelarii przyjaciela jej ojca. Cyberprzestępcy mieli też zaatakować telefony Borysa Budki i jego żony.

Część polityków związanych z opozycją zaczęła wykorzystywać przypadki spoofingu do własnych celów, obwiniając za cyberataki rząd, a całą sytuację przedstawiając jako prześladowania polityczne. Roman Giertych, zastanawiając się nad tożsamością hakerów, napisał wprost, że „robą to służby, a telefony mają z Pegasus”. Nie wspomniał jednak, że Cieszyński na początku stycznia ostrzegł opozycję przed cyberprzestępcami. Poza tym ofiarami spoofingu padają również politycy Zjednoczonej Prawicy. Poza wspomnianym przypadkiem pełnomocnika rządu ds. cyberbezpieczeństwa atak osiągnął również Dariusza Mateckiego, szcześcińskiego radnego Solidarnej Polski.

– Kilkukrotnie dzwonił do mnie z groźbami wypowiedzianymi przez syntezator mowy. Za pierwszym razem podszywano się pod numer właściciela jednego z największych portali internetowych w Polsce. Skontaktowałem się z nim i wie o całej sytuacji. Zeznając na komendzie policji, podałem go jako osobę pokrzywdzoną w tej sprawie – relacjonuje Matecki w rozmowie z „Do Rzeczy”. Dodaje, że grożono mu już wcześniej – w czasie kampanii wyborczej zostawiano kartki za wycieraczką, później porysowano auto, a przed 11 listopada 2021 r. dostarczano e-maile, w których zawarto między innymi groźbę zabicia „jak Adamowicza” podczas Marszu Niepodległości.

Spoofing w postaci wykonywania połączeń do polityków i ich rodzin z groźbami lub sugestiami śmierci to nie tylko kwestia łamania prawa i gróźb karalnych. Zdaniem ekspertów może być on wykorzystywany w trzech obszarach walki informacyjnej. Pierwszym z nich jest zwykła, pojedyncza aktywność przestępcza lub działalność grup hakerów. Drugi wariant stanowią próby wywierania presji i zastraszania realizowane w ramach walki różnych grup wpływu, lobby i żywiołów polityczno-

-ekonomicznych. Po trzecie, może to być element realizacji szeroko zakrojonej operacji dywersji strategicznej, której tłem są zmagania o charakterze dyplomatycznym i wojskowym.

Komentatorzy z branży cyberbezpieczeństwa zaznaczają, że wysoka częstotliwość przypadków spoofingu może wiązać się ze zjawiskami zachodzącymi w polityce międzynarodowej, w których Polska jest jednym z uczestników.

– Nie można wykluczyć, że ataki wymierzone w niektórych polityków i ich rodziny to element szeroko zakrojonej operacji dywersji psychologicznej, realizowanej przez obce ośrodki siły w związku z wydarzeniami na granicy polsko-białoruskiej, a także napięciem na linii Moskwa – Kijów – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” ekspert ds. służb specjalnych Tomasz Formicki, autor książki „Wywiad i kontrwywiad jako kluczowe komponenty walki informacyjnej”.

– Celem tego typu operacji może być wywołanie kolejnych konfliktów w łonie klasy politycznej w Polsce poprzez doprowadzenie do eskalacji wzajemnych oskarżeń i w efekcie tego odwrócenie uwagi od ważnych zagadnień i pogłębienie dezintegracji społeczeństwa – dodaje Formicki.

RZĄD SZUKA ROZWIĄZAŃ

19 stycznia, podczas konferencji prasowej, Cieszyński zaprezentował środki, które planuje podjąć rząd, aby powstrzymać oszustwa, takie jak phishing i spoofing. Jak przyznał, „na ten moment nie ma prawnych i organizacyjnych możliwości zatrzymania procederu”.

– Podjęliśmy prace zarówno wewnętrzne, z ekspertami, jak i operatorami sieci telekomunikacyjnej, którzy są odpowiedzialni za infrastrukturę. Chcemy wprowadzić takie rozwiązania, które mają na celu bezpieczeństwo obywateli – podkreślił sekretarz stanu w KPRM.

Jak w praktyce miałyby wyglądać rozwiązania zaproponowane przez rząd? Cieszyński zapowiedział m.in. możliwość wprowadzania identyfikatora, który będzie różnicował połączenia przychodzące z niezauważanych źródeł. Chodzi o to, aby odbiorca został powiadomiony o ataku, otrzymując informację, że połączenie lub SMS pochodzi nie z tego numeru, który wyświetla mu się na ekranie.

Pełnomocnik rządu ds. cyberbezpieczeństwa przekazał też informacje na temat walki z tzw. phishingiem. Chodzi o wyłudzanie danych osobowych i danych

uwierzelniających za pomocą podejrzanych linków. Potencjalne ofiary mogą je otrzymać np. SMS-em, e-mailem i przez media społecznościowe. Po kliknięciu w link strona okazuje się pułapką, a włamywacz dysponuje już wszelkimi hasłami danego użytkownika. Aby uniknąć takich sytuacji, Cieszyński zapowiedział wprowadzenie obowiązku zabezpieczania elektronicznych skrzynek pocztowych przez ich operatorów.

Zapowiedzi zastosowania mechanizmów, które mają powstrzymać falę spoofingu, nie spodobały się cyberprzestępcom. Na początku lutego rzecznik Urzędu Komunikacji Elektronicznej Witold Tomaszewski odebrał połączenie, w którym ktoś kierował wobec niego groźby i sugerował zaniechanie dalszych działań.

„Dostałem telefon z »dedykowaną« wiadomością życzącą mi wszystkiego najgorszego i mówiącą, żebym przestał poruszać temat spoofingu, bo z mojego numeru będą telefony o podłożonej bombie” – napisał na Twitterze. Zaznaczył, że UKE zajmuje się już tematem spoofingu, a phishing już doczekał się konkretnych propozycji.

JAK MAMY SIĘ BRONIĆ?

Na istniejący problem należy spojrzeć bardziej całościowo. Formicki zaznacza, że „zagadnienie spoofingu jest jednym z zagrożeń wynikających ze zjawisk przetwarzającej się przez nasz glob rewolucji naukowo-informacyjnej”.

– Ataki na systemy teleinformatyczne zarówno pojedynczych osób, jak i infrastrukturę państwa lub przedsiębiorstw to jedno z głównych wyzwań w sferze szeroko rozumianego bezpieczeństwa narodowego kraju. Jest to swoisty znak czasu – zauważa ekspert.

Powstaje zatem zasadnicze pytanie: Jaką strategię obrony należy przyjąć w obecnej sytuacji? Formicki ocenia, że „państwo nieposiadające własnych systemów zabezpieczeń, osłony informacyjnej i profesjonalnego, specjalistycznie przeszkolonego personelu będzie bezbronne wobec tej formy infoagresji”. Zdaniem eksperta oprócz odpowiednich systemów zabezpieczających własną infrastrukturę przed spoofingiem ważny jest również aspekt edukacyjno-profilaktyczny w tym obszarze. Powinien on polegać na systematycznych szkoleniach uświadamiających decydentom oraz urzędnikom zagrożenia oraz równoległej edukacji społeczeństwa.

– Bardzo ważną rolę mógłby odegrać system szkolnictwa wyższego jako ten, który odpowiada za kształcenie specjalistów z zakresu szeroko rozumianej teleinformatyki. Uzupełnieniem tego procesu powinna być powszechna edukacja prowadzona w ramach szkół podstawowych i średnich, jak również za pomocą kampanii informacyjnych ukierunkowanych na zwiększenie poziomu wiedzy społeczeństwa na temat zagrożeń w obszarze teleinformatycznym – tłumaczy Formicki.

Problem ze spoofingiem polega na tym, że wystarczy, aby haker znał numer telefonu osoby, do której zamierza wykonać połączenie, i wówczas może podszyc się pod inny numer. Dlatego należy zachować umiar w podawaniu swego numeru telefonu oraz udostępnianiu go w różnych formularzach, gdyż wycieki danych (w tym numerów telefonów) zdarzają się bardzo często. Jeśli mamy najmniejsze wątpliwości, że SMS lub telefon nie jest np. od banku, ale ktoś się podszywa, natychmiast należy rozłączyć się i oddzwonić. W ten sposób sprawdzimy, czy faktycznie telefon był wykonany z banku, gdyż infoagresor może podszyc się pod numer, ale nie może przejąć połączenia. Nigdy nie należy podawać numerów PIN ani jakichkolwiek haseł do kont. W operacjach bankowych (np. przelewach) warto unikać archaicznych systemów telefonicznych. Znacznie bezpieczniejsze jest korzystanie z szyfrowanego komunikatora, oczywiście uwzględniając fakt, że komunikatory również mają różny poziom bezpieczeństwa i nie każdy należy zabezpieczać przed aktywnością przestępczą hakerów.

Eksperti są zgodni, że nie należy lekceważyć telefonów z groźbami, nawet jeśli wiemy, że takie działania są skierowane wobec wielu innych osób. Nagłośnienie problemu spoofingu jest szczególnie istotne dla osób, które dotąd nie posiadały wiedzy na ten temat. Zwłaszcza że hakerzy mogliby nadal bezkarnie doprowadzać do wyłudzeń, okradania kont w bankach czy np. do zawiadomień o podkładaniu bomb. Nie warto pomijać tego ostatniego zagrożenia. Jeżeli takie zawiadomienie zostałoby wysłane z czyjegoś numeru, to taka osoba może zostać aresztowana do czasu, zanim wytłumaczy się podczas zeznań. Spoofing jest zatem realnym zagrożeniem i może uprzykrzyć życie każdemu z nas. W tej perspektywie należy oczekiwać od władz, aby jak najszybciej podjęły kroki w celu zwiększenia bezpieczeństwa obywateli.



Agnieszka Niewińska

Dezinformacja ma się u nas doskonale. Tylko 16 proc. z nas weryfikuje doniesienia zaczerpnięte z sieci. Czy stan rzeczy zmieniają fact-checkerzy?

Post opatrzonej zdjęciem poruszającej się jezdnią kolumny bryczek zaktywizował internautów. Informował, że to amisyze dołączający do protestu kanadyjskich kierowców ciężarówek sprzeciwiających się obowiązkowi szczepień na COVID-19. W ciągu kilkunastu dni udostępniono go 1,7 tys. razy. Okazało się jednak, że informacja jest fałszywa. Amisyze ze zdjęcia jechali bryczkami na niedzielne nabożeństwo w St. Jacobs w Ontario. Internetowe kłamstwo zdemaskowali fact-checkerzy (z ang. osoby sprawdzające fakty) z polskiego oddziału francuskiej agencji informacyjnej AFP. Stosując narzędzie odwrotnego wyszukiwania obrazu, dotarli do autorki zdjęcia, która wyjaśniła, że nie ma ono nic wspólnego z tzw. Konwojem Wolności, i opowiedziała o okolicznościach jego zrobienia.

Fact-checkerzy polskiej redakcji AFP sprawdzają prawdziwość kilkunastu informacji w miesiącu. Efekty prezentują na stronie internetowej sprawdzam.afp.com. AFP działalność fact-checkingową rozpoczęła we Francji w 2017 r. – Wyszukujemy szybko rozprzestrzeniające się posty w mediach społecznościowych, zawierające fałszywe lub wprowadzające w błąd treści, które mogą wyrządzić szkodę, jeśli pozostaną bez kontroli – tłumaczy Mary Sibierski, redaktorka AFP Sprawdzam i zastępczyni szefa biura AFP w Warszawie.

WIĘCEJ FAŁSZU NIŻ PRAWDY

Rozwój Internetu sprawił, że dziś każdy może rozpowszechniać informacje. Pozostaje pytanie o ich wiarygodność. Tę coraz częściej sprawdzają organizacje fact-checkingowe. Pierwsze powstały w latach 90. w Stanach Zjednoczonych. Z analizy Międzynarodowej Sieci Organizacji Fact-Checkingowych (IFCN) wynika, że obecnie w 102 krajach działa 341 podmiotów sprawdzających fakty. Najczęściej są to organizacje non profit,

Polowanie na kłamstwa

a także projekty akademickie czy te działające przy mediach.

W Polsce obok wspomnianej już AFP fakty sprawdzają PAP, która na stronie fakehunter.pap.pl zamieszcza nawet kilka analiz wątpliwych doniesień medialnych dziennie, a także Stowarzyszenie Pravda, Fundacja „Przeciwdziałamy Dezinformacji” (fakenews.pl) czy powiązany z TVN24 serwis konkret24. Efekty weryfikacji prezentują na swoich stronach, na swoich kanałach społecznościowych, ale również podejmują współpracę z platformami społecznościowymi. Na Facebooku coraz częściej możemy natknąć się na posty zweryfikowane przez fact-checkerów i oznaczone nakładką jako np. fałszywe czy częściowo fałszywe. Fact-checkerzy wybierają materiały do weryfikacji, oceniają je i odsyłają internautów do swojej analizy. Podobne działania prowadzi także Instagram czy Twitter współpracujący z fact-checkerami z Agencji Reutera czy Associated Press.

Redakcja Demagoga tygodniowo weryfikuje średnio kilkadziesiąt fałszywych informacji – zarówno wypowiedzi polityków, jak i doniesienia, które pojawiają się w sieci, szczególnie w mediach społecznościowych. – W 2021 r. zweryfikowaliśmy łącznie 608 wypowiedzi

polityków i osób publicznych oraz 562 fake newsy. Po raz pierwszy w historii naszej działalności politycy wypowiedzieli więcej fałszów i manipulacji niż prawd – mówi Marcel Kiełtyka ze Stowarzyszenia Demagog. Zaznacza, że dobór wypowiedzi polityków do badań jest jakościowy i oparty na kryterium dostępności materiału. – Im polityk częściej podaje informacje obiektywnie sprawdzalne, tym częściej pojawiać się będzie w naszym portalu – dodaje.

Fakty dla Demagoga sprawdza ok. 25 osób – dziennikarze, analitycy, specjaliści w konkretnych branżach, a także wolontariusze. Muszą poświadczyc, że w ciągu pięciu ostatnich lat nie współpracowali z żadną partią polityczną i zobowiązać się do neutralności politycznej i ideologicznej, uczciwego i rzetelnego przedstawiania zdobytych informacji, bez formułowania sądów i własnych opinii.

Do zespołu serwisu PAP fakehunter.pap.pl należy kilkunastu dziennikarzy agencji i przeszkoleni w dziedzinie weryfikacji informacji wolontariusze z całej Polski. W serwisie znajdziemy analizy zgłoszonych do weryfikacji informacji m.in. z dziedziny geopolityki, energetyki, finansów, telekomunikacji, nauki i zdrowia ze szczególnym uwzględnieniem donie-



sień o koronawirusie i szczepieniach. W ubiegłym tygodniu weryfikatorzy PAP sprawdzali np., czy prawdą jest, że premier Turcji Recep Tayyip Erdoğan został aresztowany na Ukrainie, weryfikowali też informację, jakoby w Skandynawii zablokowano szczepienia preparatem Moderna.

Doniesienia naukowe to dla użytkownika najtrudniejsze do samodzielnego sprawdzenia informacje. Jak weryfikują je fact-checkerzy? Marcel Kiełtyka wyjaśnia, że sięgają do źródeł. – Korzystamy z badań, raportów i innych dokumentów, które bazują na ogólnie przyjętym konsensusie naukowym i które były recenzowane i publikowane w renomowanych czasopismach naukowych. Weryfikujemy autorów i źródło badania. Często posilujemy się opinią ekspertów czy naukowców z danej dziedziny. Zawsze sprawdzamy wiarygodność danego eksperta, jego doświadczenie i renomę – tłumaczy.

Czy fact-checkerom można zaufać w większym stopniu niż lubianym blogerom, influencerom, mediom, po których informacje sięgamy? Profesor Jacek Dąbala, medioznawca z Uniwersytetu Jagiellońskiego i audytor jakości mediów, radzi, by fact-checkerów przeświecić, zanim oprzemy się na ich analizach. – Sprawdźmy, kim są, jaka organizacja za nimi stoi, jakie mają standardy pracy i z jakich źródeł korzystają. Fact-checking dopiero raczkuje, pojawia się wiele inicjatyw i choć każde działanie, które ma na celu wytknięcie kłamstwa, jest cenne, to na tym początkowym etapie wśród sprawdzających fakty mogą się pojawić osoby prezentujące zróżnicowany poziom – przestrzega medioznawca.

– Zawsze powtarzamy, żeby nie wierzyć fact-checkerom na słowo. Należy nas sprawdzać! – radzi Marcel Kiełtyka. I tłumaczy, że metodologia fact-checkingu Demagoga i sposób działania są jawne. – Zawsze podajemy źródła, na których bazujemy – pierwotne, nieprzetworzone i najbardziej aktualne. W ten sposób każdy z naszych czytelników może sam odtworzyć cały proces weryfikacji informacji, który przeprowadziliśmy – może zweryfikować weryfikujących, czyli nas. Jedną z naszych zasad jest polityka otwartych i uczciwych korekt. W przypadku pomyłki lub błędu robimy aktualizację. Bardzo istotnym elementem jest dla

nas również co najmniej trójstopniowy proces weryfikacji informacji. Przed publikacją analizy na naszej stronie przechodzi ona złożony proces: od wyszukania informacji i zakwalifikowania jej do sprawdzenia, przez weryfikację jednego z naszych analityków i ponowne sprawdzenie przez innego, aż do akceptacji redaktora naczelnego i korekty językowo-redakcyjnej. Blogerzy, politycy czy influencerzy nie przechodzą przez tak skomplikowany proces, co często skutkuje powielaniem dezinformacji – przekonuje Kiełtyka.

PYTANIA O CENZURĘ

Organizacje zrzeszone w Międzynarodowej Sieci Organizacji Fact-Checkingowych (z działających w Polsce to Demagog, AFP, Pravda czy FakeNews) zobowiązują się przestrzegać podstawowych zasad fact-checkingu. To bezstronność i sprawiedliwość, transparentność metodologii, otwarte i uczciwe korekty oraz przejrzystości źródeł oraz finansowania. Informacje organizacje udostępniają na stronie. Także te dotyczące finansowania.

Fundacja „Przeciwdziałamy Dezinformacji” informuje o grantach od organizacji Open Information Partnership i darowiznach pozyskanych przez serwis Patronite. Demagog z kolei podaje, że w minionych latach korzystał z grantów od Ambasady Stanów Zjednoczonych, Fundacji Batorego, a także ze środków Funduszu Inicjatyw Obywatelskich. Pozyskał też finansowanie z funduszy Europejskiego Obszaru Gospodarczego. – Nigdy nie przyjęliśmy i nie przyjmujemy grantu czy innego sposobu finansowania, który ingerowałby w naszą pracę i mógł wpływać na naszą niezależność. Nie finansują nas ani koncerny farmaceutyczne, ani prywatne spółki lobbystyczne – podkreśla Marcel Kiełtyka.

Część twórców i odbiorców treści zwraca jednak uwagę, że fact-checking to próba ograniczania wolności słowa i wprowadzenia cenzury w Internecie. Podnoszą fakt, że zastrzeżenia weryfikatorów informacji co do internetowego posta pociągają za sobą konkretną reakcję serwisu społecznościowego. Ten może zdecydować o ograniczeniu zasięgu czy zablokowaniu użytkownika.

Marcel Kiełtyka nie zgadza się z przyrównywaniem fact-checkingu do cenzury. – Nie usuwamy żadnych treści,

nie zamykamy ust osobom o innym zdaniu. Stawiamy na obalanie fałszywych informacji i oznaczenie nieprawdziwych treści. Dajemy ludziom wybór, dajemy szerszy kontekst informacyjny, staramy się pogłębić ich wiedzę na dany temat, dostarczając rzetelnych informacji – mówi.

Profesor Dąbala fact-checkingowej cenzury się nie obawia. – Jako odbiorcy jesteście szczególnie wyczuleni na cenzurowanie mediów. Wyobraźam sobie sytuację, w której osoby sprawdzające fakty mogą ulec nowomowie czy źle rozumianej poprawności politycznej, ale sądzę, że docelowo fact-checkerzy będą współpracować z naukowcami, z najlepszymi wydziałami dziennikarstwa, a nauka wymaga możliwie największej bezstronności – uważa medioznawca.

NAUCZ SIĘ SAM

Polacy są jednymi z tych, którzy najrzadziej sprawdzają wiadomości zaczerpnięte z sieci. – Według grudniowego badania Eurostatu informacje z serwisów on-line sprawdza tylko 16 proc. Polaków. To jeden z najniższych wskaźników w Unii Europejskiej. Najwyższy odnotowano w Holandii, gdzie 45 proc. respondentów stwierdziło, że w ciągu ostatnich trzech miesięcy zweryfikowało informacje znalezione na stronach internetowych lub w mediach społecznościowych – podkreśla Mary Sibierski.

W badaniu tym za Polakami znaleźli się tylko Rumuni (12 proc. z nich weryfikuje informacje zaczerpnięte z sieci) oraz Litwini (11 proc.).

Aby przeciwdziałać dezinformacji w Europie Środkowo-Wschodniej, 10 lutego zainaugurowano Środkowoeuropejskie Obserwatorium Mediów Cyfrowych (CEDMO). Ośrodek udostępnił stronę cedmohub.eu, na której znajdziemy efekty prac fact-checkerów naszego regionu, a także filmy instruktażowe, dzięki którym nauczymy się, jak dzięki dostępnym w sieci narzędziom samodzielnie sprawdzać informacje. – Najlepszą bronią w walce z dezinformacją jest użytkownik, który posiada umiejętności i narzędzia do samodzielnej weryfikacji podejrzanych wpisów – zaznacza Mary Sibierski z AFP. A prof. Dąbala kwituje: – Najważniejsze jest wyedukowanie ludzi w rozsądnym interpretowaniu faktów. Najłatwiej jest bowiem ogłupić słaby i naiwny umysł.

Dzieci na wulkanie



Piotr Gociek

Siedem nominacji do Oscara dla filmu „Belfast” to największy sukces w karierze Kennetha Branagha

Wszystko to wydarzyło się mniej więcej naprawdę, bo film jest prawdziwym zmyśleniem – Kenneth Branagh urodził się w Belfaście w roku Pańskim 1960, a gdy miał lat dziewięć, jego rodzina podjęła decyzję o emigracji do Anglii. Nadchodziły złe czasy, „czasy kłopotów”, czyli wojny domowej między brytyjskimi lojalistami a irlandzkimi unionistami i zarazem między protestantami a katolikami. Początek tych krwawych wydarzeń oglądamy w filmie „Belfast” oczami dziecka.

Kto oczekuje traktatu o winie i karze, o polityce, zakrętach dziejowych i sekretach terrorystów, ten odejdzie zawiedziony. Film Branagha to opowieść bardzo prywatna, intymna, to opowieść, w której sercu jest rodzina, a nie historia. Będąc dzieckiem, nigdy nie zdajemy sobie sprawy, że coś ważnego dzieje się wokół. Wiemy tylko, że twarze rodziców stają się smutne, że dorośli rozmawiają półgłosem o sprawach, które mają pozostać poza zasięgiem słuchu ich pociech. Niewiele rozumiemy, a chcielibyśmy rozumieć, tymczasem dorośli za wszelką cenę próbują nas przed tym uchronić, bo jeszcze nie pora, bo na duże smutki przyjdzie czas, kiedy sami będziemy duzi.

NADCHODZĄ ZŁE CZASY

„Znany reżyser opowiada o swoim dzieciństwie”? Toż to niemal osobny gatunek filmowy! Ale Branagh omija pułapkę autotematyzmu. Pisałem niedawno o filmie „To była ręka Boga” Paola Sorrentino, który

wracał do czasów, gdy był nastolatkiem, i malował nostalgiczny obraz Neapolu, pod koniec mówiąc wprost: oto, co mnie, artystę, stworzyło. Swoją spowiedź przedstawił Pedro Almodóvar („Ból i blask”). Nie wszyscy wychodzą z takich przedsięwzięć obronną ręką – „Baaria” Giuseppe Tornatore to był film nieznośnie pretensjonalny.

Branagh unika pułapki, wychodzi z zagrożenia obronną ręką, bo idzie w zupełnie inną stronę, „Belfast” nie jest opowieścią artysty, nie jest historią narodzin geniuszu, tylko kawałkiem wspomnień: tak było, to widziałem, pamiętam, tak pamiętam. Patrick Radden Keefe, autor poruszającej książki „Cokolwiek powiesz, nic nie mów. Zbrodnia i pamięć w Irlandii Północnej”, poprzedził ją mottem: „Każdą wojnę toczy się dwukrotnie: pierwszy raz na polach bitewnych, drugi raz w pamięci”. Otóż Branagh w tej wojnie nie zamierza brać udziału, bo odpowiada swym filmem, że zmuszony do wyboru między walczącymi stronami wybie-

FOT. ROB YOUNGSON / FOCUS FEATURES



szkadza. Tymczasem na rogu ulicy staje barykada, wkrótce pojawiają się brytyjscy żołnierze, drut kolczasty, posterunki, godzi na policyjna. Nadchodzą złe czasy.

Dorośli mają się czym martwić: długi rosna, ojciec zarabiający na utrzymanie rodziny w Anglii powrócił do domu, by troszczyć się o bezpieczeństwo rodziny. W Belfaście nie ma jednak dobrze płatnej pracy, nie ma też perspektyw. Pozostają marzenia: A gdyby tak zacząć nowe życie w Kanadzie? A może w Australii? Miliony ubogich Irlandczyków ruszały za chlebem przez wielką wodę. Rodzina Buddy'ego nie jest wprawdzie aż tak biedna jak bohaterowie książek Franka McCourta (pamiętacie „Popiół i żar”?), ale w domu się nie przelewa. Miejscowy bandzior przebrał się w szaty polityczne-go bojownika i próbuje zmusić ojca Buddy'ego do „walki za sprawę”. Wiemy, jak może się skończyć takie zaangażowanie.

Mały Buddy ma własne problemy: zadurzył się po uszy w Catherine, koleżance z klasy, która akurat jest katoliczką. Kapitałne są w tym filmie rozmowy dzieciaków, próbujących rozgryźć skomplikowaną rzeczywistość dorosłych, choćby ta, w której zastanawiają się, czy zawsze po imionach można rozpoznać, z kim ma się do czynienia: z protestantem czy katolikiem. Wkrótce w życiu Buddy'ego pojawi się jeszcze jedna dziewczyna, łobuziara Moira, za której sprawą wpakuje się w tarapaty.

SIEDEM NOMINACJI

Film Branagha nominowany został do Oscara w siedmiu kategoriach (podobnie jak „Pisze pazury” Jane Campion to najbardziej jak dotąd docenione przez Akademię Filmową tytuły roku 2021). Branagh dostał trzy: za najlepszą reżyserię, najlepszy film i najlepszy scenariusz oryginalny. Nie są to dla niego pierwsze tego typu wyróżnienia, pierwsze dwie z pięciu wcześniejszych nominacji dostał ponad 30 lat temu za wyreżyserowanie „Henryka V” i zagranie w nim głównej roli. Tak naprawdę jednak aż prosiłoby się o dodatkową, nieznana Oscarom kategorię – dla najlepszej grupy aktorów, bo w „Belfaście” pierwszorzędną robotę aktorską wykonuje cała gromadka. Stroskanych rodziców grają Caitríona Balfe i Jamie Dornan, ale show kradnie jesz-

cze starsze pokolenie: babcię Buddy'ego gra Judi Dench, a dziadka – Ciarán Hinds.

Chociaż „Belfast” opowiada o trudnych wyborach sprzed półwiecza, to jest filmem idealnie wpisującym się we współczesne lęki zwykłych ludzi (nie wiem, czy to jeszcze milcząca większość czy już tylko zastraszona mniejszość), z niepokojem patrzących na świat, w którym polityka zamiast budować dobro wspólne, żywi się i napędza kreowaniem nowych podziałów oraz pogłębianiem już istniejących. Dobrymi chęćmi wybrukowane jest piekło: film zaczyna się od ataku, którego celem jest wypędzenie katolików, a okaże się, że przede wszystkim do wyjazdu zbiorą się protestanci. Rodzina Buddy'ego ma to szczęście, że przed niemożliwym wyborem może po prostu uciec i zacząć życie na nowo w innym miejscu świata. Nie wszyscy mają ten luksus. A poza tym, co zrobimy, kiedy już nie będzie dokąd uciekać? Tymczasem ci, którym marzą się proste rozwiązania, krzyczą jak bohaterowie wiersza Zbigniewa Herberta „Trzy studia na temat realizmu”: „wybieraj póki czas / wybieraj na co czekasz / wybieraj. / I aby ci pomóc nieznacznie popychamy języczek wagi”.

Dzisiaj turyści przyjeżdżają do Belfastu, by obejrzeć studio filmowe, w którym kręcono „Grę o tron”. Złe czasy odeszły na dobre. Czyżby? Gdy kręcono sezon – bodaj czwarty, siedem lat temu – na ulicach Belfastu dokonano egzekucji jednego z przywódców tzw. Continuity IRA. Zagładam do „The Belfast Times” – nie dalej jak przed miesiącem policja aresztowała w Derry/Londonderry 36-letnią kobietę działającą w Nowej IRA jako członkę komórki odpowiadającej za przygotowywanie zamachów bombowych. Śledztwo dotyczy śmiertelności ładunku podłożonego w samochodzie w roku 2019.

Nie koniec historii, ale koniec utopii – żyjemy na wulkanie. Europa kontynentem pokoju? Zapytajcie o tych, którzy zginęli na tzw. linii demarkacyjnej dzielącej Cypr na część grecką i zabór turecki, zapytajcie o plany imamów promujących islamską guerillę na ulicach zachodnich miast; zapytajcie wdowy z Katalonii, z Kraju Basków, z Irlandii Północnej, zapytajcie rodziny z Donbasu. I strzeżcie się tych, którzy „nieznacznie popychają języczek wagi”.



★★★★★
**REŻ. KENNETH
BRANAGH**
„BELFAST”
**WIELKA
BRYTANIA 2021**

wyst. Jude Hill,
Caitríona Balfe,
Jamie Dornan,
Judi Dench

ra życie. Ciekawi mnie bardzo wybór formalny reżysera: „Belfast” jest filmem czarno-białym, ale wstęp oglądamy w kolorze. Czy to odjęcie kolorów to jedynie sygnał, że udajemy się do krainy pamięci, wyblakłych fotografii? Sądzę, że nie, moim zdaniem to znak istotniejszy: udajemy się na wyprawę do świata, w którym nie tylko zmusza się nas do przyznania, że wszystko musi być koniecznie albo czarne, albo białe, lecz także jeszcze oczekuje, że zaangażujemy się bez reszty po jednej ze stron.

Rodzina małego Buddy'ego (główny bohater filmu, gra go Jude Hill) niespecjalnie interesuje się polityką, ale polityka zainteresuje się nią, kiedy pod oknami rodzinnego domu przetoczy się pierwsza fala zamieszek. To protestancy bojówkarze próbują zmusić katolików do wyjazdu, ale płomienie i kamienie mogą równie dobrze skrzywdzić Buddy'ego i jego matkę; oni akurat są protestantami, ale mieszkają wśród katolików i w niczym im to nie prze-



FOT. MATERIAŁ PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE



W imię córki



★★★★★

REŻ. TOM MCCARTHY
„STILLWATER”
USA 2021

wyst. Matt Damon,
Abigail Breslin,
Camille Cottin

Nowym film Toma McCarthy'ego (twórcy mocno przereklamowanego „Spotlightu”) pełen jest paradoksów. Niby thriller, ale głównie opowieść miłosna. Niby o typowym amerykańskim rednecku, ale to modlący się przybysz z krainy Trumpa będzie uczył postępowych Francuzów tolerancji. Niby film o odkupieniu, ale będzie ono miało straszliwą cenę. Do tego wszystkiego dochodzi jeszcze jedna ciekawa warstwa: metafora polityczna. Jest to bowiem także przypowieść o tym, jak Ameryka, posiadając znikomą wiedzę o tym, co się dzieje w świecie, wyrusza ten świat naprawiać wyposażona jedynie w pobożne życzenia i wiarę we własne pięści.

Milkiwy Bill (znakomita rola Matta Damona), zwyczajny gość z Oklahomy, żadnej pracy się nie boi. Platformy wiertnicze, rozbiórka domów – byle wpadło trochę dolarów. To, co zarobi, wydaje na podróże do Marsylii, gdzie w więzieniu wyrok za morderstwo odsiaduje jego córka Allison (równie dobra Abigail Breslin). Historia Allison przypomina nieco głośną kiedyś sprawę Amandy Knox, Amerykanki skazanej we Włoszech za zbrodnię, której – jak twierdziła – nie popełniła. Kiedy pojawi się cień nadziei, że da się udowodnić niewinność Allison, jej amerykański tata rusza do akcji, choć funduszy nie ma zbyt wiele, a po francusku umie tylko „bonjour”. Nie mamy jednak do czynienia z kinem zemsty. To, co najciekawsze,

będzie działo się między Billem a jego niespodziewaną francuską sympatią. Aktorka Virginie wychowuje samotnie córkę (w tych rolach odpowiednio Camille Cottin i mała Lila Siauvaud, obie znakomite). Bill, jak się domyślamy, nie był najlepszym ojcem, choć dałby się za Allison posiekać. Czyżby w Marsylii dostał od losu drugą szansę?

„Stillwater” to dziwny film, intrygujący ostentacyjnym lekceważeniem konwencji kina gatunków i nicowaniem stereotypów, jednocześnie chwilami irytujący, bo dwie opowieści (kryminalna i romantyczna) często się nie kleją. A jednak nie można oderwać oczu od tego, co robia na ekranie Damon, Breslin i Cottin. Dezorientacja udziela się widzom i krytykom, opinie są mocno podzielone. Ja jestem na tak, w czasach jednostronnych, łopatologicznych i jedynie słusznych niby-dramatów kinowych Tom McCarthy nakręcił film nieoczywisty i skłaniający do myślenia. ©©



NOWE SERIALE: „THE AFTERPARTY”

15 lat po balu maturalnym dawni szkolni przyjaciele spotykają się na zjeździe absolwentów. Od tego, co wydarzy się w dawnej budzie, ważniejsze okazały się wypadki na imprezie zorganizowanej potem przez jednego z nich. Xavier został megagwiazdą pop, ale to już nieważne, bo leży u podłoża własnej willi z roztrzaskaną głową. Kto zabił

i dlaczego? Zagadkę próbuje rozwiązać ambitna detektyw (rewelacyjna Tiffany Haddish), przesłuchująca uczestników imprezy. Każdy ma inną wersję. Każdy w innym stylu. Po średnio udanym odcinku pierwszym serial nabiera tempa. ©© **Piotr Gociek**
• reż. Christopher Miller
„The Afterparty”, USA 2022



NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 2 „Młody Wallander” („Young Wallander”), Wielka Brytania/Szwecja 2022
- sezon 4 „Wspaniała Pani Maisel” („The Marvelous Mrs. Maisel”), USA 2022, prime video
- seria 2 „Tajemnica zawodowa”, Polska 2022, player

Lemur zwany Gilbertem

KINO

Młodość ma swoje prawa, lecz Anaïs, dziewczę frenetyczne, lekkomyślne i frywolne, wyraźnie ich nadużywa. Wieczne spóźniona i w niedoczasie, zamiast skupić się na pisaniu pracy dyplomowej, prowadzi intensywne życie towarzyskie i uczuciowe. Wzorem słynnej imienniczki, gwiazdy artystycznej bohemy przedwojennego Paryża, wkleja się w romans ze znacznie starszą od siebie parą literatów. Zalega z czynszem, więc latem wynajmuje swoje locum przypadkowym Chińczykom. Mężczyźni z jakichś tajemniczych powodów są tą kapłanką chaosu zafascynowani.

Powiedzieć, że Anaïs odstaje od otoczenia, byłoby jednak nadużyciem. Jej brat karmi lemura psychotropami, schorowana

matka relaksuje się, oglądając filmy o seryjnych mordercach, a o ojcu szkoda nawet gadać.

Pełnometrażowy debiut Charline Bourgeois-Taquet dużo mówi o tym, jak Francuzi widzą samych siebie.

„Tak, jesteśmy kochliwi, ale otwarci. Potrafimy trzymać fason, nawet kiedy sprawy idą w złym kierunku. A przede wszystkim umiemy do utraty tchu korzystać z uroków życia, natury i kultury” (inni nazywają to hedonizmem). Dopóki fabułę samotnie dźwiga na swych barkach Demoustier, dopóty nie jest dobrze. Na szczęście z odsieczą nadciąga Tedeschi, która pięknie się starzeje – jako kobieta i aktorka. Jeśli warto obejrzeć „Zakochaną Anaïs”, to głównie dla niej. ©© Wiesław Chełmiński



★★★★★
REŻ. CHARLINE BOURGEOIS-TAQUET
„ZAKOCHANA ANAÏS” („LES AMOURS D'ANAÏS”)
FRANCJA 2021

wyst. Anaïs Demoustier, Valeria Bruni Tedeschi, Denis Podalydès



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ODROBINA ODWETU

MOJEBOKNO.PL



★★★★★
REŻ. ANDERS THOMAS JENSEN
„JEZDŹCY SPRAWIEDLIWOŚCI” („RET FÆRDIGHE-
DENS RYTTERE”)
DANIA 2020

wyst. Mads Mikkelsen, Nikolaj Lie Kaas, Nicolas Bro

Ciąg przyczynowo-skutkowy prowadzi od kradzieży roweru do śmierci żony Markusa w wypadku, który być może wypadkiem nie był. Wdowiec, agresywny jak na zawodowego żołnierza przystało, lecz średnio rozgarnięty, daje posłuch ekscentrykom, ślepo wierzącym w algorytmy, dane statystyczne oraz własną intuicję. Cóż, istnieją zbiegi okoliczności, które mogą ogłupić nawet superwydajny komputer, matematyka wcale nie jest nauką ścisłą, liczby czasem kłamią, a genialni hakerzy są tylko ludźmi. Trup ściele się gęsto, zbiorowa terapia daje spektakularne wyniki. Czegoż innego można było oczekiwać od Jensena – reżysera „Jabłek Adama” i mistrza czarnego humoru? Niezawodny Mikkelsen tym razem jest jednym z równych. Zapowiadany hollywoodzki remake może być tylko gorszy. Trudno uwierzyć, by jankesi zaakceptowali tezę, że teorie spiskowe może nie tłumaczą świata, lecz pomagają go uporządkować i ośwoić.

WYPRZEDZIŁ EPOKĘ

arte



★★★★★
REŻ. DIMITRI KOURTCHINE
„FANTOMAS. PIERWSZY CZARNY CHARAKTER” („FANTÔMAS DÉMASQUÉ”)
FRANCJA 2021

Fantomas, młodszy brat Arsena Lupina, dawno już zniknął z ekranów. Filmowcy co jakiś czas przymierzają się do jego reaktywacji kaptuluja, nie widząc szans na przełamanie popkulturowej dyktatury Amerykanów lub pod ciśnieniem rzeczywistości. Zbir w masce, owałdnięty żądzą krwi i destrukcji, przypomina bowiem terrorystów, którzy wystrzelali w paryskim klubie Bataclan fanów ciężkiego rocka i próbowali wysadzić w powietrze stadion pełen kibiców piłkarskich. Uwielbiał rozgłos. Wstrzykiwał szczurom wirusy, by wywołać zarazę. Francuski dokument przypomina rodowód socjopatę, sięgający 1911 r., oraz modernistyczne konsekwencje tej postaci. Ujawnia, że sukces komedii z Louisem de Funèsem w Kraju Rad doprowadził do interwencji KGB. Człowiek, który wymyślił Fantomasa, oburzony, że „z dreszczowca zrobiło się blażeństwo”, już wcześniej wytoczył wytwórni Gaumont proces i wywalczył sude odszkodowanie. ©©

recenzuje Wiesław Chełmiński

GRA TYGODNIA: „DYING LIGHT 2”

Wirus zmieniający ludzi w zombi obraca w grzyby cywilizację i spycha ludzkość do nielicznych osad i ostatniego miasta, w których trzeba walczyć o przetrwanie. Nasz bohater poszukuje zaginionej siostry. Po drodze podejmuje decyzje, które mają wpływ na przebieg fabuły,

co jest nowością w porównaniu z częścią pierwszą. Sztampa? Tak, ale połączenie postapokaliptycznego świata z nawalanką z zombiakami i... parkourem (bo skakanie po dachach budynków jest tu częstym sposobem przemieszczania się) tworzy ciekawą mieszankę. Spóźniony, ale udany,



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

choć niepozabawiony błędów, sequel wrocławskiego studia. ©©

Radosław Wojtas

- Gatunek: Akcja, FPP
- Platforma: XSX, XONE, PS5, PS4, PC
- Producent, wydawca PL: Techland, Cenega

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Wojna Johna Steinbecka

Sto dwadzieścia lat temu urodził się John Steinbeck. Przed 60 laty otrzymał Nagrodę Nobla, a było to w czasach, gdy wyróżnienie to otrzymywali jeszcze prawdziwi pisarze, których książki rozchwytywano, a czytali je nie tylko zawodowi literaturoznawcy. Ci ostatni, szczególnie w Szwecji i Stanach Zjednoczonych, kręcili zresztą nosem na wybór Akademii Królewskiej, utrzymując, że Steinbeck dawno już powiedział to, co miał ważnego do powiedzenia, zanadto filozofuje, stroi się w szaty kaznodziej, a co najważniejsze – jest jakby nadto popularny, język ma nie dość wyrafinowany, narrację prowadzi tradycyjnie etc. Trudno było jednak zakwestionować fakty, a te – w liczbach! – pokazywały, jakim wzięciem cieszyły się książki autora „Gron gniewu”, poczynając od sukcesu, który w 1935 r. osiągnęła „Tortilla Flat”, przez „Myszy i ludzi” (1937), „Ulicę Nadbrzeżną” (1945), „Na wschód od Edenu” (1952), aż do przyjętej może z największymi zastrzeżeniami „Zimy naszej goryczy” (1961).

Największym osiągnięciem pisarskim Johna Steinbecka pozostają jednak „Grona gniewu” (1939), niemal zaraz po wydaniu uhonorowane National Book Award i Pulitzere, powieść, w której jak może w żadnym innym jego utworze uwidatnił się – zacytuję tu werdykt noblowski – „realistyczny i poetycki dar autora połączony z subtelnym humorem i ostrym widzeniem spraw społecznych”. Łączny nakład wydań tej powieści w świecie sięga już 15 mln egzemplarzy i znów się zwiększy, bo to od „Gron gniewu” właśnie oficyna Prószyński Media rozpoczęła teraz edycję najważniejszych dzieł tego dziś już klasyka literatury amerykańskiej.

W listopadzie 1963 r. gościliśmy Steinbecka w Polsce. Przyleciał z żoną, umieszczono go w apartamencie hotelu Bristol naszpikowa-



FOT. BETTMANN/GETTY IMAGES

nym przez SB „pluskami”. O wizycie tej pisała niedawno smakowicie w „Do Rzeczy” Joanna Siedlecka, a zakończyła się ona fatalnie wraz z nadejściem wieści z USA o zabójstwie prezydenta Kennedy’ego, tego samego, który wyekspediował pisarza za żelazną kurtynę w celu ocieplenia stosunków z krajami komunistycznymi.

O autorze „Gron gniewu” pisano jednak nad Wisłą z uznaniem, do czasu jednak. W 1967 r. pisarz polecił bowiem do Wietnamu, by z bliska przyjrzeć się wojnie, której był zwolennikiem, a w której brało udział dwóch jego synów. Jednego z nich odwiedził w rejonie walk, gdzie podobno spędził jakiś czas na stanowisku karabinu maszynowego. Uznano go za „jastrzębia”, a liberalni intelektualści załamywali ręce nad tym, co stało się z tak dobrze niegdyś zapowiadającym się „towarzyszem drogi”.

Bo i rzeczywiście; w 1935 r. Steinbeck wstąpił do League of American Writers, a na początku wojny złożył podpis pod niechlubnym listem popierającym sowiecką agresję na Finlandię. Później wyjechał do Europy, był korespondentem wojennym, towarzyszył komandosom w ich działaniach na wyspach na Morzu Śródziemnym, został ranny. A z lewicowymi poglądami rozstał się definitywnie,

co nie znaczy, że zatracił wrażliwość na krzywdę społeczną, a nie jest to wcale wyróżnikiem tylko jednej opcji politycznej.

Bohaterami książek Johna Steinbecka byli często prości ludzie, krzywdzeni przez bezwzględny system kapitalistyczny, tacy jak Joadowie z „Gron gniewu”, których wielki kryzys spauperyzował, pozbawił dzierżawionej ziemi, skazał na nędzę i tułaczkę. A jednocześnie z tej ponurej naturalistycznej opowieści bije wiara w ludzką solidarność, w możliwość i potrzebę przeciwstawienia się złu. W swojej mowie noblowskiej laureat wskazywał, że „pisarz ma głosić i sławić udowodnioną zdolność człowieka do wielkości serc i ducha – do waleczności w porażce, do odwagi, współczucia i miłości. W niekończącej się wojnie ze słabością i rozpaczą, są to jasne sztandary nadziei...”.

Mimo ogromnej poczytności miały też „Grona gniewu” swoich zawziętych przeciwników. Zakazywano edycji książki, usuwano z programów szkolnych, ba, palono nawet. W Ameryce, nie gdzie indziej. Ale też mało który pisarz miał takie szczęście do ekranizacji swoich książek, że przypomnę tylko „Grona gniewu” właśnie w reżyserii Johna Forda z Henrym Fondą jako Tomem Joadem, dwukrotnie sfilmowane, w latach 1939 i 1992, „Myszy i ludzi”, „Na wschód od Edenu” Elii Kazana z 1955 r. z Jamesem Deanem czy „Ulicę Nadbrzeżną” w reżyserii Davida S. Warda z Nickiem Noltem z 1982 r.

Wszystkie te i jeszcze inne utwory ukazywać się będą obecnie nakładem Prószyńskiego. W zapowiedziach znajdujemy także biografię pisarza pióra Williama Soudera – „Wściekły na świat”, zbiór wywiadów „Steinbeck. Rozmowy” pod redakcją Thomasa Fenscha i niepublikowane teksty non-fiction „Ameryka i Amerykanie”. Będzie co czytać. ©©



★★★★★
JOHN STEINBECK
„GRONA GNIEWU”
PRÓSZYŃSKI,
WARSZAWA 2022



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Chędożony świat

Stali czytelnicy powieści Marka Krajewskiego doskonale zaznajomieni są z różnymi perwersjami, orgietkami, lupanarami tudzież innymi atrakcjami wynikającymi z ludzkiego zamięłowania do chędożenia. W „Demonomachii” chęć i chędożenie odgrywają rolę bardzo ważną, ale gorączka zmysłów kryje przesłanie mocno tradycyjne. Siły nieczyste istnieją i nawet w żartach nie ma co się do nich odwoływać. Przekonuje się o tym krakowski maturzysta Stefan Zborski, uwikłany w intrygę, która – jak mu się wydaje – rozpoczęła się od pewnego nieudanego seansu spirytystycznego. Grzeszenie myśla może mieć opłakane skutki, a wymarzone brewerie nie przynoszą spełnienia, jeno żal. Seksualna aktywność w wielokątach, nawet wśród artystów, nie jest oznaką nowoczesności, lecz opętania. Co na to miłośnicy poliamorii z „Newsweeka”?

Krajewski zdradził kiedyś w wywiadzie na łamach „Do Rzeczy”, że marzy mu się napisanie powieści o czasach antycznych. Na razie pozostaje zakonany w polskiej historii nowożytnej. Najnowszą książką zaprasza nas do Krakowa u kresu XIX stulecia. Podstawowy skład alchemicznych receptur Krajewskiego został w niej utrzymany: wartka akcja, makabra,

mnóstwo atrakcyjnie podanej wiedzy historycznej plus zagadka do rozwiązania. Tyle że w tym przypadku niemal do końca nie wiemy, czy da się ją wytłumaczyć ludzkimi knowaniami, których motorem jest chęć, czy też sięgnąć trzeba do świata nadnaturalnego. Szkoda, że wydawnictwo popsuło frajdę czytelnikom, informując od razu na okładce, że to „powieść o demonach”. Nie lepiej było pozostawić ich w niepewności?

Odyseja Zborskiego (od ucznia do alumna, od niedosłego księdza do studenta psychologii i świeckiego demaskatora duchów uzbrojonego w dzieła Freuda i Frazera) jest okazją do nieustannego ścierania się światów. Świata Polaków i świata Żydów (zagadka wywiedziona jest z kabały, a słowo „dybuk” pojawia się nieprzypadkowo), świata wierzących i wątpiących, świata cnót i występku. Trudno nie podziwiać roboty Krajewskiego, research jest imponujący, a jednak całość nieco rozczarowuje – finałowym

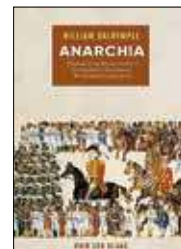
scenem brak mocy, a intryga wydaje się chwilami mocno naciągana. „Ku przestrodze”, jak informuje pisarz, powstała ta powieść. Niech przestrożę weźmie od serca i sam autor: czasem nawet z idealnej receptury powstaje napitek umiarkowanie smaczny. ©©



★★★★★
MAREK KRAJEWSKI
„DEMONOMACHIA”
ZNAK 2022

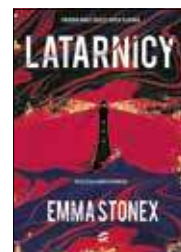
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Wielkie zyski, militarne interwencje, polityka prowadzona bez oglądania się na państwa i granice – to nie opis korporacji z XXI w., lecz dzieje Brytyjskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej. Mistrz reportażu historycznego nie zawodzi.



WILLIAM DALRYMPLE
„ANARCHIA”
NOIR SUR BLANC

Było ich trzech, zamkniętych w latarni na końcu świata. Zniknęli bez śladu. Dekady później zagadkę próbuje rozwikłać pisarz Dan Sharp. Zaczyna od wywiadów z kobietami zaginionych mężczyzn. Więcej niż kryminał.



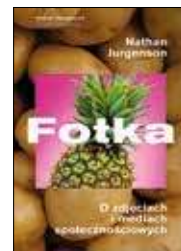
EMMA STONEX
„LATARNICY”
CZARNA OWCA

„Śmierć nauczycielką życia” – przypomina w podtytule autor, z jednej strony sięgając ku religii chrześcijańskiej, by zrozumieć sens wydarzeń ostatnich dwóch lat, z drugiej – by sporządzić listę zagrożeń czasów ponowoczesnych.



JANUSZ SZEWCHAK
„PANDEMIA GRZECHEU”
BIAŁY KRUK

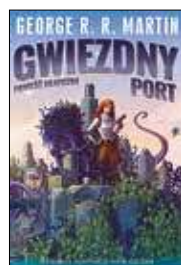
Rzecz o zdjęciach i mediach społecznościowych, czyli o radykalnej zmianie, jaka zaszła w sposobie uwieczniania tego, co wokół nas. Zmianie kulturowej. Pozycja wydana we współpracy z Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie.



NATHAN JURGENSON
„FOTKA”
WYDAWNICTWO KARAKTER

KOMIKS TYGODNIA: „GWIEZDNY PORT”

Niedaleka przyszłość. Ziemię odwiedzają niespodziewanie przybysze z kosmosu, ale nie po to, by nas podbić, lecz by zaproponować nam wejście do organizacji zwanej Harmonią Światów. W Chicago, Kopenhadze i Singapurze powstają gwiazdne porty – wrota, którymi napływają rozmaite obce formy życia. A wraz z przybyszami pojawiają się kłopoty. Ziemską policję czekają ciężkie czasy.



GEORGE R.R. MARTIN, RAYA GOLDEN
„GWIEZDNY PORT”
ZYSK I S-KA 2022

Fantastyka z przymrużeniem oka wedle scenariusza George'a R.R. Martina, czyli autora głośnej „Gry o tron”, który z uporem godnym lepszej sprawy zamiast kończyć sagę, rozmięka się na drobne. ©©

poleca Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Malczewski romantyczny

Poeta malarstwa i malarz poezji, którego inspirowały poezja, zwłaszcza romantyczna, i – szerzej – polski romantyzm. Malarz na wskroś prześiąknięty polskością, poruszający się w swej twórczości wśród takich problemów jak ojczyzna, życie i śmierć. Nie mógłby pozostać niezauważonym w Roku Romantyzmu Polskiego, a przypomnijmy, że Sejm RP ustanowił rok 2022 właśnie Rokiem Romantyzmu



FOT. ICHNACI FELIKSAN KRUPINSKI / JMK

Polskiego w związku z 200. rocznicą pierwszego wydania „Ballad i romansów” Adama Mickiewicza.

Wpisując się w obchody tego roku, Muzeum Narodowe w Krakowie prezentuje ekspozycję poświęconą romantyzmowi w twórczości Jacka Malczewskiego. Na ekspozycję składa się ponad 150 prac malarza, a także korespondujące z nimi teksty literackie oraz zdjęcia artysty. Wystawa „Jacek Malczewski romantyczny” koncentruje się wokół trzech wątków wyrosłych z tradycji romantycznych. Pierwszym jest inspirowany Słowackim mesjanizm, drugim – fascynacja folklorem i ludowymi legendami. Trzeci stanowią rozważania Malczewskiego o sztuce i wyjątkowości artysty. ©

GDZIE? Muzeum Narodowe w Krakowie, Gmach Główny
KIEDY? do 31 lipca 2022 r.



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Z SIENKIEWICZEM PRZY KAWIE

Henryk Sienkiewicz napisał ok. 15 tys. listów do 800 adresatów, co – jak przeliczył prof. Julian Krzyżanowski – daje jedną–dwie wiadomości każdego dnia przez 25 lat! Do dziś zachowały się „tylko” 3 tys. z nich. Fundacja WSPAK wybrała 150 listów i przygotowała z nich cykl podcastów „Z Sienkiewiczem przy kawie” (czyta Marcin Popczyński). Są to listy różnej wagi, często dotyczące spraw przyziemnych, nierzadko poważnych, ale zawsze pisane piękną polszczyzną, w literackiej formie. I tak każdego dnia. Przez ćwierć wieku. Tytan. ©

GDZIE? Spotify, YouTube,
www.fundacja.wspak.pl/sienkiewicz

NA SŁUCH

Metalowa serotonina



GRZEGORZ BRZozowicz

Pionierzy nu metalu, kierunku powstałego w latach 90., przeżywają prawdziwy renesans. „Requiem” jest ich drugim z rzędu albumem, który podbił zarówno serca krytyków, jak i fanów.

Kalifornijczycy na 14. albumie atakują jak za najlepszych lat, nie stosując zbędnych ozdóbek. Gitarowe szarże pozbawione solówek, wielogłosowe śpiewy i miążdżąca sekcja rytmiczna są wciąż znakiem rozpoznawczym Korn. Ponadto covidowy lockdown sprawił, że zespół nagrał album, na którym zamiast przerażać nas otaczającą rzeczywistością, chce ją uzdrowić. Oczywiście Jonathan Davis i spółka nie wydali radosnego, popowego albumu. Potężny huragan emocjonalnego zgiełku przewija się przez

album, tylko przekaz zespołu tym razem daje nadzieję na odrodzenie. Wystarczy przytoczyć tytuł „Rozpocznij uzdrawianie”. Zespół nie zapomina o swoich korzeniach (agonalny, metalowy „Hopeless & Beaten”), ale też poszukuje nowych rozwiązań (nowatorskie harmonie wokalne w „Let the Dark Do the Rest”). Kończący album, monumentalny „Worst Is On Its Way” studzi pozytywistyczną wymowę albumu. Davis przestrzega w nim, że kiedy życie zaczyna być przyjemne, to nieuchronnie nadchodzi tragedia.

Krótko, zwięźle i na temat. Najdłuższy utwór ma cztery minuty. W odróżnieniu od gwiazd popularnego prog metalu Korn nie musi rozciągać utworów w nieskończoność, by przekazać ozdrowieńczy zastrzyk metalowej serotoniny. ©



★★★★★
KORN
„REQUIEM”
LOMA VISTA



★★★★★
TOMASZ DĄBROWSKI & THE INDIVIDUAL BEIN
„ISTNIENIA POSZCZEGÓLNE”
APRIL

To hołd dla Tomasza Stańki. Tomasz Dąbrowski gra na jego trąbce. 10. album jazzmana mieszkającego w Skandynawii zawiera muzykę improwizowaną, inspirowaną dokonaniem mistrza i surowym klimatem północy.



★★★★★
JAH WOBBLE
„METAL BOX – REBUILT IN DUB”
CLEOPATRA

Po 42 latach od wydania basista nagrał nową wersję albumu „Metal Box” zespołu PIL, arcydzieła nowej fali. Brak Johna Lydona (eks-Sex Pistols) sprawia, że większość utworów jest instrumentalna. Dwie kompozycje zostały zastąpione przez piosenki z debiutu grupy. Mocarne brzmienie. ©

Nie próbujemy go wygładzić



Grzegorz
Kondrasiuk

„Judasz”, adaptacja powieści Amosa Oza, to zarówno spektakl aktorski, grany mocno i intensywnie, jak i teatr literatury

Nigdy dość pisania o teatrze, w którym wyraźnie słychać głos mądrego autora. O teatrze tworzonym z autentycznej ciekawości, teatrze zaczynającym się od pytań: Co dobra literatura ma do powiedzenia na scenie poprzez aktorów? Co się stanie, jeśli przyłożymy szkiełko scenicznego świata do utworu wielowarstwowego, osadzonego w kontekstach, opierającego się prostej interpretacji?

Taki właśnie jest teatr Adama Sajnuka, szefa Teatru WARSawy. Najnowsze dzieło Sajnuk pokazał na scenie Malarnia w Teatrze Studio i jest to premiera co najmniej godna uwagi.

„Judasz”, reżyserska adaptacja powieści Amosa Oza pod tym samym tytułem (jej polska prapremiera), to zarówno spektakl aktorski, grany mocno i intensywnie, jak i teatr literatury. Te dwa porządki wcale nie muszą się wykluczać, więcej

nawet ich zestrojenie może prowadzić do doskonałych efektów, pod kilkoma warunkami. Warunkiem wyjściowym jest wysoki poziom literacki pierwowzoru, który wcale nie musi być literaturą w prosty sposób teatralną. Sajnuk (po raz kolejny zresztą) postawił na adaptację prozy z bardzo dobrze napisanymi dialogami i monologami, przepełnionej żywą mową, całą zrobioną z tego rodzaju mówienia, jakiego można było doświadczyć w Izraelu w ubiegłym stuleciu.

Innym bezwzględny warunkiem jest trafiona w stu procentach obsada, która potrafi stworzyć sceniczne postaci – a nie szkice, wariacje czy karykatury, zrobione na chybcika, na zasadzie łatwego mrugania okiem do publiczności i prawienia banałów „od siebie”. Na scenie zaledwie troje aktorów (i jeden muzyk – Michał Lamża). To wystarczy na dobre trzy i pół godziny prawdziwej obecności na scenie (z przerwą na odetchnięcie) i ani jednej dłużyzny, bez scen dziurawych, treściowo pustych, aktorsko symulowanych. Trzy role z prawdziwego zdarzenia, byty osobne, wypracowane zapewne w niełatwym procesie. Wreszcie warunkiem jest odrzucenie reżyserskiego efekciarstwa w myśl zasady „mniej znaczy więcej”.

Prosta reżyseria nieprostej literatury. Bo Asz w „Judaszu”

opowiada kameralną historię rozgrywającą się pomiędzy trzema osobami, w różnym wieku i o różnych poglądach. W świetnie naszkicowanym przez scenografkę (Katarzyna Adamczyk) dziwnym domu mieszkają: stary, zgorzkniały intelektualista Wald (Bartosz Opania) i Atala (Kamila Baar), samotna i niezależna wdowa, wnuczka radykalnego działacza zniszczonego przez syjonistów.

Trudno uwolnić się od skojarzeń literackich (konwencja Bildungsroman, „Czarodziejska góra” itd.), kiedy orientujemy się, że katalizatorom uwalniającym ich wspomnienia z przeszłości, debaty polityczne i filozoficzne jest pojawienie się w domu młodego Szmuela (Paweł Brzeszcz), poszukującego swojego miejsca w złożonym pejzażu religijnym i politycznym Jerozolimy, lewicującego ateisty zafascynowanego postacią Chrystusa. Mądry Amos Oz zmienia perspektywę, wie, że nieredukowalna istota ludzka składa się z wielości, z tego, co egzystencjalne, religijne, społeczne, polityczne, a także z pożądania i sublimacji. Sięgając do znanej choćby od Dostojewskiego techniki polifonii: każdy tutaj ma rację – a zarazem nikt jej do końca nie ma. A aktorzy Sajnuka to wszystko wygrywają.

Choć scenariusz jest propozycją dla zespołu, bez głównych ról, to trzeba przyznać, że w „Ju-

daszu” najwięcej waży wielka, zaskakująca rola Bartosza Opani (z całym szacunkiem dla całej ekipy). Unieruchomiony na wózku gaduła jest najbardziej ruchliwą, ekspansywną postacią, komentującą akcję bezceremonialnie, chrypliwym głosem gdzieś z głębi krtani, mimiką, przedrzeźnianiem, szyderczymi uśmiechami. To żydowski Sokrates, erudyta i bezlitosny aforysta, wyśmiewający lewicowych zbawicieli ludzkości, ogniskujący na sobie całą uwagę od pierwszego pojawienia się, kiedy oświadcza: „Człowiek, jak pisał Immanuel Kant, jest ze swej natury tylko krzywym i chropowatym kawałkiem drewna. I nie próbujemy go wygładzić, żebyśmy nie skąpali się po szyję we krwi”.

W kontraście – idealista Paweł Brzeszcz, cały jest witalnością i niepokojem. I silna, powściągliwa Kamila Baar. Jej Atala to piękna kobieta, niepozwalająca sobie na żadne złudzenia, niosąca żałobę po jedynej miłości. Precyzyjnie i konsekwentnie prowadzi swą postać aż do przewrotnego finału, którego nie zdradzę, a w którym nie ma, bo być nie może, żadnej jasnej, łatwej konkluzji. ©©

**TEATR WARSAWY „JUDASZ”
WEDŁUG POWIEŚCI AMOSA OZA
REŻYSERIA, SCENARIUSZ: ADAM
SAJNUK
PREMIERA: 7 LUTEGO 2022 R.**



Po pierwsze – bezpieczeństwo Polski

Rzeczy należy widzieć w procesie, którego są efektem. Nowa fala ekspansji rosyjskiej zaczęła się od sforsowania przez Moskwę oporów Łukaszenki wobec pogłębienia integracji z Rosją. Jak trafnie zauważył Robert Kuraszkiewicz w „Polsce w nowym świecie” – dla Rosji Białoruś to priorytet, strategiczny i demograficzny. Jej pełne podporządkowanie to jak zjednoczenie Niemiec, po którym Republika Federalna, państwo o statusie wcześniej porównywalnym z Francją i Wielką Brytanią (silniejsze ekonomicznie, słabsze militarnie), stało się nagle hegemonem nowo powstającej Unii Europejskiej.

Narzędziem presji na podporządkowanie („integrację”) Białorusi był przede wszystkim przymus energetyczny. Rosja uznała, że Białoruś się jej wymyka, jej prezydent robi coraz więcej gestów wobec opinii narodowej, prowadzi politykę „odgórnej białorusienizacji”. Najgroźniejsze, z punktu widzenia Rosji, były aktywnie wspierane przez Polskę rozmowy



Marek Jurek

Perspektywa globalnego konfliktu w nadchodzących latach jest całkiem realna, chodzi więc o to, by groźba jego konsekwencji dla Polski była w przyszłości możliwie najmniejsza

amerykańsko-białoruskie o uniezależnieniu energetycznym.

Niestety, w pojęciu wschodnim suwerenna władza wyklucza realną (a czasami – jakąkolwiek) opozycję. W sierpniu 2020 r. na Białorusi odbyły się wybory prezydenckie. Władze ogłosiły, że prezydent uzyskał reelekcję z poparciem 80 proc. wyborców, jego główna konkandydatka Swiałłana Cichanouska miała dostać jedynie 10 proc. głosów. Wybuchły masowe protesty, które Łukaszenkę przeraziły, a Rosjanom dały okazję do przejścia kontroli nad jego państwem.

Niezależnie od zrozumienia dla wolnościowej opozycji trudno pojąć, dlaczego owocna polityka umacniania białoruskiej niepodległości, prowadzona przez nas wspólnie z Amerykanami, została natychmiast po wyborczych protestach w Mińsku porzucona na rzecz „walki o demokrację” u boku UE. Nie chodziło o to, by ignorować masowy sprzeciw wobec sfałszowania wyborów, ale by reagować rozumnie, nie odrochowco. Poprawiwszy w poprzednich miesiącach stosunki z władzą, a zachowując dobre relacje z opozycją, władze Rzeczypospolitej miały wszelkie dane, by

Najbardziej konkretną reakcją na kryzys ukraiński powinno być podjęcie od razu i dobrze ukierunkowane zwiększenie wydatków obronnych. FOT. PIOTR MOŁĘCKI/EAST NEWS



(Imperium Zła, jak go określił Ronald Reagan), to Zachód z wolności tej na ogół rezygnował. Putin otwarcie mówił, że rozpad ZSRS uważa za globalną katastrofę geopolityczną – Zachód uznawał to za wyraz nieprzyjemnych, ale zrozumiałych sentymentów. To tak, jakby przyjmowano milcząco, jako wyraz uprawnionej specyfiki narodowej, deklaracje kancle-rza Niemiec o upadku Trzeciej Rzeszy jako kontynentalnej katastrofie, zno-szącej ostatnią barierę wobec ekspansji Stalina. Nie musiałyby tego mówić nawet kanclerz lub kandydujący na kanclerza lider opozycji; wstrząs międzynarodowy wywołałyby podobne opinie wygłoszone przez któregośkolwiek członka władz partii mającej jakiegokolwiek szanse na wejście do Bundestagu.

Natomiast przedstawianie przez Pu-tina w oficjalnych mowach (na przykład na Westerplatte w 2009 r.) najazdów sowieckich w początkach drugiej wojny światowej jako zrozumiałej prewen-cji wobec antykomunizmu Zachodu, najzupełniej afirmatywna identyfikacja z ZSRS – nie budziły żadnej reakcji. Pro-bblemy zaś, którym pozwala się rosnąć, nabrzmiewają. Stara zasada dyplomacji mówi, że najłatwiej określić stanowisko w pierwszej fazie rozmów, potem jest już coraz trudniej.

Zachód Sowiety zapomniał. Związek Sowiecki traktowano niczym inne nieist-niejące państwa: Cesarstwo Austro-Wę-gierskie, Królestwo SHS albo Czechosło-wację. Część historii, po prostu, a skoro tak, czemu nie można do niej „kreatywnie” nawiązywać? Gdy Dmitrij Pieskow, rzecznik prezydenta Rosji, wygłosił w ubiegłym miesiącu jawnie sowiecką deklarację, że „NATO to narzędzie kon-frontacji, sojusz, który tak był pomyślany, tak był projektowany, tak powstał, tak się rozwija i tak funkcjonuje”, nikt mu spokojnie nie odpowiedział, że przy-mierze atlantyckie powstało, by bronić Europy przed agresywną i wywrotową polityką Związku Sowieckiego, a istnieje, by państwom, które uzyskały wolność po upadku ZSRS, zagwarantować, że system sowiecki w żadnej formie nie wróci. Ten brak reakcji to chyba najlepszy dowód „totalnie obronnego” charakteru NATO. W okresie zimnej wojny istniał na obrze-żach głównego nurtu polityki Zachodu antykomunizm werbalny – dziś nawet takiego już nie ma. Formalna odmowa Parlamentu Europejskiego przyjęcia rezolucji potępiającej układy jałtańskie

(w ich 75. rocznicę) stanowiła najbar-dziej dobitny tego przykład.

ZACHÓD I „ROSYJSKA KRZYWDA”

Tę asymetrię moralną potwierdza nawet analiza najbardziej radykalnego stanowiska wobec Rosji, jakie (wśród państw zachodnich) zajęła Wielka Brytania. Jak widać – wbrew propagan-dzie zwolenników supremacji UE nad państwami – brexit nie osłabił solidar-ności atlantyckiej Brytyjczyków, raczej ją wzmocnił i to żaden paradoks. Boris John-son mówi dziś to, co przywódcy Zachodu powinni byli mówić już w czasie agresji na Gruzję, w 2008 r. Wzywa do przywrócenia równowagi strategicznej, jednak nawet on nie mówi o uzasadnionej reakcji narodów Europy Wschodniej na okupację i sowiec-ki ucisk, tylko o „podstawowych przeko-naniach zapisanych w Karcie Narodów Zjednoczonych”, o „prawie do wyboru swojego suwerennego losu”. Regułę tę potwierdziło wtorkowe wystąpienie prezydenta Bidena, zapowiadające ostre sankcje ekonomiczne, potwierdzające aktualność art. 5 Traktatu północnoatlan-tyckiego (w praktyce – gotowość zbrojnej obrony państw bałtyckich), współpracę wywiadowczą z Ukrainą. Związek Sowiec-ki w tym przemówieniu nie został wspo-mniany ani razu. Owszem, była aluzja do ZSRS, jako (a jakże) sojusznika w walce z faszyzmem z czasów wojny światowej. Najzwięźlej nastawienie Zachodu oddał jednak mentor obecnego prezydenta USA, były prezydent Barack Obama.

W „Ziemi obiecanej”, swych prezyden-cich pamiętnikach, Obama pisze, że dzięki rozmowom z Putinem (prowadzonym krótko po agresji na Gruzję) zrozumiał, że rosyjskie pretensje do Ameryki (o rozsze-rzenie NATO w szczególności) wyrażają „autentyczne poczucie krzywdy”. Z podob-nym nastawieniem pojechał do Moskwy – jako pierwszy zachodni przywódca w trak-cie kryzysu ukraińskiego – prezydent Francji Emmanuel Macron. Oświadczył, że trzeba szukać „użytecznych rozwiązań, któ-re pozwolą uniknąć wojny oraz budować zaufanie i stabilność”, bo „nie ma bezpie-czeństwa dla mieszkańców Europy, jeśli nie ma bezpieczeństwa dla Rosji”. Zapytany o „finlandyzację Ukrainy” odpowiedział, że „jest jedną z opcji do rozważenia”, ale „nie chodzi teraz o wynajdywanie formuł, tylko o wymyślenie czegoś z definicji nowego”. Komentatorzy zinterpretowali to nie jako nawiązanie do statusu Finlandii w czasach sowieckich, ale jako propozycję utrzyma-

zaproponować mediację na rzecz poli-tycznego rozwiązania konfliktu. Niestety, zignorowano opinie wybitnych eksper-tów, jak Marka Budziszka, który przekonu-jąco wykazywał, że wstrząsy polityczne na Białorusi są nie tylko reakcją na brak wolności politycznej, lecz także wyrażają autentyczne różnice społeczne. Wybra-liśmy wątpliwą moralistykę, wzięliśmy udział w pchaniu Łukaszenki w ramio-na Moskwy, wskutek czego Białoruś (i białoruska opozycja) straciła dziesiątki tysięcy zdolnej, aktywnej młodzieży, któ-ra wyjechała na emigrację, a Putin zyskał świetną okazję, by kompletnie zwasali-zować Mińsk. Po realizacji białoruskiego priorytetu Rosja mogła obrócić ekspan-sję w kierunku Ukrainy.

ZAPOMNIANY ZWIĄZEK SOWIECKI

Wolność społeczna zakłada – jako fakt naturalny – różnice opinii. Dotyczy to również relacji państw. Niestety, jeśli chodzi o stosunek do świeżego prze-cież dziedzictwa Związku Sowieckiego

nia partnerstwa z NATO bez wchodzenia do NATO. Macron podał też kryterium rozwiązania, którego należy szukać: „Nie rozwiąże się spraw, zostawiając Ukrainę w no man's land, bez możliwości suwerenności i bezpieczeństwa”.

Stanowisko Niemiec idzie w tym samym kierunku co Francji, tyle że dalej. Niemcy bowiem chcieliby uwolnić od kontrowersji budowę Nord Stream 2 i swą politykę współpracy energetycznej z Rosją. Decydujący głos jednak będą mieć oczywiście Amerykanie. Już teraz – w ramach wstępnych rozmów z Moskwą – sygnalizują gotowość nierozmieszczania broni ofensywnej na Ukrainie, co stanowi tylko znak otwartości na stanowisko rosyjskie i gotowości do dalszych uzgodnień. Tak to przyjęła Rosja. Minister Ławrow oświadczył, że dotychczasowe stanowisko USA i NATO zawiera „racjonalne ziarna w kwestiach drugorzędnych”, więc choć Rosja podtrzymuje swoje żądania, będzie kontynuować rozmowy. Najbliższe dni pokażą czy to zasłona dymna, zza której wyjadą czołgi – czy po prostu element dalszej negocjacyjnej presji.

BEZPIECZEŃSTWO POLSKI

Polska dziś może powiedzieć przede wszystkim to, co Turcja: należymy do przymierza atlantyckiego i solidarnie wypełnimy wszystkie wynikające z tego obowiązki. Jednak Recep Erdoğan – przekazując ten jednoznaczny i wiarygodny sygnał – zaproponował Rosji i Ukrainie swoją mediację i misję dobrych usług w rozwiązaniu konfliktu. Wie bowiem dobrze, że w interesie Turcji nie leży wojna, która skończyć by się mogła, owszem, problemami Rosji, ale przede wszystkim zmniejszeniem bezpieczeństwa w basenie Morza Czarnego. My nie mamy – ze względu na napięte relacje z Rosją – tytułu do proponowania dwustronnej mediacji, ale to nie powód, byśmy zamiast spokojnego wsparcia realnej polityki przymierza atlantyckiego, definiowanej przede wszystkim przez USA, snuli publicznie wizje, jak ją radykalizować.

Prezydent Duda śmiało popiera udział Ukrainy w NATO, a wicemarszałek Terlecki oświadcza, że Sejm RP „nie wyobraża sobie NATO bez Ukrainy”. Nie wystarczyłoby „gotowość poparcia”, czyli promesa poparcia, o ile rzecz będzie przedmiotem realnej decyzji? Bo co znaczy polskie poparcie dziś? Że na prośbę Andrzeja Dudy Biden wyśle amerykańskie wojska za Dniepr? Przecież zakres zaangażowania

Czas zacząć myśleć również o tym, jak zmniejszyć ryzyko wybuchu wojny, jak uczynić trudniejszym jej podjęcie przez Rosję, jak zmniejszyć napięcie na naszych granicach

przymierza warunkuje stanowisko Stanów Zjednoczonych. Opowiadanie przez nas o tym, jakie zobowiązania powinni zaciągnąć Amerykanie, ma tyleż sensu, co udzielanie przez Portugalię poparcia (w ramach NATO oczywiście) dla wysłania polskich oddziałów na Ukrainę. Najlepszą demonstracją naszej własnej determinacji nie powinna być tromtadacja, ignorująca stanowisko realnych podmiotów decyzji, ale podjęte od razu i dobrze ukierunkowane zwiększenie wydatków obronnych, co i tak powinniśmy systematycznie robić. W tej sprawie z pewnością jest praktyczny narodowy consensus.

W grudniu napisałem artykuł („Do Rzeczy” nr 1/2022) o możliwych pokojowych działaniach Polski. Rzeczpospolita mogła wystąpić z własną deklaracją jako jedyne państwo NATO sąsiadujące równocześnie z Rosją i z Ukrainą. Było to w początkowej fazie konfliktu, przed rozpoczęciem obecnej tury rozmów i kontaktów, przed zdefiniowaniem stanowisk. Mogliśmy oświadczyć, że rozmowy o bezpieczeństwie Europy Wschodniej są z pewnością potrzebne, również w formie konferencji międzynarodowej, ale nie mogą pomijać drastycznej militarystyki rejonu Królewca i obecności rosyjskiej na Białorusi. To powinna być również potem, w styczniu, nasza odpowiedź na rosyjski apel o „niezwiększanie bezpieczeństwa” Europy Środkowej i Wschodniej kosztem obniżania bezpieczeństwa Rosji. Rosja nie liczy na to, że jej apele zostaną dosłownie spełnione, ale chce uzyskać ustępstwa. Działać więc trzeba tak samo, a przynajmniej podobnie.

Zakomunikowanie naszych oczekiwań w dziedzinie bezpieczeństwa granic byłoby sygnałem, że Rzeczpospolita systematycznie wzmacnianą obronę traktuje jako środek, celem zaś jest bezpieczeństwo, i że o zwiększeniu bezpieczeństwa zawsze jesteśmy gotowi rozmawiać. Kalendarz dyplomatyczny sprawił, że Polska objęła w ostatnich tygodniach przewodnictwo Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Stworzyło to nam możliwości,

których Polska nie miałaby działając tylko we własnym imieniu. Wizyta ministra Zbigniewa Raua w Moskwie dobrze sponżytkowała tę okazję. Zgłoszenie polskiej „inicjatywy nowego dialogu na temat bezpieczeństwa europejskiego” dla „lepszego zrozumienia stanowisk wszystkich państw uczestniczących i poprawy przewidywalności działań”, deklaracja działań „dla najszybszej i pokojowej deeskalacji” to dobra inwestycja w przyszłość, która – jeśli będzie kontynuowana – może przywrócić Polsce inicjatywę dyplomatyczną na Wschodzie.

GLOBALNA ISTOTA ZAGROŻENIA

Obecny kryzys może za jakiś czas się skończyć, bo Rosja musi kalkulować jego dyplomatyczne i ekonomiczne koszty, a z kolei Zachód do wojny się nie pali. Ale zagrożenie wojenne nie minie, bo jego istota leży głębiej. Dziś podjęcie agresji dla Rosji ciągle jest problemem, ale stanie się prostsze, gdy tylko zaostrożą się relacje chińsko-amerykańskie, tym bardziej jeśli w tym samym czasie zaktywizuje się Iran, trzeci uczestnik osi antyzachodniej. Perspektywa globalnego konfliktu w nadchodzących latach jest całkiem realna, chodzi więc o to, by groźba jego konsekwencji dla Polski była w przyszłości możliwie najmniejsza.

W naszej polityce dominują przygotowania do obrony na wypadek rosyjskiej agresji. Czas zacząć myśleć również o tym, jak zmniejszyć ryzyko wybuchu wojny, jak uczynić trudniejszym jej podjęcie przez Rosję, jak zmniejszyć napięcie na naszych granicach, jak niebezpieczeństwo odsunąć choćby w czasie. Dziś bowiem właśnie jest czas na międzynarodową prezentację postulatów polskiego bezpieczeństwa, bo przecież – co warto zauważyć – o tym właśnie rozmawiają wszyscy.

W chwili, gdy wysyłam do druku ten artykuł (w czwartek wieczorem), niebezpieczeństwo eskalacji w formie ataku na Zagłębie Donieckie i próby jego otwartej okupacji wydają się bardzo realne. Jeśli tak się stanie, to musimy kierować się solidarnością atlantycką – nie cofając się, ale też nie wybiegając (szczególnie w deklaracjach) przed Stany Zjednoczone i wspólne stanowisko państw NATO. Pierwsze to kwestia wiarygodności, drugie – odpowiedzialności. Nawet jeśli sprawy przyjmą dramatyczny obrót, to my w przyszłości musimy organizować regionalny porządek bezpieczeństwa, a nie czekać, aż po raz kolejny staniemy się pobożowskim Europy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

MACIEJ PIECZYŃSKI: Czy dojdzie do agresji rosyjskiej na Ukrainę na pełną skalę?

SIERGIEJ MARKOW: Rosja najpewniej uzna niepodległość Donieckiej i Ługańskiej Republik Ludowych. Nawet Amerykanie się na to zgodzą. Prawdopodobieństwo wkroczenia wojsk rosyjskich w tej chwili na tereny Jugo-Wostoka [południowo-wschodniej części Ukrainy – przyp. red.] – do Charkowa, Zaporozża, Mikołajowa czy Odessy – oceniam jedynie na 40 proc. Nie wykluczone jednak, że za jakiś czas to się wydarzy. Nie używałbym też słowa „agresja”. Rosjanie i Ukraińcy to jeden naród. Wojna między nami byłaby wojną domową, a do tego Putin nie dopuści. Ponadto Ukraina jest dziś okupowana, podobnie jak za czasów hitlerowskich. Dlatego jeśli Rosjanie wejdą na Ukrainę, to nie po to, by ją podbić, tylko po to, aby ją wyzwolić.

Ukraina to niepodległe, samodzielne państwo i absolutna większość jego obywateli nie potrzebuje „wyzwolenia”.

To pańska ocena. Ukraina samodzielnym państwem stała się przez przypadek. Suwerenność utraciła w 2014 r.

Jaki przypadek? Przecież Moskwa sama zgodziła się na powstanie niepodległej Ukrainy w momencie, gdy ZSRS przestał istnieć.

Nie do końca. Wie pan, kiedy kobietę gwałcą i porywają gangsterzy, ona nie jest w stanie się im przeciwstawić. Dopóki jest w ich rękach, dopóty nie ma możliwości opowiedzieć o swojej tragedii. Ale to nie znaczy, że dobrowolnie daje się bić i gwałcić. Dopiero gdy zostaje uratowana przez policję, może zeznać, że padła ofiarą przemocy.

ZSRS to zgwałcona kobieta?

Tak. Podobnie jest z Ukrainą. Dopóki jest okupowana, dopóty nie może opowiedzieć o swoich prześladowcach. Nieliczni jej obywatele, którym udaje się uciec do Rosji, opowiadają wstrząsające historie. W Kijowie rządzi marionetkowa junta neonazistów i banderowców, która prowadzi politykę państwowego terroru wobec własnego narodu.

Czy ma pan jakiekolwiek dowody, jakiekolwiek podstawy do wysuwania takich tez? Wiarygodne dane, wyniki badań opinii publicznej?

Planujemy opracować prognozę, jak mogłyby wyglądać, z podziałem na regiony, wyniki referendum takiego jak na Krymie [w sprawie wejścia w skład Rosji – przyp. red.].

Czyli dowodów nie ma, są tylko domysły.

W represyjnym państwie, jakim jest Ukraina, nie ma możliwości przeprowadzenia wiarygodnych badań. Dowodów jest mnóstwo! Wiadomo, że istnieją tajne więzienia Służby Bezpieczeństwa Ukrainy. Niemożliwe, aby kijowską dyktaturę, która wprowadza bestialskie zakazy posługiwania się językiem rosyjskim, popierała rosyjskojęzyczna większość ludności takich miast jak Charków czy Odessa. To tak, jakby w Polsce zabronić mówienia po polsku.

Może Ukraińcy nie chcą się z wami integrować?

Może pan mi powie, że nie ma ani jednego Ukraińca, który by tego chciał?

Są tacy, ale to nie jest większość. Rosja napadła na Ukrainę, łamiąc prawo międzynarodowe i własne obietnice zawarte w memorandum budapeszteńskim. Parafrazując Putina, podoba się czy nie, Krym jest de iure ukraiński. Trudno oczekiwać, że Kijów będzie tolerował agentów wpływu Moskwy.

Pan usprawiedliwia represje! Ukraina nie może zamykać ust tym, którzy nie uważają, że Rosja na nią napadła. Nie ma



Z Siergiejem Markowem, politologiem, byłym doradcą Władimira Putina, dyrektorem Instytutu Badań Politycznych rozmawia Maciej Pieczyński

0 zamiarach Rosji, niepodległości Ukrainy i relacjach z Polską

To co innego. I w Polsce, i na Ukrainie jest jeden język urzędowy. W żadnym z tych państw nie jest nim rosyjski. Poza tym na Ukrainie to jest język propagandy agresora. Wy traktujecie rosyjskojęzycznych Ukraińców jako swoich rodaków, których trzeba „wyzwalać”.

Trzeba wyzwolić Ukraińców spod władzy represyjnego reżimu, który zabrania im mówić po rosyjsku i nie pozwala im głośno opowiadać się za integracją z Rosją.

badań na ten temat, ale oceniam, że ok. 60 proc. Ukraińców chciałoby dołączyć do Państwa Związkowego Rosji i Białorusi. Kiedyś woleli do Unii Europejskiej. Ale skoro UE ich nie chce, to wybierają Rosję. Chcą być częścią większej całości.

Jakoś w wyborach ciągle głosują na prozachodnie siły.

Bo prorosyjskie siły są cenzurowane, represjonowane, niedopuszczane do

demokratycznej walki o władzę. Gdyby na Ukrainie wybory były uczciwe, prezydentem nie zostałby Żełenski, tylko jakiś zwolennik przyjaźni z Rosją.

Gdyby nie wygrał Żełenski, zwyciężyłby nie mniej „antyrosyjski” Poroszenko. O prozachodnim kursie kraju nie zdecydowała amerykańska agentura czy kijowska junta, tylko naród, podczas rewolucji godności.

Majdan cieszył się poparciem społecznym dopóty, dopóki był pokojowym protestem. Stracił to poparcie, gdy przerodził się w zbrojny zamach stanu.

Jaki zamach? Janukowycz podpisał porozumienie z Majdanem, po czym uciekł.

To kłamliwa, propagandowa teza. Janukowycz nie uciekł, tylko wyjechał do Charkowa w obawie o własne życie.

Dlaczego Rosja miesza się w wewnętrzne sprawy Ukrainy?

Łamanie praw człowieka nie jest wewnętrzną sprawą żadnego państwa. Wszyscy zwolennicy postępu, cywilizacji i demokracji – do których ja się zaliczam, a być może w przyszłości również pan się do tych wartości przekona – powinni przyklasnąć rosyjskiej reakcji na działania kijowskiej junty.

To skąd oburzenie Moskwy, gdy Zachód reagował na łamanie praw człowieka przez reżim Łukaszenki?

Łukaszenka cieszył się realnym poparciem społeczeństwa...

Ale sfałszował wybory, rozpuścił protesty i sterroryzował opozycję. Jeśli pańskim zdaniem na Ukrainie panują dyktatura, cenzura i represje, to co dopiero mówić o Białorusi.

Fałszerstwa wyborcze nie wpłynęły na wynik. Oficjalnie Łukaszenka dostał 80,1 proc., podczas gdy naprawdę miał pewnie ok. 75 proc. I tak by wygrał. A terror wprowadził dopiero wtedy, gdy pokojowe protesty przerodziły się w próbę zamachu stanu przygotowaną przez polskie służby specjalne. To był terror przeciwko terrorystom.

To był terror przeciwko pokojowym obywatelom, którym Polska udzieliła wsparcia w ramach obrony demokracji, a nie w ramach próby zbrojnego przewrotu.

Co tydzień masowe demonstracje są rozpędzane pałkami w Niemczech czy we Francji i jakoś nie nazywa się tych

państw terrorystycznymi. Terror jest wtedy, gdy zaczynają się aresztowania i tortury protestujących.

Wypisz wymaluj przypadek Białorusi. Nawet wasze media pokazywały brutalność Łukaszenkowskich służb wobec demonstrantów.

Tylko wobec tych, którzy byli uzbrojeni.

Zostawmy Białoruś. Czyli można powiedzieć, że Rosja napadła na Ukrainę w obronie praw człowieka?

Nie. Ukraina po prostu przestała istnieć jako samodzielne państwo. Do władzy doszła banda zbrodniarzy wojennych.

To ocena Rosji. Ukraina jej nie podziela.

To ocena Rosji, która jest absolutną, obiektywną prawdą. Wobec braku legalnego rządu przeprowadziliśmy operację humanitarną, której celem była obrona ludności przed terrorem. Niestety, taką operację przeprowadzono tylko w odniesieniu do Krymu. Putin jest w Rosji wciąż krytykowany za to, że nie obronił pozostałych rosyjskojęzycznych regionów Ukrainy.

Jaki przepis prawa międzynarodowego dał nam prawo do zajęcia Krymu?

Karta Narodów Zjednoczonych przewiduje możliwość interwencji w razie zagrożenia dla życia ludności.

Ale decyzji o podjęciu działania nie może podjąć samodzielnie jedno państwo, wbrew pozostałym członkom ONZ.

Może, jeśli pozostali członkowie takich decyzji nie podejmują.

Co będzie dalej z separatystycznymi republikami: Rosja „tylko” uzna ich suwerenność czy je anektuje?

Władze republik chciałyby, podobnie jak Krym, wejść w skład Federacji Rosyjskiej, ale Kreml na razie raczej nie spieszy się z ich aneksją, liczy bowiem wciąż na polepszenie stosunków z Zachodem. Najlepiej by było, gdyby Ukraina wpisała do konstytucji zasadę neutralności wobec sojuszy wojskowych, pozostawiając sobie możliwość wstępowania do sojuszy gospodarczych.

Czyli Rosja pozwoliłaby Ukrainie na wejście do Unii Europejskiej?

Moim zdaniem tak. Ale nie będzie pokoju, jeśli nie zostanie odbudowana demokracja na Ukrainie. A do tego po-

trzebne jest wprowadzenie konkretnych rozwiązań. Po pierwsze, denazyfikacja, rozbrojenie i delegalizacja wszystkich organizacji neonazistowskich, zakaz propagandy neonazizmu, zaprzestanie gloryfikacji zbrodniarzy takich jak Stepan Bandera. Po drugie, trzeba przeprowadzić śledztwo w sprawie ukraińskich zbrodni, w tym w sprawie mordu w Odessie 2 maja 2014 r. czy w sprawie malezyjskiego boeinga, który został zestrzelony nad Donbasem w rezultacie spisku SBU, ukraińskiego resortu obrony i ówczesnego gubernatora Ihora Kołomojskiego...

Przecież nie ma żadnych dowodów na poparcie tej teorii. Za to są dowody, że boeinga zestrzelili separatyści, z rosyjskiej broni.

Władze Nederlandów sfałszowały śledztwo tak, aby oskarżyć Rosję, dlatego trzeba tę sprawę zbadać od nowa. Ponadto należy odnaleźć masowe groby ofiar zamordowanych w rezultacie masowych represji ukraińskiego reżimu w latach 2014–2015. Język rosyjski powinien otrzymać status albo drugiego języka państwowego, albo języka komunikacji pomiędzy różnymi narodami na Ukrainie. Powinni zostać wypuszczeni więźniowie polityczni, a emigranci polityczni – wrócić do ojczyzny. Dopiero wtedy można będzie przeprowadzić prawdziwie wolne wybory. Żaden zwolennik demokracji nie może nie zaakceptować takiego planu.

To może na początek niech Rosja odda zajęty nielegalnie Krym?

Proszę nie zmieniać tematu. Mówimy o denazyfikacji...

Pomówmy o deokupacji.

Rozmawiamy o rozwiązaniu problemu Ukrainy w obecnych warunkach. A obecne warunki są takie, że Krym nie należy do Ukrainy.

Rosja od dawna naciska na realizację porozumień mińskich. Przede wszystkim na decentralizację Ukrainy. Ale sama nie chce zrealizować punktu nakazującego „wycofanie nielegalnych oddziałów zbrojnych i sprzętu wojskowego, a także bojowników i najemników, z terytorium Ukrainy”. Może od tego zacząć.

To nie są najemnicy, tylko separatyści, ludzie głęboko wierzący w ideały, o które walczą. Nie rozumiem pan, czym są porozumienia mińskie. Proces pokojowy między rządem centralnym i separatystami nigdy nie zaczyna się od rozbrojenia tych drugich. Władza separatystów w dużym stop-



FOT. WACHESLAW PROKOP/RY/ISS/JETTY IMAGES

niu opiera się właśnie na siłach zbrojnych. Kijów, Ługańsk i Donieck muszą najpierw usiąść do rozmów, następnie Kijów musi zalegalizować władze republik, wprowadzić amnestię, a potem jakoś ułożyć wspólne relacje. Rozbrojenie i wycofanie wojsk separatystów oznaczałoby ich bezwarunkową kapitulację.

Racja, dla Rosji lepiej, by to Ukraina bezwarunkowo skapitulowała. Przejdźmy do NATO. To właśnie potencjalne członkostwo Ukrainy w pakcie północnoatlantyckim Moskwa przedstawia jako największe zagrożenie dla siebie. Jednak dla krajów postsowieckich i postkomunistycznych NATO to narzędzie obrony przed ekspansją rosyjskiego imperializmu. Nikt na Zachodzie nie zamierza podbijać Rosji. Czego się tak boicie?

NATO odmawia podpisania umów o przyjaźni i współpracy z Rosją, nie chce też oficjalnie potwierdzić, że nie traktuje Rosji jako wroga. To agresywny, antyrosyjski blok militarny, który nigdy nie prowadził operacji defensywnych. Wszelka aktywność paktu to agresywne działania przeciwko innym państwom – Jugosławii, Libii, Irakowi, Afganistanowi. Uważamy również, że obecne władze Ukrainy to okupacyjny reżim, sterowany przez NATO. Sojusz ten wspiera także niedemokratyczne reżimy Łotwy i Estonii, które dyskryminują swoich rosyjskojęzycznych obywateli. Dlatego bezpieczeństwo Rosji wymaga zminimalizowania obecności NATO przy rosyjskiej granicy.

Na szczęście nie mamy z wami zbyt długiej granicy. Chyba rozumie pan, że Polska weszła do NATO między innymi z obawy przed rosyjskim imperializmem?

Polska nie powinna się bać Rosji. Polska powinna bać się członkostwa w NATO. Nie żartuję. Wiele razy w przeszłości pański kraj znajdował się w katastrofalnej sytuacji geopolitycznej i w efekcie tracił niepodległość. Klasyczny przykład to napaść faszystowskich Niemiec...

... albo Związku Sowieckiego.

Nie. ZSRS co prawda okupował Polskę, ale nigdy na nią nie napadał.

Napadł w 1939 r.

Nie. Jeśli ktoś mi coś ukradł i ja swoją własność odzyskałem, to nie jest to napaść, tylko zaprowadzenie sprawiedliwości.

Nie było żadnej kradzieży. Rosja Sowiecka podpisała traktat ryski, na mocy którego zachodnie ziemie ukraińskie i białoruskie znalazły się w granicach Polski. Za waszą zgodą.

Każdy upadek polskiej państwowości miał tę samą przyczynę. Polska, będąc średnim państwem, próbowała działać jak potężne mocarstwo. Wszczynała geopolityczną awanturę, doprowadzała do wielkiej wojny, której potem stawała się ofiarą. Dziś może być podobnie. Wydaje wam się, że jako członek NATO i UE

jesteście wielkim mocarstwem. Dlatego możecie doprowadzić do kolejnej wojny i kolejny raz stać się jej ofiarą.

W jaki sposób?

Scenariusz może być następujący. Polska wprowadza swoje wojska na Ukrainę. Dochodzi do starcia z armią rosyjską. Moskwa jest zmuszona odpowiedzieć. Czyli zadać klęskę polskiej armii, a następnie – być może – wkroczyć na terytorium Polski, aby zabezpieczyć swoje interesy i dopilnować, żeby efekty tej klęski były trwałe. Sytuacja może się rozwinąć w jeszcze gorszą stronę – Polska może doprowadzić do konfliktu między Rosją a USA z użyciem broni atomowej.

Dlatego jest nam potrzebny sojusz z Zachodem – żeby nie paść waszą ofiarą.

Nie. Członkostwo w NATO sprawia, że wasza klasa polityczna traci rozum i zachciewa się jej międzynarodowych awantur. Dlatego potrzebna jest wam neutralność.

Gdyby kiedyś Rosja zajęła całą Ukrainę, biorąc pod uwagę integrację z Białorusią, granica polsko-rosyjska liczyłaby ponad tysiąc kilometrów. Wiadomo, że Moskwa lubi mieszać się w wewnętrzne sprawy sąsiadów. W którymś momencie stwierdzilibyście, że Polska to „państwo terrorystyczne” albo „rusofobiczne” i postanowilibyście coś z tym zrobić. Nie chcemy podzielić losu Ukrainy, dlatego chcemy, byście byli daleko.

Polska nie ma silnej rosyjskojęzycznej mniejszości...

Kryzys na granicy z Białorusią pokazał, że rosyjskojęzyczna mniejszość nie jest jedynym narzędziem Moskwy w działaniach przeciwko sąsiadom.

Możliwe. Wiemy, jaki Polska ma plan. Chcecie utworzyć Międzymorze, konfederację pod swoim przewodnictwem, w której Ukraińcy i Białorusini znowu będą waszymi poddanymi.

Sojusznikami. Co musi się stać, żeby Rosja przestała grozić Ukrainie i Zachodowi wojną?

Musi się skończyć okupacja Ukrainy przez Stany Zjednoczone. Naród ukraiński musi odzyskać władzę we własnym państwie. Jeśli to się nie stanie, to Rosja będzie zmuszona zlikwidować zagrożenie dla swojego bezpieczeństwa.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Rozmowa została przeprowadzona w poniedziałek 14 lutego.



FOT. ARTUR WIDAK/ANUPHOTO/AFPI/ST NEWS

Księża na stos!



Jan Bogatko z Berlina

Odroczono proces, w którym na ławie oskarżonych mieli zasiąść dwaj katolicki duchowni: prof. Dariusz Oko oraz redaktor pisma „Theologisches” Johannes Stöhr. Zarzucono im wywołanie niepokoju publicznego

Przed Sądem Rejonowym (Amtsgericht) w Kolonii 11 lutego miał odbyć się proces ks. Oko i redaktora „Theologisches”. Jak lakonicznie poinformował rzecznik sądu Mauritz Steinebach, rozprawę przesunięto z powodu choroby oskarżonych.

O sprawie tej raz już pisałem na łamach tygodnika („Całkiem głupia sprawa”, „Do Rzeczy” nr 32/2021). Poruszyłem w nim tło skazania w 2021 r. nakazem karnym (bez procesu) ks. Dariusza Oko na grzywnę w wysokości 4,8 tys. euro z zamianą na 120 dni

więzienia. Wyjaśniałem, kim jest „ksiądz z Monachium”, Wolfgang F. Rothe, oskarżyciel księży Oko i Stöhr. Z powołaniem na źródła przybliżałem sylwetkę byłego subregensa seminarium duchownego w austriackim St. Pölten. Uczestnika homoseksualnych imprez w tej kuźnicy wiedzy, o czym pisała wówczas prasa na całym świecie. Ksiądz Johannes Stöhr – to pewna ciekawostka, tłumacząca, być może, awersję homopedagoga spod Alp – został redaktorem odpowiedzialnym magazynu wiosną 2010 r. po tym, jak David Berger opuścił to stanowisko, kiedy wyszło na jaw, że jest pederastą.

Zarzut ze strony księdza, praktykującego homoseksualisty, który to fakt omijają wszystkie gazety opisujące zbrodnie zarzucaną „ultrakonserwatywnemu duchownemu z Polski” i redaktorowi odpowiedzialnemu periodyku „Theologisches”, oparty jest na paragrafie 130 StBG (niemieckiego kodeksu karnego). Penalizuje on „wywoływanie niepokoju publicznego” karą do pięciu lat pozbawienia wolności. To bardzo obszerny paragraf, w którym prawodawca chciał zmieścić to, co z różnych powodów nie weszło do innych artykułów kodeksu

karnego. Mówiąc kolokwialnie, paragraf ten umożliwia skazanie każdego za wszystko, umożliwia polityczne procesy.

„Theologisches” jest niszowym periodykiem, dwumiesięcznikiem wychodzącym w równie niszowym wydawnictwie Nova et vetera e.K. w Nadrenii. Magazyn finansowany jest z datków, a autorzy materiałów teologiczno-filozoficznych pracują charytatywnie. Pismo wychodzi w nakładzie ok. 6 tys. egzemplarzy, rozsyłanych nieodpłatnie. Trafia ono zatem do wybranego grona odbiorców. Jego zasięg jest niewielki, to nie berliński „TAZ”. Zaryzykuję twierdzenie, że jest to pismo znane tylko w wąskim kręgu teologów, poruszających sprawy Kościoła katolickiego w Niemczech i na świecie. Osobiście wątpię, by ks. Rothe należał do tego grona. W każdym razie na łamach czasopisma „Theologisches” nie zabierał dotąd głosu.

Na ławie oskarżonych w Kolonii aktywiści LGBT+ zapragnęli posadzić pod tym samym zarzutem wywołania niepokoju publicznego nie tylko autora artykułu i redaktora odpowiedzialnego pisma, lecz także wydawcę „Theologisches”, Manfreda Haukego, profesora teologii z Lugano. To im się nie udało. W skomplikowanym

wywodzie prokurator z Kolonii uzasadnił odmowę ścigania Haukego, stwierdzając, że nie dopuścił się on „ataku na godność człowieka”. Zarówno postępowy ksiądz z Monachium, jak i szwajcarska, równie postępową organizacja pederastów Pink Cross, która wystąpiła z oskarżeniem przeciwko prof. Haukemu, w tym wypadku muszą pogodzić się (na razie) z fiaskiem operacji „wróg na stos”.

Pink Cross z kolei zarzucił teologowi... rasizm. W 2020 r. Szwajcarzy w referendum opowiedzieli się za rozszerzeniem normy prawa karnego dotyczącej rasizmu o „orientację seksualną”. Tym samym nieświadomie (?) otwarli drogę legalizacji między innymi pedofilii w kraju Wilhelma Tella.

PUPILEK ATEISTYCZNEJ PRASY

Dla niemieckich mediów zarówno „ultrakonserwatywny ksiądz” Oko z Polski, jak i redaktor odpowiedzialny, Stöhr, są winni zarzucanej im zbrodni. W przedprocesowych artykułach pełno informacji o zarzutach ze strony Polski dotyczących antywolnościowych tendencji w Niemczech. A przecież każdy między Nysą a Renem wie, że w Polsce nie ma wolnych sądów! Ani mediów! Gazety przypominają niemieckim czytelnikom o tym, że Polska, będąca członkiem UE, stoi w obliczu krytyki z uwagi na deficyty w zakresie praworządności. Niemieckie gazety podkreślają, powielając doniesienie niemieckiej agencji prasowej DPA, że postępowy ksiądz z Monachium, Wolfgang Rothe (ten znany nam wicerektor wesołego seminarium duchownego z St. Pölten w Dolnej Austrii), obawia się zemsty ze strony polskich konserwatystów, którzy mu nawet jakoby grozili! Dla ratowania życia Rothe zdjął nawet tabliczkę z nazwiskiem z drzwi – podaje na serio DPA.

Pupilek niemieckiej ateistycznej prasy ks. Wolfgang Rothe zbiera wyrazy uznania za walkę z Kościołem katolickim. Nie wspomina ona nawet półśłówkiem o jego „orientacji seksualnej”. A przecież w 2004 r. wiedeński korespondent dziennika „TAZ” Ralf Leonhard pisał: „W Seminarium Duchownym w St. Pölten promuje się chrześcijańską »miłość bliźniego«. [...] W ubiegłym tygodniu do licznych austriackich środków masowego przekazu przesłano zdjęcia, ukazujące obu kierowników Seminarium w jednoznacznie homoerotycznych pozach z wychowankami”. Jednym z tych dwóch

kierowników był właśnie Wolfgang Rothe, dzisiaj obrońca praw rzekomo prześladowanych homoseksualistów. Jak czytam w niemieckich mediach, Rothe uważa się dzisiaj za „ofiara seksualnych nadużyć”. Nie wspominał dotąd jednak o tym, że seminarzyści w St. Pölten go wykorzystali. Czy wystąpi o odszkodowanie? Jeśli tak, to do kogo?

Niemieckie media nie informują też o tym, że prof. Oko pisał na łamach niedostępnego ogólnie periodyku wyłącznie o mafii homoseksualnej w Kościele katolickim, a nie o homoseksualistach wyznania katolickiego. Powszechnie bowiem wiadomo, że pożałowania godne i skandaliczne nadużycia seksualne w Kościele katolickim miały (względnie nadal mają) w zasadzie charakter homoseksualny, a nie pedofilski, jak się błędnie utrzymuje. Innymi słowy – krąg sprawców jest znany i ściśle określony, podobnie jak ich opiekunów. W tej sytuacji zarzut

Dla niemieckich mediów

„ultrakonserwatywny ksiądz” Oko i redaktor

„Theologisches” – Stöhr – są winni zarzucanej im zbrodni

„wywoływania niepokoju publicznego” jest całkowicie bezpodstawny. Słowa autora artykułu należałoby raczej uznać za rozpaczliwą próbę „osuszenia bagna” w Kościele katolickim. Ani prof. Oko, ani ja nie jesteśmy autorami tego określenia. Użył go w odniesieniu do „wesołego seminarium duchownego” w St. Pölten biskup Graz-Seckau, Egon Kappelari. Żaden sąd nie skazał go za tę wypowiedź. Ale to było w roku 2004.

O ile artykuł prof. Oko w „Theologisches” o mafii homoseksualnej w Kościele katolickim uznać można za rozpaczliwą próbę osuszania bagna, o tyle – paradoksalnie rzecz biorąc – działania samozwańczego obrońcy praw homoseksualistów z Monachium, nagłaśniającego sprawę wyczynów mafii homoseksualnej w Kościele katolickim przy równoczesnym ocenianiu cytatów z artykułu ks. Oko, przytaczanych przez niemieckie media (Oko jakoby pisze źle o wszystkich homoseksualistach, a nie tylko o „homoseksualistach lobbujących w Kościele katolickim”), wypełnia w całej rozciągłości znamiona

czynu zabronionego podburzania do publicznego niepokoju! Ale na Wolfganga F. Rothego nikt przecież nie doniósł.

Niemających zielonego pojęcia o organizacjach kościelnych, zwłaszcza katolickich, czytelników prasy niemieckiej informuje się natomiast o powiązaniach monachijskiego księdza Wolfganga F. Rothego z „postępowymi kościelnymi ruchami reform”. Chodzi tu zwłaszcza o antykatolickie organizacje Maria 2.0 czy Wir sind Kirche (Kościół to my). Pisze się o tym, że uczestniczył on w licznych „akcjach” postępowych katolików, jak „#miłość zwycięży”. Niemiecka prasa zachwyca się, że ks. Wolfgang Rothe (wbrew stanowisku Watykanu) w trakcie nabożeństwa pobłogosławił pary jedнопłciowe oraz że wydaje właśnie kolejną książkę o „byciu innym” w Kościele katolickim. Raczej nie przeczyta się tam niczego o seminarium w St. Pölten jako o „burdelu dla homoseksualistów” (SWR Baden-Baden, 20 sierpnia 2004 r.).

NIEMIĘLU SPRAWIEDLIWYCH

A czy w Niemczech ktoś stanął w obronie polskiego duchownego, ofiary wolności słowa? Jednym z niewielu sprawiedliwych jest znany czytelnikom „Do Rzeczy” kard. Gerhard Ludwig Müller. Ostro skrytykował napaść na ks. Oko za głoszenie prawdy. Słusznie i rzeczowo porównał atak na ks. Oko z działaniami okupacyjnych władz Generalnego Gubernatorstwa. To podobieństwo jest wstrząsające. Na stronie katholisch.de czytam, że „przestępstwa popełniane przez homoseksualnych duchownych w Kościele katolickim należy potępiać ostrymi słowami, jak to uczynił ks. Oko. Nie jest to żadne podżeganie do nienawiści, lecz jest to odważny czyn, zasługujący na respekt wszystkich przyzwoitych ludzi. Nie wolno lekceważyć tych przestępstw tylko dlatego, że ich sprawcy byli aktywnymi homoseksualistami, którzy mogliby się poczuć obrażeni, kiedy ktoś im powie prawdę w twarz”.

Kardynał Müller przypomniał, że tysiące niewinnych księży obrażono zarzutami pedofilii, na co nie zareagowały żaden sąd ani organ prasowy. Nikogo nie niepokoją kampania przeciwko katolickim duchownym i zachęcanie do przemocy wobec tych osób. Ale oczywiście wszystko to jest zgodne z wolnością słowa!

Nowy termin rozprawy przeciwko ks. Oko jest jeszcze niezany.



Upragniony casus belli



Piotr Włoczyk

Ostatnie ostrzeżenia przed rosyjską prowokacją na granicy z Ukrainą przypominają o początku wojny zimowej. Tak zwany incydent w Mainila miał dać Kremlowi upragniony casus belli i przekonać cały świat, że to małe Finlandia dąży do wojny ze Związkiem Sowieckim

Pogranicze fińsko-sowieckie na Przesmyku Karelskim. 26 listopada 1939 r. Dochodziła godz. 14.45, gdy fińscy funkcjonariusze

z 4. Kompanii Straży Granicznej usłyszeli wybuchy. W sumie naliczyli ich siedem i stwierdzili, że strzały padły po stronie sowieckiej, w okolicy wsi Mainila. Finowie uznali, że Armia Czerwona prowadzi w rejonie przygranicznym ćwiczenia, i niezwłocznie przestali raport do swojego dowództwa.

Wieczorem tego samego dnia ambasador Finlandii w Moskwie Aarno Yrjö-Koskinen otrzymał od komisarza spraw zagranicznych ZSRS Wiaczesława Mołotowa notę, która zmroziła mu krew w żyłach.

„Według informacji otrzymanych z kierownictwa Armii Czerwonej nasze oddziały stacjonujące na Przesmyku Karelskim, w pobliżu wsi Mainila, stały się dziś, 26 listopada o godz. 3.45 [ZSRS był w innej strefie czasowej – przyp. red.] obiektem niespodziewanego ostrzału artyleryjskiego z fińskiego terytorium

– pisał Mołotow. – W sumie oddano siedem strzałów z armat, w wyniku czego zabitych zostało trzech szeregowych i jeden podoficer. Rannych zostało siedmiu szeregowych i dwie osoby z dowództwa wojskowego. Sowieckie oddziały, działając według ścisłych rozkazów, by nie ulegać prowokacji, nie odpowiadały. [...] W związku z tym rząd ZSRS, protestując stanowczo przeciw temu, co zaszło, proponuje, by rząd Finlandii, bez zwłoki, wycofał swoje oddziały znad granicy na Przesmyku Karelskim na odległość 20–25 kilometrów, co zabezpieczyłoby przed powtórzeniem takich prowokacji”.

Rząd fiński od dłuższego czasu spodziewał się sowieckiej napaści i nieustannie rozbudowywał pas umocnień w Przesmyku Karelskim, który zyskał miano Linii Mannerheima (od nazwiska fińskiego marszałka Carla Gustafa Mannerheima). Mimo że Finowie byli świetnie



Jednostki sowieckie przekraczają granicę fińską w rejonie miejscowości Hautavaara, 30 listopada 1939 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Wojna zimowa 1939–1940”. – Pamiętam, że granica fińsko-sowiecka była na tym odcinku „pofalowana”. Mainila leżała w swego rodzaju worku. Sowieci tak to zaplanowali, że gdyby się bardzo uprzeć, to można było twierdzić, że strzały padły z pozycji fińskich. Stalin szukał casus belli, więc sam go sobie sprawił.

Czy sowiecki dyktator rzeczywiście uważał, że reszta świata uwierzy, iż czteromilionowa Finlandia zaatakowała czterdziestokrotnie większy Związek Sowiecki? – Myślę, że Stalina nie za bardzo to obchodziło. Sowieci potrzebowali jakiegokolwiek pretekstu, by móc się przedstawić jako strona napadnięta, która się broni i przy okazji udziela „bratniej” pomocy fińskim komunistom. Kreml chciał też dzięki temu przekonać swoich żołnierzy, że muszą powstrzymać agresora. To, z jakim nastawieniem żołnierze jadą na front, jest bardzo ważną kwestią – mówi Vesa Neny. I podkreśla, że zarówno Stalin, jak i Hitler użyli podobnego narzędzia, by próbować usprawiedliwić napad na sąsiada. W przypadku Polski był to oczywiście upozorowany atak na radiostację w Gliwicach.

Reakcja innych państw na incydent w Mainila była – delikatnie mówiąc – sceptyczna, ale Stalin nie zamierzał wstrzymywać przygotowań do wojny. Dalej wypadki potoczyły się błyskawicznie. 28 listopada, dwa dni po prowokacji, Sowieci wypowiedzieli układ o nieagresji, który podpisali pięć lat wcześniej z Finlandią. 29 listopada zerwali z Helsinkami stosunki dyplomatyczne, a dzień później Armia Czerwona uderzyła na Linię Mannerheima.

Sowieciom bardzo zależało na czasie. W ostatniej chwili przed napaścią na Finlandię zrewidowali plany ataku i „uaktualnili je”. Nowe założenia przewidywały o wiele bardziej śmiały manewr, które miały się zakończyć upadkiem Finlandii w ciągu niecałego miesiąca. Z czego wynikała ta zmiana? Otóż w grudniu Stalin obchodził urodziny i na Kremlu podjęto decyzję, że Finlandia ma być wspianym prezentem dla przywódcy ZSRS. W całym kraju organizowano demonstracje przeciw „fińskiej agresji”, a dowództwo Armii Czerwonej przekonywało żołnierzy stojących na granicy z Finlandią, że po drugiej stronie zniewoleni przez kapitalistów robotnicy i chłopci przyjmą ich z otwartymi ramionami.

– Cóż, okazało się, że zamiast kwiatów Finowie przygotowali dla nich

inne „powitanie” – mówi Vesa Neny. – Sowieci nie docenili jednej kluczowej kwestii. Fiński żołnierz był dużo bardziej zmotywowany i przywykły do trudnych warunków. Finowie od małego byli uczeni jazdy na nartach, polowania, obchodzenia się z bronią, radzenia sobie w lasach. Swoje zrobiło też to, że Sowieci popełniali zupełnie podstawowe błędy. Fińscy żołnierze wspominali, że Sowieci prowadzili ostrzał długimi godzinami, podczas gdy oni siedzieli w schronach. Potem następowala długa przerwa i dopiero wtedy uderzała piechota. Te ataki wyglądały jak z czasów wojen napoleońskich, gdy nie wynaleziono jeszcze ciężkich karabinów maszynowych. Sowieccy żołnierze byli wystrzelani w tych atakach jak kaczki.

DECYDUJĄCE BŁĘDY SOWIETÓW

Jak zwraca uwagę Vesa Neny, Linia Mannerheima pokazywana była w fińskiej propagandzie jako potężny system umocnień, jednak tak naprawdę bardzo daleko było jej do słynnej Linii Maginota.

– W rzeczywistości w znacznej mierze były to rowy mające spowolnić czołgi, porozrzucane głazy i pułapki na broń pancerną. Poza tym drut kolczasty, miny i trochę betonowych bunkrów. To wszystko nie powinno być dla Armii Czerwonej taką przeszkodą, jaką było w rzeczywistości. Decydujące były błędy Sowieców i fantastyczne morale fińskich żołnierzy, którzy nawet w obliczu przewagi wroga wynoszącej 10:1 potrafili utrzymać swoje pozycje. Wiedzieli bowiem, że na szali jest wszystko. Jeżeli raz tracą niepodległość, to Sowieci już ich nie wypuszczą ze swoich kleszczy – mówi Vesa Neny.

Po upadku komunizmu historycy uzyskali dostęp do archiwów Armii Czerwonej i ponad wszelką wątpliwość ustalili, że strzały w Mainila były prowokacją szytą bardzo grubymi nićmi. Okazało się bowiem, że nigdzie w dokumentach nie ma najmniejszej wzmianki o ofiarach śmiertelnych ostrzału z 26 listopada.

Kropkę nad i postawił w 1994 r. prezydent Rosji Borys Jelcyń, który w obecności prezydenta Finlandii Martiego Ahtisaariego przyznał, że atak Związku Sowieckiego na północnego sąsiada był napaścią. Od tego czasu wiele się jednak w Rosji zmieniło i dziś rosyjski prezydent z pewnością kogo innego obarczył winą za wybuch wojny zimowej.

okopani, rząd w Helsinkach zdawał sobie sprawę z olbrzymiej dysproporcji sił i robił wszystko, by załagodzić sytuację. Finowie rozumieli, że muszą nie tylko zwracać się do Moskwy, lecz także przekonywać resztę świata, że jest to sowiecka prowokacja. Przez trzy kolejne dni Finowie desperacko starali się uniknąć wojny, proponując powołanie specjalnej międzynarodowej komisji, która zbierze dowody i dokładnie zbada incydent. Sowieci nie chcieli jednak o tym słyszeć.

POWSTRZYMAĆ „AGRESORA”

– Poważni historycy nie mają tu wątpliwości i podpisują się pod ustaleniami Finów: Sowieci sami ostrzelali swoje pozycje w wiosce Mainila – powiedział „Do Rzeczy” Vesa Neny, fiński badacz zajmujący się konfliktem fińsko-sowieckim w czasie drugiej wojny światowej, współautor książki „Finlandia na wojnie.

Wiedza, którą Charles Dickens posiadał na temat życia ubogich warstw społecznych, nie była czysto teoretyczna.

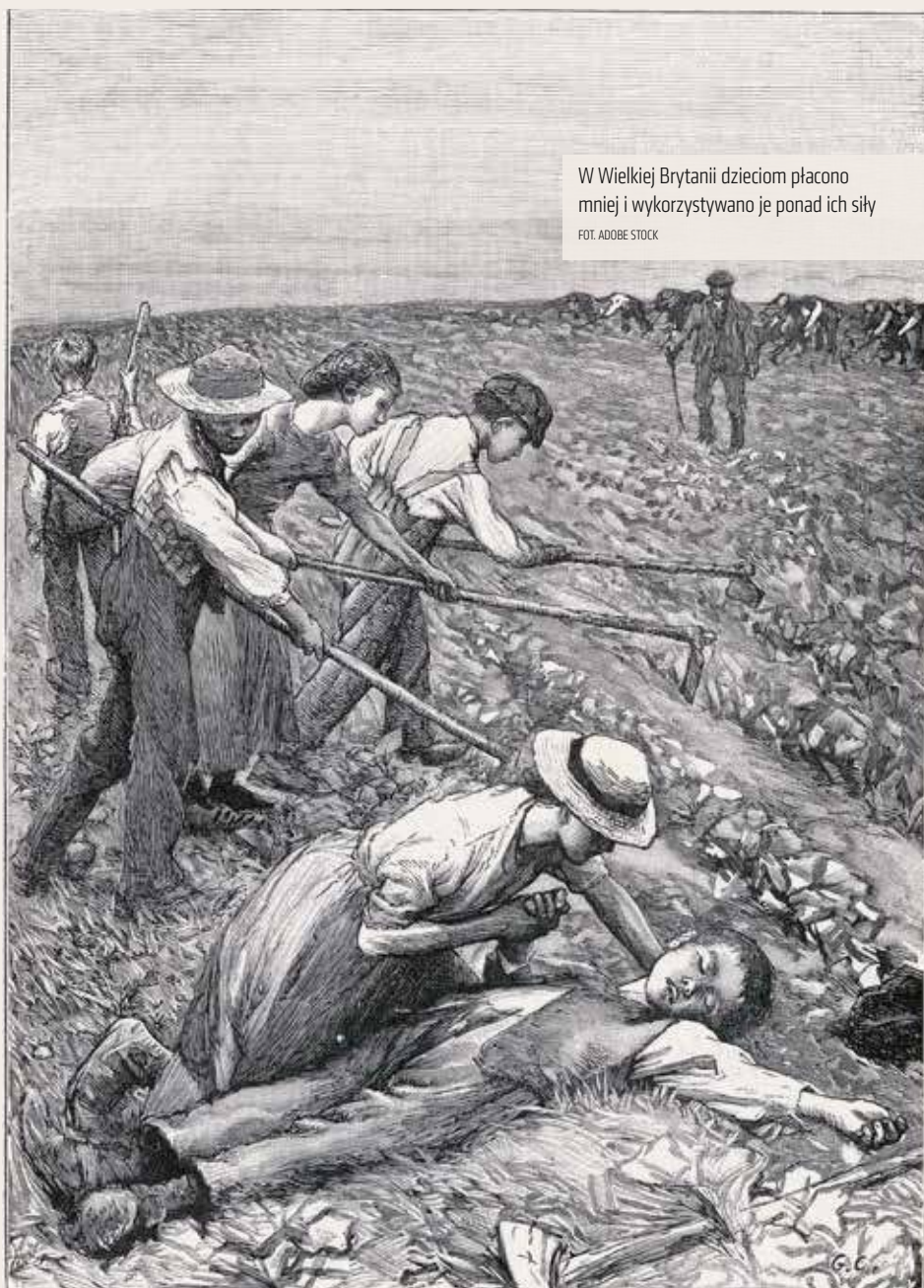
Gdy pisarz był dzieckiem, jego rodzice trafili do więzienia za długi, a on sam, mając zaledwie 11 lat, by nie umrzeć z głodu, musiał podjąć pracę w fabryce pasty do butów. W przeciwieństwie do większości rówieśników, których spotkał podobny los, autorowi „Olivera Twista” udało się jednak odbić od dna – kiedy miał 20 lat, ciemne i cuchnące fabryczne magazyny były już wspomnieniem, a on pracował jako dziennikarz piszący dla prasy sprawozdania z obrad parlamentu. Młody literat był jednak wciąż na bieżąco z tematem, bo po godzinach zapuszczał się do londyńskich dzielnic nędzy i wędrował po nich, zbierając materiał do książek. To, co przewijało mu się przed oczyma w trakcie tych spacerów, nasuwać musiało skojarzenia z piekielnymi kręgami Dantego. Slumsy stolicy pod wieloma względami przypominały dzielnice nędzy w dzisiejszych miastach Trzeciego Świata.

W NIEWOLI PRZEMYSŁU

Przełom wieków XVIII i XIX zapisał się w dziejach ludzkości jako początek rewolucji przemysłowej. Wielkie zmiany technologiczne, gospodarcze i społeczne, które przyniósł, zapoczątkowane zostały w Wielkiej Brytanii i to ona przez całe następne stulecie dzierżyła tytuł wiodącej potęgi globu. Gwałtowny rozwój fabryk produkujących tanim kosztem ogromne ilości towarów sprawiał, że do brytyjskich kieszeni płynął nieprzerwany strumień złota. Niestety, jak to zwykle bywa, owoce dobrobytu nie trafiały do wszystkich po równo.

Uprzemysłowienie wysp przyniosło ze sobą cały zbiór zupełnie nowych nieznanych wcześniej nieszczęść. Wielu rzemieślników, których umiejętności przestały być w obliczu postępującej mechanizacji potrzebne, straciło pracę. Pauperyzacji ulegała ludność wiejska – wydajność rolnictwa była ograniczona, a tymczasem liczba mieszkańców Wielkiej Brytanii rosła w zastraszającym tempie. Setki tysięcy ludzi niemających co ze sobą począć ruszało do miast, by zatrudnić się w wyrastających jak grzyby pod deszczu fabrykach. Równocześnie fabrykanci dążyli do minimalizacji kosztów produkcji. Stąd szybko w zakładach przemysłowych zaczęto

W Wielkiej Brytanii dzieciom płacono mniej i wykorzystywano je ponad ich siły
FOT. ADOBE STOCK



Oliver i spółka



Łukasz Czarnecki

Damy i dżentelmeni, którzy w XIX w. ronili łzy nad losem uboższego sieroty, czytając powieść „Oliver Twist”, rzadko kiedy pozwalali zapukać do swych serc współczuciu dla rzeczywistych dziesiątek tysięcy biednych dzieci wykorzystywanych tuż przed ich nosem

zatrudniać dzieci. Nieletnim płacono ułamek tego, co dorosłym, a jeśli dziecko nie pracowało wystarczająco wydajnie, to nadzorca mógł bez problemu zmusić je do większego wysiłku biciem. Dzieci nie strajkowały, a ich drobne ręce nadawały się do wykonywania zadań niemożliwych dla dorosłych. W razie wypadku i śmierci bądź kalectwa nieletniego pracownika zastąpienie go nie stanowiło najmniejszego problemu – przymierających głodem dzieciaków, za którymi nikt się nie ujmował, zawsze było pod dostatkiem.

ŚWIADECTWO ROBERTA

O skali przemocy, której ofiarami padały dzieci w XIX-wiecznych fabrykach, świadczą opublikowane w roku 1828 wspomnienia Roberta Blincoe. Ten urodzony w latach 90. XVIII w. chłopiec jako czterolatek trafił do londyńskiego przytułku im. św. Pankracego, skąd w wieku lat siedmiu został wraz z grupą podobnych sobie sierot de facto sprzedany właścicielowi fabryki bawełny niedaleko Nottingham.

Chłopcy i dziewczęta byli tam zmuszani do kilkunastogodzinnego codziennego morderczego wysiłku przy maszynach, głodzeni oraz bici. W powietrzu unosił się powodujący pylicę pył bawełniany, a wypadki przy pracy stanowiły codzienność. Po latach dorósł już Robert opowiedział spisującemu jego dzieje dziennikarzowi – Johnowi Brownowi – wydarzenie, którego był świadkiem. Na jego oczach 10-latką została wciągnięta w tryby maszyny, która połamała jej kręgosłup. Nieszczęsna dziewczynka przeżyła, ale do końca życia pozostała kaleką. Życie to prawdopodobnie nie było zresztą zbyt długie, bo ofiarę wypadku wyrzucono na bruk.

Po jakimś czasie fabryka, w której pracował Blincoe, zbankrutowała, a jego i pozostałe wykorzystywane w niej sieroty niczym niewolników zakupił inny fabrykant. Warunki w jego przedsiębiorstwie w Litton były jeszcze gorsze. Pracujące w niej dzieci maltretowano z tak sadystycznym okrucieństwem, że kiedy nadzorca bił któregoś z małych robotników, zdarzało się, że krew lała się z ran katowanego tak obficie, iż przeciekała przez podłogę i zaczynała kapać z sufitu znajdującego się piętro niżej pomieszczenia! Samemu Robertowi brygadzysta przebił uszy, a innym razem wepchnął mu do ust pilnik do metalu. Jeszcze gorszy los niż chłopcom przyspadał w udziale dziewczynkom. Gdy

wchodzili w okres dorastania, były gwałcone – w procederze tym prym wiedli synowie właściciela zakładu, którzy wraz z ojcem przechadzali się po fabryce w poszukiwaniu nowych ofiar i częstokroć własnoręcznie wymierzali rzekomym bumelantom kary cielesne.

Robert Blincoe przeżył fabryczne piekło i doczekał dorosłości. Przez pewien czas pracował jeszcze w przedsiębiorstwie już jako pełnoprawny robotnik, ale w końcu porzucił zakład i ruszył w świat. Założył własny niewielki biznes i został sklepikarzem w Manchesterze. Jego dzieci nie zaznały już nędzy – syn ukończył nawet studia w Cambridge. Jednak męczarnie, którym poddany został mężczyzna w dzieciństwie, odcisnęły na nim niezacieralne piętno. Wskutek pracy przy maszynach miał tak zdeformowany kręgosłup i skrzywione nogi, że ledwie chodził. Wieloletnia zła dieta zaowocowała niskim wzrostem. Gdy jego spisane przez Browna wspomnienia ukazały się w formie książkowej, na ich stronie tytułowej czytelników witał portret wyniszczzonego człowieka, który w wieku

drewno niezbyt nadawało się do wykorzystania w tym charakterze, ale na szczęście na Wyspach Brytyjskich znajdowały się olbrzymie pokłady węgla. Początkowo korzystano z jego zasobów znajdujących się na powierzchni, później, gdy się wyczerpały, zaczęto ryc szyby w głąb ziemi. Wraz z postępującym uprzemysłowieniem Anglii zapotrzebowanie na węgiel rosło, podobnie jak jego wydobywanie. W końcu w połowie XIX w. z brytyjskich kopalni corocznie wywożono na powierzchnię aż 50 mln ton czarnego złota!

Podobnie jak w fabrykach w głębokich podziemnych sztolniach również pracowały dzieci. Powody były te same – dziecięca praca kosztowała o wiele mniej niż ta wykonywana przez dorosłych, ponadto niewielkie rozmiary ciał sprawdzały się w wąskich korytarzach. Dorośli górnicy sami przyprowadzali do pracy potomstwo, by już od małego (co w tym przypadku oznaczało wiek sześciu lat) zarabiała na swoje utrzymanie i dokładało się do rodzinnego skromnego budżetu. Pieniądze, które mógł wypracować pojedynczy górnik, nie starczały



Dorośli górnicy przyprowadzali do pracy swoje dzieci

FOT. ADOBE STOCK

lat trzydziestu kilku wyglądał już jak starzec. Obraz ten był tak wstrząsający, że kiedy niedługo potem narodził się ruch walczący o polepszenie warunków pracy dziecięcych robotników i likwidację „białego niewolnictwa”, jego aktywności na swoich plakatach i sztandarach częstokroć malowali właśnie podobiznę Roberta Blincoe.

PIEKŁO KOPALNI

Podstawową siłą, która napędzała maszyny XIX w., była potęża silnika parowego. Podstawą energii pary było ciepło uzyskiwane w procesie spalania paliwa –

mu zwykle na wyżywienie wszystkich członków rodziny. Normą były rodziny wielodzietne, skuteczna antykoncepcja nie istniała i widok rodziców obarczonych 10 potomstwem nie należał do rzadkości. W tej sytuacji praca najmłodszych była koniecznością. Mimo iż ich wypłaty liczono zaledwie w pensach, gdy miało się tak wiele gęb do wyżywienia, nawet owe drobniaki były na wagę złota.

Najmłodsi z dziecięcych górników obsadzani byli na stanowisku tzw. traperów. Pełnili dyżury przy zamykających tunele kłapach i uchylali je, gdy nadjeżdżały wózki z wyrobkiem. Dzieci

■ godzinami siedzieli w ciemnościach, a jedyną okazją do ruchu było dla nich unoszenie ciężkich drewnianych płyt. Wymagano od nich stałej czujności – w wypadku wycucia gazu, wybuchu pożaru lub zalania chodnika ich zadaniem miało być odcięcie stanowiącego zagrożenie dla całej kopalni tunelu. To, że maluchy mogły przy tym zginąć, nikogo specjalnie nie obchodziło.

Dzieci odrobinę starsze, 8–10-letnie zaprzęgano niczym konie do wózków i kazano im wywozić węgiel na powierzchnię lub też zakładano bezpośrednio na ich plecy wielkie kosze, do których pakowano urobek. Dziesięciolatki pełzały na czworakach, ciągnąc za sobą transporty węgla, a gdy dotarły z nim do stacji końcowej, z powrotem posyłano je na dół. Normą było obarczanie dzieciaków obciążeniem 50-kilogramowym lub większym.

zaczęły o niej gazety, pod naciskiem opinii publicznej rząd postanowił przyrzeć się warunkom, w jakich wydobywano węgiel.

Inspekcje w kopalniach przyniosły plon w postaci miażdżących raportów opisujących straszliwe warunki pracy niepełnoletnich górników. Tym jednak, co najbardziej oburzyło wiktoriańskie społeczeństwo, było odkrycie, że dorastające dziewczynki i nastolatki ze względu na panującą pod ziemią duchotę pracują... bez koszul. Porażeni wizją nagiego kobiecego biustu moralisiści grzmieli na wiecach i w parlamencie na straszliwą demoralizację żeńskiej młodzieży – mająca takie doświadczenia panna miała w ich opinii wyrosnąć wyłącznie na kobietę upadłą. Węglowe sztolnie bez wątplenia były co do jednej siedliskiem najstraszliwszej rozpusty! To, że zaharowujący się prawie na śmierć górnicy i górniczki byli tak wyczerpani swoim

tylko chłopcy) nadal ciągnęły wózki z urobkiem.

O LEPSZE JUTRO

Przez cały XIX w. aktywiści walczyli o poprawienie bytu najmłodszych Brytyjczyków z niższych klas społecznych. Do pokonania mieli mur obojętności i złej woli – część członków Izby Gmin i Izby Lordów sama była udziałowcami lub wręcz właścicielami wielkich zakładów przemysłowych, w których wykorzystywano dziecięcą pracę. Najbardziej bezczelni z nich w swoich broniących panującego stanu rzeczy przemówieniach przekonywali słuchaczy, że obsługa maszyn w fabrykach czy praca w kopalni stanowią dla dzieci wspaniałą zabawę i przygodę. Inni straszili upadkiem angielskiego przemysłu, któremu miały zagrozić prawa ograniczające zatrudnianie niepełnoletnich. Wielką rolę w walce o prawa najsłabszych i najbardziej potrzebujących odegrały powieści wspomnianego już Charlesa Dickensa, stanowiące dla klasy średniej i wyższej rodzaj okna, przez które mogła zerknąć na życie gorzej sytuowanych rodaków. Niektórych jednak zamiast natchnąć do refleksji, literatura skłoniła do uprawiania osobliwej formy turystyki – przebierając się w zniszczone ubrania, wędrowali po dzielnicach nędzy, obserwując codzienną walkę ich mieszkańców o przeżycie z fascynacją towarzyszącą zwykle afrykańskiemu safari.

Z biegiem lat brytyjski parlament zaczął uginać się pod żądaniami działaczy społecznych. W roku 1874 nakazano ograniczyć czas pracy dziecięcych robotników w fabrykach do 10 godzin na dobę i określono minimalny wiek zatrudnianych pracowników na dziewięć lat. Na początku XX w. wynosił on już 12 lat, ale musiały minąć jeszcze dekady, zanim obraz harujących w przemyśle dzieci stał się znany Anglikom wyłącznie ze starych książek. Dzisiaj nigdzie w Europie nie znajdziemy już fabryki zatrudniającej uczniów podstawówki, jednak w Chinach, Afryce czy Indiach wykorzystywanie dzieci w produkcji przemysłowej nadal stanowi normę. Gdy więc następnym razem będziemy kupować uszytą tanim kosztem gdzieś w Azji, a przez to mającą atrakcyjną cenę koszulę, poświęćmy choć kilka chwil na refleksję nad losem współczesnych braci i siostr w nieszczęściu Roberta Blincoe. Ich los aż tak bardzo nie różni się od tego, który był jego udziałem.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Brytyjczycy nie tylko mało płacili dzieciom za pracę, lecz także potrafili je okrutnie bić. FOT. ADOBE STOCK

English Factory Slaves. Pl.3 Their daily employment. —

Przeciętnego Brytyjczyka z ówczesnej klasy średniej zupełnie nie interesowało, skąd dokładnie bierze się węgiel zapewniający przyjemne ciepło w jego salonie i napędzający zapewniające imperium bogactwo maszyny parowe. Czasem jednak na powierzchnię docierały wieści z głębin ziemi i jeśli tylko były wystarczająco dramatyczne, to wywoływały krótkotrwałe święte oburzenie. Tak się stało w lipcu roku 1838, kiedy doszło do wypadku w kopalni Huskar Pit. W zalanej wodą sztolni śmierć poniosło wówczas 26 dzieci. Gdy ich ciała wydobyto, a sprawa stała się głośna w całym kraju i pisać

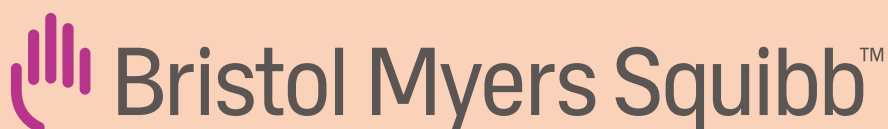
możem, że żadna seksualna aktywność w miejscu pracy nawet im do głów nie przychodziła, nikogo nie obchodziło. W imię obrony wiktoriańskiej moralności należało podjąć zdecydowane kroki. I je podjęto – w roku 1842 parlament przegłosował zakaz zatrudniania płci żeńskiej w przemyśle górniczym. Tym samym wyłano dziecko z kąpielą – tyśiące rodzin górników, których wszyscy członkowie do tej pory ręką rękę trzudzili się przy wydobywaniu węgla, zostało pozbawionych części dochodu i stoczyło się w jeszcze większą nędzę. A małe dzieci (z tym że teraz zgodnie z literą prawa



Zmieniamy życie pacjentów dzięki nauce™

W czasie zagrożenia zdrowia,
kiedy mamy wyzwania na skalę
światową, dzięki współpracy z wieloma
partnerami:

opracowujemy nowe leki
udoskonalamy sposób ich dystrybucji
nieprzerwanie dostarczamy leki
pacjentom na całym świecie



Bristol Myers Squibb™

Dowiedz się więcej na **bms.com**



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Miłość pod okupacją

Wojna i okupacja. Te słowa wywołują oczywiste skojarzenia.

Łapanki, partyzantka, rozstrzeliwania, obozy i powstanie. To właśnie te zjawiska i wydarzenia miały wówczas największy wpływ na życie Polaków. A co za tym idzie, zostały opisane we wspomnieniach i książkach. Przedstawione w filmach i powieściach.

Jednak przecież w trakcie długich, ponurych lat okupacji działy się również inne rzeczy. Jakże? Przede wszystkim toczyło się ludzkie życie. Mieszkańcy okupowanej Polski musieli coś jeść i pić. Musieli się w coś ubierać i gdzieś mieszkać. Bawili się, kochali, płodzili i rodzili dzieci. Handlowali, pracowali, organizowali sobie czas wolny.

Właśnie o tych pomijanych często sprawach traktuje kapitalna książka Sebastiana Piątkowskiego „Życie codzienne Polaków w Generalnym Gubernatorstwie”. Autor napisał ją – uwaga! – na podstawie ogłoszeń drobnych publikowanych w gazetach. Jest to źródło fascynujące.

Weźmy temat relacji damsko-męskich. Wbrew opowieściom starych ciotek i pewnych egzaltowanych

historyków w trakcie wojny nie uległy one wcale zamrożeniu. Panowie i panie szukający miłości lub przygody erotycznej wykupywali w „prasie gadzinowej” ogłoszenia matrymonialne.

Oto garść przykładów:

„22-letnia przystojna blondynka o serduszkach tchliwym, pełnym zrozumienia dla cierpienia, samotności i smutku, jednocześnie pełna życia i werwy, kochająca muzykę, śpiew, tańce, kino i wszystko, co piękne, [pragnie poznać] mężczyznę o podobnych walorach”.

„Pannę wybitnie intelektualną, młodą, zdrową, niewysoką (może być biedna, nieelegancka) pozna w celu matrymonialnym młody, niezależny literat”.

„Poślubiłby przystojną, tęgiej tuszy panią do czterdziestki dobrze sytuowaną kupiec”.

Ogłoszenia te czyta się dziś z uśmiechem.

Wśród nich autor znalazł jednak jedno budzące grozę. Otóż w „Gazecie Lwowskiej” we wrześniu 1942 r. – gdy Niemcy likwidowali miejscowe getto – ukazał się następujący anon: „Szatynka, o dużych czarnych oczach, pragnie poślubić tylko Polaka”. Ciekawe, czy ktoś odpowiedział... ©



★★★★★
SEBASTIAN
PIĄTKOWSKI
„ŻYCIE CODZIENNE
POLAKÓW
W GENERALNYM
GUBERNATOR-
STWIE”
INSTYTUT
PILECKIEGO



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Ekspansja i finanse

Nikt nie zaprzeczy, że dynastia Jagiellonów miała rozmach.

Polityka dynastyczna zaprowadziła jej przedstawicieli na tron czeski i węgierski, co oznaczało, że w Europie powstał blok państw pozostających pod władzą jednego rodu. W porównaniu z Jagiellonami pod koniec XV w. posiadłości

państwa na zachód. Unikano jednak działań zbrojnych, a przykład temu dał Kazimierz Jagiellończyk, który 21 lutego 1457 r. zakupił księstwo oświęcimskie pozostające dotychczas pod władzą miejscowej linii Piastów. Politykę ojca kontynuował Jan Olbracht, który w 1495 r. nabył księstwo zatorskie. Działania te pozwoliły odsunąć granicę państwa o kilkadziesiąt kilometrów na zachód od Krakowa, gdyż dotychczas wroga armia atakująca ze Śląska mogła stanąć pod Wawelem w ciągu jednego dnia.

W cieniu sukcesów królewskich pozostawały działania biskupów krakowskich. W 1493 r. Zbigniew Oleśnicki zakupił księstwo siewierskie i od tej pory biskupi krakowscy tytułowali się książętami na Siewierzu. Tytuł ten miał im przysługiwać przez blisko trzy stulecia.

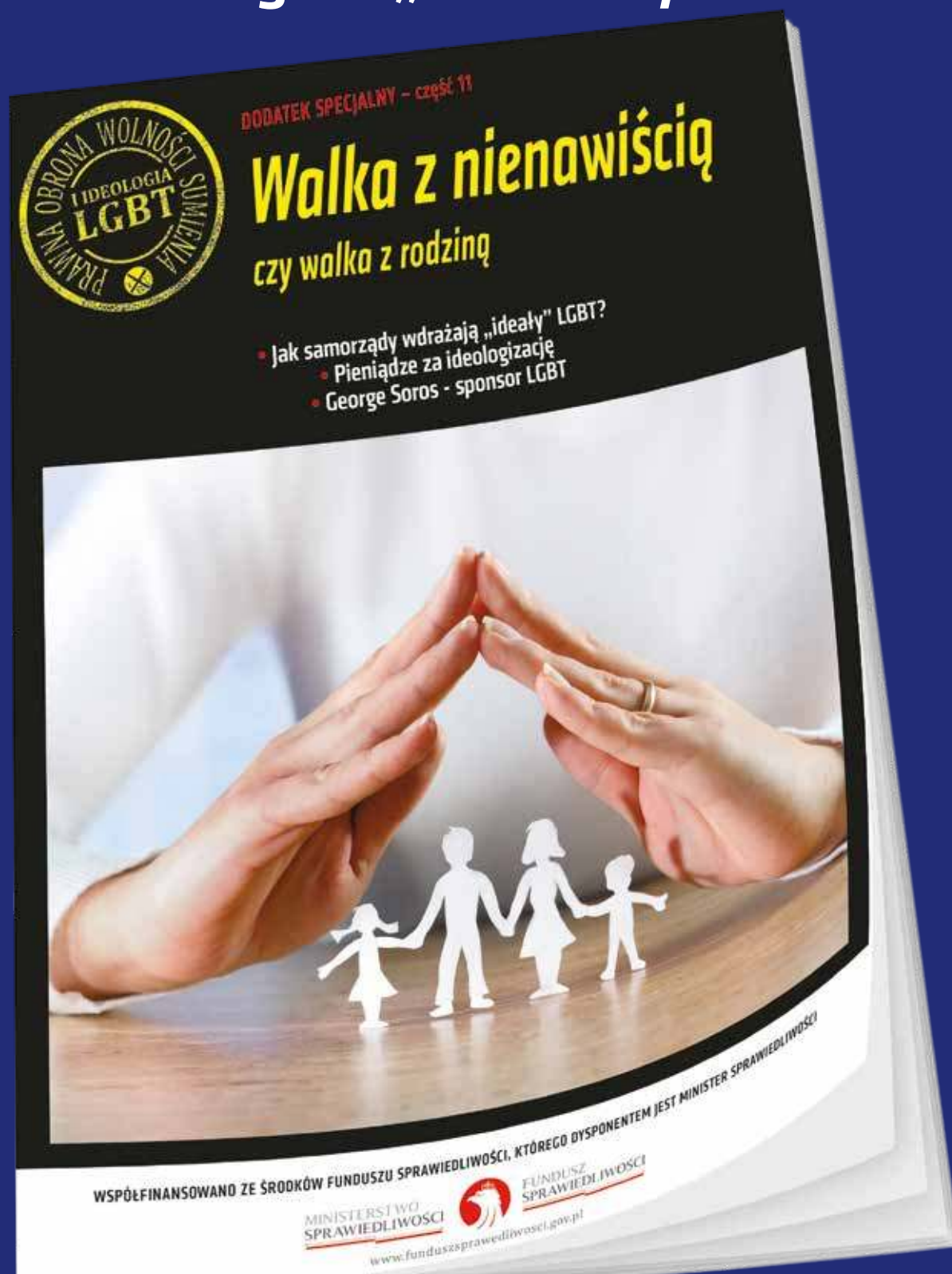
Tak jak w przypadku zakupów królewskich, w sprawie Siewierza o wszystkim zadecydowały pieniądze. Właściciel miasta i okolicy, książę cieszyński Wacław I, miał problemy finansowe, co wykorzystał Oleśnicki. Ciekawostką natomiast pozostaje fakt, że ostatnią ratę należności przekazał w jego imieniu kanonik krakowski Jan Długosz. Nasz znakomity kronikarz był nie tylko doskonałym historykiem i wychowawcą młodych Jagiellonów, lecz także zaufanym człowiekiem Oleśnickiego. Dzięki temu Siewierz pozostawał w rękach biskupów krakowskich aż do czasów Konstytucji 3 maja, kiedy to został wcielony do Rzeczypospolitej. ©

Jagiellonowie kroczyli od sukcesu do sukcesu

ich największych rywali, Habsburgów, wyglądały dość mizernie i nic w tej kwestii nie zmieniał fakt, że w ich rękach znajdowała się korona cesarska. Uprawienia władców Niemiec były bowiem ograniczone i cesarze z rodu Habsburgów bardziej honorowo przewodniczyli królom, elektorom i książętom, niż rzeczywiście rządzili.

Tymczasem Jagiellonowie kroczyli od sukcesu do sukcesu, a jednym z największych było pokonanie zakonu krzyżackiego nad Bałtykiem i przyłączenie Prus Królewskich oraz Warmii do Polski. Zakon utracił swoje znaczenie, stając się lennikiem królów z Krakowa. Jagiellonowie nie zapominali jednak także o drobnych zdobyczach terytorialnych. W Krakowie dobrze pamiętano, że Śląsk należał kiedyś do Królestwa Polskiego, i wykorzystywano nadarzające się okazje do przesunięcia granic

Już 28 lutego w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



Tomasz Rowiński

Można sądzić, że Franciszek i jego dyplomaci liczą, że pochlebstwami przekonają do siebie Chińczyków

Relacje Kościoła katolickiego z komunistycznymi Chinami należą do najważniejszych, ale i najdziwniejszych wątków we współczesnej polityce zagranicznej Stolicy Apostolskiej. Temat ten powraca w analizach i publicystyce, ale jednocześnie trudno nie odnieść wrażenia, że teksty te rozbijają się o problemy analogiczne do tych, które napotkałby ktoś, kto podjąłby się rozwiązania działania ze zbyt wieloma niewiadomymi.

Możemy wskazać na trzy takie niewiadome – pierwszą z nich jest treść zawartego w roku 2018 porozumienia pomiędzy Watykanem i Chinami, drugą byłaby przyczyna daleko idących ustępstw Stolicy Apostolskiej wobec Pekinu oraz zjawiska, które można by określić mianem dyplomatycznych umizgów wobec azjatyckiego mocarstwa. Trzecia niewiadoma to przyczyna, dla której kościelna dyplomacja stara się tworzyć wrażenie, że nie dokonało się żadne zerwanie pomiędzy metodą polityczną, którą wobec komunistów stosowali tacy papieże jak Pius XII, Jan Paweł II czy Benedykt XVI, a współczesnym neocasariolizmem Watykanu.

TAJEMNICZE POROZUMIENIE

Najpoważniejszą niewiadomą jest bez wątpienia treść porozumienia, które zostało zawarte pomimo tego, że Pekin i Watykan nie utrzymują stosunków dyplomatycznych. Ksiądz Antonio Spadaro, jezuita i redaktor naczelny pisma „La Civiltà Cattolica”, w wielu sprawach występujący jako papieski interpretator, jesienią 2018 r. pisał, że w porozumieniu „nie chodzi [...] o podsumowanie jakiegoś procesu, ale o jego realny początek, który będzie musiał być urzeczywistniony również poprzez weryfikację i ulepszenie tekstu”. Przez kolejne lata nie dowiedzieliśmy się o treści porozumienia oficjalnie niczego więcej poza tym, że je przedłużono. W tym czasie Chiny zdążyły znóweliżować swoje prawo dotyczące wspólnot religijnych w taki sposób, że zostały



FOT. MASSIMO VALLICHA/INRAHOTO/GETTY IMAGES

Lewar na Watykan

one objęte jeszcze większą kontrolą, niż miało to miejsce wcześniej.

Z pewnym niepokojem trzeba przyznać, że sytuacja przypomina tę, która miała miejsce w watykańskiej dyplomacji w czasach kard. Agostina Casarolego, który był jej architektem szczególnie podczas pontyfikatu Pawła VI. Uważał on, że polityka odprężenia w relacjach dwustronnych Stolicy Apostolskiej i krajów komunistycznych doprowadzi do polepszenia sytuacji Kościołów lokalnych w tych państwach. Rzeczywistość była zgoła odmienna, prześladowane episkopaty zostały całkowicie uprzedmiotowione przez politykę prowadzoną ponad ich głowami na poziomie relacji resortów spraw zagranicznych. Państwa komunistyczne obiecywały ustępstwa, które nie były realizowane, a Rzym zadowalał się retoryką „budowania zaufania i pokoju”. Gdy czyta się to, co o Chinach mówią Franciszek czy

abp Parolin, można odnieść wrażenie, że historia się powtarza. Musiała ona być w różnych momentach wstydliva dla Stolicy Apostolskiej, skoro do dziś utajniona jest treść porozumienia, które Casaroli zawarł w roku 1964 z węgierskimi komunistami. Co więcej, w roku 1998 utajniono je aż do roku 2073. Stało się to pomimo tego, że okoliczności historyczne zmieniły się całkowicie. Do dziś nie wiadomo, co Watykan zyskał na zabiegach Casarolego.

W przypadku Polski pomysłem na spacyfikowanie kard. Stefana Wyszyńskiego miało być powołanie nuncjatury, która pozwoliłaby komunistom na rozmowy ze Stolicą Apostolską z pominięciem prymasa. Droga do intrygowania przeciwko Wyszyńskiemu – co i tak przecież starano się robić – stałaby otworem. Z perspektywy czasu tzw. Realpolitik Casarolego trzeba w rzeczywistości ocenić po prostu jako politykę naiwności.

Kardynał Parolin mówił swego czasu, komentując porozumienie z Chinami: „Wybierając kandydatów do episkopatu, wybieramy pasterzy, a nie osoby, które systematycznie przeciwstawiają się reżimowi, ludzi, którzy zachowują się jak gladiatorzy, ludzie, którzy uwielbiają trybunę na scenie politycznej”. Skomentował to najbardziej znany chiński duchowny kard. Joseph Zen z Hongkongu: „Zastanawiam się, kogo miał on na myśli, tworząc ten opis? Obawiam się, że myślał o kard. Wyszyńskim, kard. Mindszenty, kard. Beranie. A przecież są to bohaterowie, którzy dzielnie bronili wiary swojego ludu!”.

Kardynał Zen jest konsekwentnym krytykiem obecnej linii dyplomatycznej Stolicy Apostolskiej. Stał się on – prawdopodobnie z tego powodu – persona non grata w otoczeniu papieża. Jesienią 2020 r. – o czym pisały media całego świata – Franciszek odmówił kardynałowi spotkania, choć ten otrzymał od władz chińskich tylko 120-godzinną wizę wyjazdową, by odwiedzić Rzym.

USTĘPSTWA

Dziś wiadomo, że ustępstwem, które Stolica Apostolska poczyniła wobec Pekinu, jest uznanie rządowych biskupów z istniejącego do 1957 r. Kościoła państwowego czy też „patriotycznego”. Do czasów władze państwowe uzyskały tego państwowego Kościoła kierowanego przez państwo chińskie obejmowała ekskomunika. Watykan nie uznawał – poza wyjątkami, które polegały na osobistych prośbach niektórych hierarchów – biskupów, którzy działali z nadania partii komunistycznej. Oczywiście komuniści prześladowali Kościół podziemny, istniejący w jedności z Rzymem. Porozumienie nie uczyniło losu katolików lepszym, a mimo to władze państwowe uzyskały – dzięki ugodowej postawie Watykanu – większą niż dotąd kontrolę nad całą społecznością katolicką. Przez to porozumienie katolicy nie mają już możliwości, by w swoim sprzeciwie wobec dyktatury odwołać się – choćby moralnie – do autorytetu Stolicy Apostolskiej. Z perspektywy zwykłego chińskiego katolika zatarła się różnica pomiędzy Rzymem a Pekinem.

Jakakolwiek krytyka polityki Pekinu ze strony Watykanu jest obecnie wykluczona. Papież czy kard. Parolin wypowiadają się o władzach tego kraju tylko w superlatywach, podtrzymując

jednocześnie złudzenie, że możliwe jest zbudowanie zaufania w relacjach z totalitaryzmem. We wspomnianym już artykule ks. Spadaro pisał: „Chińskie wartości kulturowe i tradycyjne oraz wartości ewangeliczne i nauczanie Kościoła mają wiele wspólnego”. Jeszcze dalej posunął się bp Marcelo Sorondo, który w lutym 2018 r., przed podpisaniem porozumień, ale w czasowej bliskości z aktem zdjęcia ekskomunik z siedmiu reżimowych hierarchów, w wywiadzie dla „Vatican Insider” powiedział, że Pekin „broni godności osoby”, a „Chiny ewoluują w bardzo dobrym kierunku”. Sorondo nazwał też Chiny krajem najlepiej urzeczywistniającym społeczną naukę Kościoła.

Można sądzić, że Franciszek i jego dyplomaci liczą, że pochlebstwami przekonają do siebie Chińczyków, co uzna za niedorzeczne każdy, kto choć w zarysie zna tradycję sztuki politycznej Chin, a także metody komunistów. Zdaniem kard. Zen włoskie i południowoamerykańskie sympatie do komunizmu, jako ideologii stawiającej opór niesprawiedliwości, są pułapką dla Kościoła. „Gdybym był rysownikiem komiksów, przedstawiłbym Ojca Świętego, jak na kolanach daje klucze Królestwa Niebieskiego prezydentowi Xi Jinpingowi ze słowami: »Proszę, uznaj mnie za papieża«” – ironizował w październiku 2018 r. sędziwy hierarcha w Hongkongu, który wielokrotnie listownie starał się interweniować u papieża w sprawie sytuacji chińskiej zarówno przed podpisaniem porozumienia, jak i po nim.

CIĄGŁOŚĆ ZASAD

Po dwóch niewiadomych została nam jeszcze trzecia, która dotyczy pytania, dlaczego Stolica Apostolska i papiescy interpretatorzy tak usilnie starają się budować wrażenie, że Franciszek i kard. Parolin kontynuują tylko to, co było już rozwijane w czasie poprzednich pontyfikatów. Może dodajmy, że samo posługiwanie się retoryką „pokoju i zaufania”, którą Watykan stosuje właściwie od początku XX w., nie oznacza jeszcze ciągłości zasad. Trzeba przyjąć, że chodzi przede wszystkim o uspokojenie opinii publicznej w krajach Zachodu, a także jakiejś części katolików, którzy nie będą wnikać w szczegóły sytuacji. A przecież jeszcze w roku 2007 Benedykt XVI w liście do chińskich katolików pisał, że nie ma mowy o uznaniu „Kościoła patriotycznego”, ponieważ jest on pod

całkowitą kontrolą władz komunistycznych. Zgodnie z prawem kanonicznym przypominał, że sakramenty udzielane przez ekskomunikowanych duchownych są ważne, ale niegodziwie sprawowane. Uspokajająca narracja o ciągłości polityki międzynarodowej Watykanu ma jeszcze jeden cel – zagłuszenie prostego faktu, że katolicy prześladowanego Kościoła podziemnego, podobnie jak kiedyś katolicy z krajów realnego socjalizmu w Europie, uważają, że zostali zdradzeni.

Sprawa nie jest symboliczna, władze już zaczęły ograniczać możliwość głoszenia niektórych katolickich nauk, jak choćby sprzeciwu wobec aborcji, która jest twardym elementem polityki demograficznej azjatyckiego kolosa. Są powody do niepokoju. Nie tak dawno ceniony katolicki dziennikarz Edward Pentin wskazał na znaczące podobieństwo ideowe przemówień Xi Jinpinga i papieża Franciszka w zakresie spraw dotyczących polityki globalnej. Można to interpretować w różny sposób, również tak, że Chińczycy chcą umacniać w ludziach Zachodu naiwne przekonanie, iż ich system społeczny i obecność polityczna w świecie mają charakter niekonfliktowy i nieinwazyjny. To oczywiście kłamstwo.

A co, jeśli sprawy wyglądają jeszcze gorzej i rację mają dziennikarze „The Pillar”, Ed Condon i JD Flynn, którzy pisali latem 2021 r. o prawdopodobieństwie, że porozumienie pomiędzy Watykanem i Pekinem jest wynikiem szantażu politycznego? Według ich informacji w niepublicznych przestrzeniach Watykanu wykorzystano z homoseksualnej aplikacji randkowej Grindr. Działo się to w czasach, gdy portal ten należał do chińskiej korporacji Beijing Kunlun Tech. Jeśli do danych dotarli dziennikarze, to z pewnością znalazły się one także w rękach władz w Pekinie, które korzystają ze swoich mediów w celach wywiadowczych. Według obu dziennikarzy opinia katolicka w Chinach dość powszechnie przyjęła porozumienie Stolicy Apostolskiej z Pekinem jako kapitulankę, a nawet jako policzek wobec wierzących. Być może było tak, że Pekin pokazał epigonom kard. Casarolego, jak się robi prawdziwą Realpolitik. Oznaczałoby to jednak, że treść porozumienia pozostanie tajna tak długo, aż Chiny uznają jej ujawnienie za poręczne narzędzie wpływu, lewar na słabego papieża – tego czy innego.

REKORDY DO POPRAWY

Lia Thomas z USA do 2019 r. startowała w zawodach pływackich jako mężczyzna. Potem – jako osoba transpłciowa – zaczęła występować w zmaganiach kobiet. Dzięki temu ustanowiła wiele żeńskich rekordów w pływaniu. W końcu NCAA (organizator zawodów sportowych szkół wyższych) ogłosiło, że będzie dopuszczać takie zawodniczki na podstawie przepisów federacji krajowych. W związku z tym Lia miałyby za duży poziom testosteronu, by wystartować w marcu w zawodach ogólnokrajowych. Wspierający LGBT+ zaprotestowali, wysłali listy i NCAA się wycofało. Lia będzie mogła pokonać kobiety.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KUP PAN UCHO

Marketingowcy mówią: wyróżniaj się lub gin. Czasem można jednak przesadzić. To przytrafiło się londyńskiej galerii Co-urtauld, która z okazji wystawy „Van Gogh. Autoportrety” zaoferowała w sklepie nietypowe pamiątki. Można było kupić m.in. gumkę do ścierania w kształcie ucha, co miało nawiązywać do tego, że nękany chorobą psychiczną artysta odciął sobie tę część ciała. Były też takie pamiątki jak mydło „idealne dla udręczonego artysty” czy „apteczka emocjonalna”. Sprzedaż tych przedmiotów w kontekście człowieka, który ostatecznie popełnił samobójstwo, uznano za brak wrażliwości wobec problemów psychicznych ludzi. Galeria oświadczyła, że nie będzie już tego sprzedawać.



NIEMIECKI PROBLEM Z ŻYDEM

Wydawca niemieckiego słownika Duden dodał do definicji słowa „Żyd” wyjaśnienie. W internetowej

wersji słownika napisano, że „określenie »Żyd« jest czasem postrzegane jako dyskryminujące ze względu na znaczenie, jakie nadawali mu narodowi socjaliści”. Żydowska społeczność w Niemczech zapalała oburzeniem, twierdząc, że to sugeruje, iż słowo „Żyd” mogłoby nieść jakieś negatywne skojarzenia. Redakcja szybko wpisał poprawia.

Napisano, że antysemita w przeszłości i obecnie wykorzystują słowo „Żyd” w sposób antysemita.

„ZERO COVID” W PRAKTYCE

W chińskim mieście Suzhou, w którym mieszka ponad 10 mln osób,

wykryto 18 zakażeń koronawirusem. W związku z tym władze zamknęły 18 wjazdów do miasta (dzień wcześniej zamknęły 15 innych). A ten, kto chciałby miasto opuścić pociągiem, musi wylegitymować się negatywnym wynikiem testu na COVID-19 przeprowadzonym nie dalej niż w ciągu 48 godzin. ©©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Piąta kolumna ekologów

Przekraczająca wszelkie granice zdrowego rozsądku ofensywa radykalnych ekologów sprawiła, że w Europie rośnie odsetek rodzin cierpiących na tzw. ubóstwo energetyczne. Szacuje się, że w 2021 r. tylko w Polsce było 3,5 mln osób, które nie mogą sobie pozwolić na energię w celu zapewnienia najbardziej podstawowych codziennych potrzeb związanych z ogrzewaniem, gotowaniem, oświetleniem etc. Po ostatnich podwyżkach cen prądu, gazu, węgla itp. ta liczba z pewnością wzrosła.

Dyktat lewicowo nastawionych zielonych doprowadził też do

o wiele groźniejszych skutków. Jak zauważył konserwatywny „National Review”, piąta kolumna ekologów sprawiła, że Niemcy z własnej woli wyłączyły kolejne elektrownie atomowe, stając się niebezpiecznie uzależnione od rosyjskich dostaw energii. Niemcy są więc zakładnikiem Rosji, która w każdej chwili może zakręcić kurek z błękitnym paliwem, skazując na zimno nie tylko niemieckich emerytów, lecz także błyskawicznie schładzając niemiecką gospodarkę. Jednocześnie Niemcy, płacąc Rosji za gaz, w dużej mierze finansują modernizację rosyjskiej armii.

Co gorsza, jak zauważył „Die Welt”, nawet w obliczu rosyjskiej agresji na Ukrainę, minister gospodarki i klimatu Robert Habeck skrytykował niedawno stanowisko Komisji Europejskiej w sprawie uznania za „zieloną” energii jądrowej. Zasugerował też, by kraje UE poszły w niemieckie ślady i przestawiły się z elektrowni atomowych na rosyjski gaz. Być może robi to wyłącznie z przekonania, a być może wzorem swych sławnych rodaków on też chce szybko trafić na listy płac Gazpromu. Tak czy owak polityka energetyczna UE nie powinna już być ślepa na geopolitykę. ©©

DZIEŃ Z TELEWIZJĄ REPUBLIKA

Rozmowy na żywo, ciekawi goście,
komentarze dnia, konferencje
i najważniejsze wydarzenia dnia



Poniedziałek – piątek:
12:00 Serwis informacyjny
12:10 Dzień z Republiką
13:00 Serwis informacyjny
13:10 Dzień z Republiką
14:00 Serwis informacyjny
14:10 Dzień z Republiką

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, za pośrednictwem Internetu oraz drogą naziemną w systemie DVB-T (Katowice i bliska okolica), a także w systemie DVB-T2 (Warszawa, Wrocław i okolice tych miast).

Oświeceni żarówką



FOT. PIOTR MOLEJOWSKI/EAST NEWS



Łukasz Warzecha

Kampania z plakatem pokazującym, że płacimy za energię więcej przez UE, uświadamia, że manipulują w tej sprawie wszyscy – rząd i opozycja

Wnocy z wtorku na środę w ubiegłym tygodniu klimatystyczni aktywiści przerobili jeden z billboardów słynnej kampanii z żarówką w ten sposób, że zamiast hasła „Polityka klimatyczna UE = droga energia, wysokie ceny” powstało hasło „Węgiel = droga energia, wysokie ceny”. Jednak nawet aktywiści nie mówią – w przypadku kampanii, która kosztowała 12 mln zł z budżetów spółek Skarbu Państwa – o kłamstwie, a jedynie o manipulacji. Mają w tym oskarżeniu ułamek racji, ale w znacznie większym stopniu manipulują sami.

Spójrzmy najpierw na to, co dokładnie jest napisane na plakatach. Mówią

one o tym, że polityka klimatyczna UE to 60 proc. kosztów produkcji energii elektrycznej. Produkcji, nie zaś sumy, którą dostajemy na rachunku. Plakaty mówią prawdę, ale jasne jest, że na ostatnim etapie konsument musi zapłacić dużo więcej niż tylko koszt samej produkcji i narzut unijny, wynikający z systemu handlu emisjami. Kto miał rachunek za prąd w rękę, ten wie, jak wiele innych elementów jest na nim wyszczególnionych. Do ceny początkowej trzeba doliczyć VAT, opłatę mocową (wprowadzoną od 2021 r.), akcyzę oraz zysk spółek energetycznych. Ostatecznie zatem udział czynników związanych z polityką klimatyczną UE zmniejsza się do 30 proc. (zdaniem przyciśniętego do muru wicepremiera Jacka Sasina) lub 20 proc. (zdaniem krytyków kampanii, związanych z opozycją). Owszem, to znacznie mniej, ale wciąż bardzo dużo – szczególnie dla firm, które nie są chronione taryfami zatwierdzanymi przez Urząd Regulacji Energetyki. Te 20–30 proc. może dla nich oznaczać być albo nie być.

Billboardy literalnie mówią prawdę, choć nawet przedstawiciele rządu potrafią w tej sprawie dokonać niedopuszczal-

nego skrótu myślowego. Sam premier Morawiecki mówił w pewnym momencie o 60 proc. „na rachunkach”, wprowadzając słuchaczy w błąd.

Kontekst polityczny kampanii jest czytelny. Rząd, przyciskany niezadowolonym wyborców z powodu galopujących cen (styczeniowa inflacja znów jest rekordowa – 9,2 proc., najwyższa od 22 lat), w których ogromny udział mają ceny energii, szuka wytłumaczenia. Przekierowanie niezadowolenia na UE w sprawach dotyczących polityki klimatycznej stało się od jakiegoś czasu stałą praktyką, choć rząd skrzętnie pomija, że w tej polityce brał udział nie mniej chętnie niż poprzednicy. Wszak to sam Mateusz Morawiecki zgodził się w grudniu 2020 r. na podwyższenie celów polityki klimatycznej do 55 proc. do roku 2030. Morderczy „Fit for 55” to również efekt tamtych uzgodnień. I również w tym przypadku sami odebraliśmy sobie pole manewru.

To jednak pokazuje, że spór o plakaty firmowane przez Towarzystwo Gospodarcze Polskie Elektrownie nie jest czysto merytoryczny – szczególnie że, jako się rzekło, liczba na nich pokazywana

jest prawdziwa. To spór w dużej mierze polityczny.

JAK ONI MANIPULUJĄ

Na czym polega manipulacja opozycji? Jej przedstawiciele stwierdzają, że dodatkowy koszt obciążający rachunki Polaków jest skutkiem zaniedbań władzy i opierania naszej energetyki na węglu, a nie unijnej polityki klimatycznej. To wyjątkowo obłudna argumentacja. To mniej więcej tak, jakby ktoś świadomie zamieszkał w niezbyt bezpiecznej okolicy i niespecjalnie zabezpieczył swoje mieszkanie. Może mógł, ale mu się nie chciało, a może po prostu nie było go stać na lepsze drzwi czy alarm. Pewnego wieczoru do mieszkania wdzierają się bandyci, biją lokatorów i rabują wszystkie cenne rzeczy. Opozycja zachowuje się dzisiaj tak, jakby w tej sytuacji zamierzała winą za napad obarczyć całkowicie właściciela mieszkania. Owszem, można powiedzieć, że wykazał się brakiem przezorności, ale przecież to sprawcy powinni zostać schwytani, osądzeni i wsadzeni do więzienia, a nie on.

Podobnie w przypadku unijnej polityki klimatycznej. Tak, Polska mogła z pewnością zrobić więcej pod wieloma względami. Przede wszystkim moglibyśmy mieć już teraz działający choć jeden blok jądrowy. Tutaj odpowiedzialność rozkłada się symetrycznie. Spółkę PGE EJ 1, mającą odpowiadać za budowę polskiej elektrowni jądrowej, dziś już nieistniejącą, rząd PO powołał jeszcze w 2010 r. Przez pięć lat nie zrobiono nic. Rząd PiS z kolei dopiero pod koniec ubiegłego roku zdecydował o preferowanej lokalizacji pierwszego bloku. Przyjmowany wcześniej termin oddania go do użytku w roku 2030 jest już oczywiście nierealny. Dobrze będzie, jeśli nastąpi to do roku 2035. Przy czym żadne wiążące decyzje (ostateczna lokalizacja i wybór partnera, czyli konkretnej technologii) nie zostały jeszcze podjęte.

Więcej można było też zrobić w kwestii choćby farm wiatrowych na Bałtyku. Wszystko to jednak nie oznacza, że polityka klimatyczna UE nie odpowiada za ceny energii, że nie jest błędna i że mamy się z nią godzić jak z padającym deszczem.

KLIMATYCZNA KONIECZNOŚĆ?

Tymczasem przeciwnicy kampanii z żarówką usiłują stworzyć wrażenie, że system EU ETS jest właśnie jakąś obiektywną koniecznością. Że jest równie obiektywnie istniejącym czynnikiem

jak na przykład liczba słonecznych dni w roku, która sprawia, że fotowoltaika na dużą skalę nie ma w Polsce sensu. I to jest największa manipulacja. System uprawnień do emisji CO₂, utworzony na mocy dyrektywy z roku 2003, był bowiem decyzją czysto polityczną. U jej fundamentów leżały jedynie hipotezy naukowców, upatrujących przyczyny zmian klimatu (wówczas była jeszcze mowa o globalnym ociepleniu, dziś coraz chętniej przez klimatystów zamienianym właśnie na bardziej neutralne „zmiany klimatu”) przede wszystkim w działalności człowieka. Nie stały za nią jednak żadne konkretne wyliczenia pokazujące, jaki skutek ma ów system wyrzucić na klimat – bo tego obliczyć się najzwyczajniej nie da.

Mechanizm był uzgadniany w ramach negocjacji. Godziły się na jego istnienie i modyfikację kolejne polskie rządy. Żaden – włączając w to obecny – nie protestował zawczasu przeciwko kolejnym ograniczeniom puli uprawnień, przyznawanych poszczególnym państwom. Na kwestię spekulacji uprawnieniami rządzący zwrócili uwagę dopiero wtedy, gdy sprawa stała się dla nich kłopotliwa politycznie w kraju.

Dzisiaj Polska stara się zorganizować inicjatywę, której celem jest zahamowanie lawinowego wzrostu cen uprawnień. Po pierwsze – miałyby zostać wycofane z rynku, a więc przestałyby być traktowane jak inne instrumenty finansowe podlegające giełdowej spekulacji. Po drugie – ich liczba miałaby przestać być systematycznie ograniczana. Działamy w tej sprawie jednak bardzo późno, w dodatku obarczeni innym poważnym sporem z Unią, a Komisja Europejska twardo stoi na stanowisku, że system jest tak integralną częścią Zielonego Ładu, że nie można go ruszać. Twierdzi również, że wzrost cen uprawnień nie ma źródła w spekulacji.

O EU ETS jego zwolennicy mówią często, że to przecież mechanizm rynkowy. To nieprawda. To sztucznie i arbitralnie nałożony na emisję podatek, którego wysokość poprzez liczbę uprawnień jest również sztucznie wyznaczana. Z wolnym rynkiem nie ma to nic wspólnego.

Cena uprawnień na grudzień tego roku (które już dziś kupuje się na giełdzie) oscyluje obecnie koło 95 euro za tonę. Dla Polski to cena zabójcza. Lecz tu przeciwnicy kampanii z żarówką przypominają, że pieniądze ze sprzedaży polskiej puli wpływają przecież do naszego budżetu. Połowa powinna być przeznaczana na „uzielenienie” polskiej gospodarki za pośrednic-

twem specjalnie powołanych funduszy. Ale to znów tylko część prawdy.

LUKA ETS

Po pierwsze – wpływy do polskiego budżetu ze sprzedaży uprawnień nie przekładają się w żaden sposób na sytuację podmiotów – także indywidualnych klientów – które muszą płacić więcej za prąd z powodu horrendalnych cen uprawnień. Rząd przeciw tych pieniędzy nie rozdaje. Jeśli, dajmy na to, zakład fryzjerski musi zapłacić za prąd 150 proc. więcej niż rok wcześniej, to cóż mu z tego, że w ten sposób pośrednio wspiera polski budżet? Albo będzie musiał podnieść ceny, albo zakończyć działalność. Jeżeli komunalna ciepłownia jest zmuszona kupować bezpośrednio uprawnienia do emisji, ponieważ pracuje na węglu, to nie będzie to dla niej stanowiło impulsu, żeby zainwestować w zielone technologie – taki był zamysł stojący za systemem EU ETS – ale stanie na skraju bankructwa.

Po drugie – mamy do czynienia z luką ETS – na co od dawna wskazywał poseł Janusz Kowalski. Polskie podmioty, ze względu na wysoki udział węgla w polskim miksie energetycznym, muszą kupować bezpośrednio lub pośrednio więcej uprawnień niż jest w polskiej puli, a zatem będą to uprawnienia z pul innych państw i to te inne państwa będą na tym zarabiać. Jakiś czas temu Janusz Kowalski szacował, że w latach 2021–2023 luka miała wynieść 65 mln ton. Gdyby przyjąć cenę 90 euro za tonę (choć już teraz widać, że to bardzo ostrożne szacunki), oznaczałoby ponad 5,8 mld euro, czyli przy obecnym kursie ponad 26 mld zł. To oczywiście jedynie szacunkowe wartości.

Przeciwnicy kampanii polskich elektrowni walczą z nią w tonie wręcz histerycznym, ponieważ – niezależnie od jej czysto politycznej motywacji – grozi ona tym, że część obywateli dostrzeże, iż proponowany przez UE mechanizm rzekomej walki ze zmianami klimatu nie jest bezalternatywny, a przede wszystkim oznacza ogromne, realne koszty. Problem w tym, że rządzący zaczęli o tym na serio wspominać dopiero wówczas, gdy zaczęło to podkopywać ich sondaże. Jeszcze nie tak dawno stanowisko ministra klimatu pisał Michał Kurtyka, wielki zwolennik polityki klimatycznej UE, organizator szczytu klimatycznego COP24 w Katowicach, który o zagrożeniach związanych z kosztami polityki klimatycznej mówił bardzo niechętnie. © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Gdyby PiS usłuchał Gowina

Jarosław Gowin zapewne nie należy do „łatwych” koalicjantów; dziś wie coś o tym już nie tylko Donald Tusk, lecz także Jarosław Kaczyński. Współrządzenie z nim to musi być prawdziwa udręka, ba, wprost mordęga – irytująca konieczność uzgadniania wszelakich szczegółów, denerwujące, ustawicznie zgłaszane wątpliwości i pytania, ciągłe drażnienie w celu znalezienia jeszcze lepszego rozwiązania itd. Wszelako liderzy, którzy szukają wyłącznie „łatwych” koalicjantów i/lub „łatwych” współpracowników, zazwyczaj „sami proszą się o kłopoty”, bo tylko nimi może się skończyć otaczanie się wyłącznie ludźmi „łatwymi”, czyli po prostu klakierami, potakiwaczami.

Abstrahując od roli Gowina w rządzie Tuska, a skupiając się na jego roli w rządach Szydło i Morawieckiego. Wiadomo – według jednych – według tych, którzy uważają, że należało wyrzucić go z koalicji dużo wcześniej – Gowin mocno zaszkodził PiS, uniemożliwiając mu przeprowadzenie prezydenckich wyborów kopertowych w maju 2020 r. oraz wprowadzenie wielu wspólnych reform, takich jak zlikwidowanie limitu (tzw. 30-krotności), powyżej którego nie płaci się składek do ZUS, przeformowanie już latem 2021 r. „lex TVN”, założenie na media podatku od reklam, ograniczenie prawa Polaków do odmowy przyjęcia mandatu, a także narzucenie w latach 2020

i 2021 na firmy znacznie dotkliwszych lockdownów itp., itd. Z kolei według innych – wręcz przeciwnie – uniemożliwiając to wszystko i jeszcze więcej, Gowin w oczywisty sposób uratował PiS przed PiS i ochronił tę partię przed popadnięciem w dużo większe tarapaty. I, rzecz jasna, każda ze stron tego sporu o Gowina uparcie trwa przy swoim.

Wszelako dziś, mam wrażenie, dużo lepiej widać, czy PiS „opłacało się” mieć Jarosława Gowina w koalicji, czy „nie opłacało się”; dziś, gdy Gowinowi, któremu wcześniej udało się uniemożliwić PiS przeformowanie wielu jego zdaniem szkodliwych dla Polski zmian – nie udało się uniemożliwić PiS wprowadzenia w życie Polskiego Ładu, przeciw czemu – jak wiadomo – niezwykle stanowczo, bardzo ostro, oponował i w rezultacie tego właśnie sprzeciwu został wyrzucony z rządu i z koalicji, a jego partia została przez PiS niemal unicestwiona. Dopiero dziś widać, czy Jarosław Gowin w Zjednoczonej Prawicy był wartością dodaną czy wręcz przeciwnie; czy działał – per saldo – na szkodę PiS, czy – per saldo – dla dobra PiS? Czy gdyby liderzy PiS nie wyrzucili Gowina, lecz przeciwnie – usłuchali go także wtedy, a jeśli nawet nie usłuchali, a po prostu ulegli mu z powodu braku głosów poparcia posłów z jego partii i wycofali się z forsowania projektu Polskiego Ładu – to PiS by na tym stracił czy zyskał?

A Polska i Polacy – stracili czy zyskaliby? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Rejestr youtuberów

Część Internetu rozpala sprawa tak absurda, że jakby żywcem wyjęta z którejś z komedii Barei (ach, jak powinniśmy żałować, że genialnego filmowca już z nami nie ma): rejestr twórców treści audiowizualnych na życzenie. Oto jakiś czas temu Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji uznała, że dyrektywa audiowizualna UE, a za nią polska Ustawa o radiofonii i telewizji każą jej mieć w rejestrze każdego, kto tworzy filmy i umieszcza je w jakikolwiek sposób w Internecie, zarabiając na tym. Nieważne,

powklejać do nich stosowne znaczki. Również do tych, które już się ukazały, nawet lata temu. Musiał także opatrzyć 30 proc. swoich „produkcji” audiodeskrypcją albo tłumaczeniem na język migowy. Za niezarejestrowanie się zaś groziła kara w wysokości 20-krotności przeciętnego wynagrodzenia.

Jasne było, że żaden zwykły tzw. youtuber nie jest w stanie tych wymagań spełnić, bo były one tworzone dla wielkich serwisów VOD, a nie dla osób fizycznych. KRRiT wydawała się jednak nie widzieć problemu.

Ostatnio jednak na jej stronie pojawił się komunikat, w którym przewodniczący rady objaśnia, że obowiązkiem rejestracji „objęte są jedynie te podmioty, które prowadzą działalność gospodarczą, tzn. prowadzą działalność w sposób zarobkowy, ciągły i zorganizowany, których miesięczny dochód przekracza 1505 zł brutto”. Wcześniej KRRiT twierdziła coś innego, ale widocznie ktoś poszedł tam jednak po rozum do głowy. Przy czym Krajowa Rada nie ma żadnego sposobu, żeby sprawdzić, jaki miesięczny dochód osiąga youtuber, bo system zarobków YouTube działa całkowicie poza polską jurysdykcją.

Pytanie zatem brzmi: Po co w ogóle KRRiT, a szerzej – organy polskiego państwa – bawią się w takie absurd, które narażają je jedynie na kpiny i sprawiają, że coraz więcej ludzi uznaje państwo za swojego wroga? ©©

**Po co w ogóle
KRRiT, a szerzej
– organy polskiego
państwa – bawią
się w takie absurd,
które narażają je
jedynie na kpiny**

jak mało – może to być 10 zł rocznie. Każda taka osoba miała wypełnić specjalny formularz i przesłać go do Krajowej Rady w terminie do 1 lutego.

I gdyby tylko o to szło. Ale nie – bo wraz z rejestracją taki ktoś zostawał obciążony obowiązkami identycznymi jak Netflix, Amazon Prime czy Player TVN. Musiał na przykład pokategoryzować swoje treści według tego, dla widzów w jakim wieku są przeznaczone (ściśle według kryteriów z ustawy i odpowiednich rozporządzeń) oraz



DEVELOPMENT

MIESZKANIA

W HISZPANII

COSTA DORADA

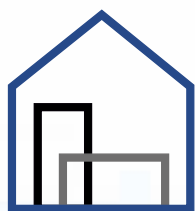


Vilanova i la Geltrú

30 min. od Barcelony

mieszkania POD KLUCZ
cena:

od 145.000 euro



CASERNES



www.grupainwest.pl
www.sqd-vng.es



Joanna Bojańczyk

Nikodem Dyźma ma godną siebie następczynię w realnym świecie. Działała w kręgu „elity” jak on, wiedząc, że tam zdobycze są największe. Historia Rosjanki Anny Sorokin teraz w serialu Netflix

Byłoby dziwne, gdyby według tej historii nie powstał serial. Ona aż prosi się o serial. Bo to nie tylko jeden wyczyn, to cała seria. Historia 25-letniej Rosjanki, która podając się za córkę niemieckiego miliardera, zawojowała nowojorską elitę. Luksusowe hotele, szampan, przyjęcia, napiwki po 100 dol. Długo trwało, zanim mleko się rozlało.

W supermedialnym procesie Anna Sorokin alias Anna Delvey została skazana na 12 lat więzienia. Wyrok: „oszustwa, przestępczość zorganizowana”. W czasie odsiadki penitentka publikowała zdjęcia z celi w designerskich ciuchach... Wyszła po czterech latach, w 2021 r, za dobre sprawowanie. Čwierć miliona dolarów długów spłaciła dzięki kontaktom z platformami streamingowymi, które były się o kontrakt. Zawstydzona ani pokory nie okazuje. Zarejestrowała już domeny i marki na nazwisko swego awatara: Anny Delvey. Jest szczęśliwa, że się o niej mówi, że zabiega o nią Hollywood. Zatrudnia stylistów, żeby dobierali jej ubrania, gdy pozuje telewizjom. Diabeł ubiera się u Prady. Jakżeby inaczej!

Ta historia na poły celebrycka, na poły z półświatka pokazuje w koncentracji współczesny świat, potęgę mediów społecznościowych, złudny glamour, pogoń za luksusem. Prawa do serialu „Kim jest Anna” Netflix kupił za nieujawnioną sumę, wyreżyserowała go Shonda Rhimes, reżyserka, która ma na koncie takie hity jak „Bridgertonowie”, „Chirurdzy”. „Postać Sorokin mnie zafascynowała” – powiedział Rhimes tygodnikowi „Time”. „Ona jest uosobieniem wszystkich sprzeczności naszych czasów. Ludzie oburzali się na jej arogancję i na to, że wykorzystywała innych za pomocą mediów społecznościowych, ale przecież to jest właśnie to, co dzisiaj cenione jest najbardziej” – dodała.

Na początku drugiej dekady naszego wieku Instagram nie był jeszcze taką potęgą jak dzisiaj, ale już wtedy służył

Genialna oszustka

FOT. RICHARD DREW/ANFEAST NEWS

zawodowcom od mody i wizerunku. Sprytna dziewczyna umiała się nim posłużyć, zanim wpadły na ten pomysł miliony dziewczyn. American dream wzięła na serio, wycisnęła z niego wszystko, co się dało. Pracowicie, skrupulatnie, nitka za nitką utkała swoją osobę z kłamstw. Wyprodukowała awatara i wydawało się, że się nim stała. Jednak nie do końca.

CZTERDZIEŚCI TYSIĘCY FANÓW

Jaki jest prawdziwy życiorys Anny Sorokin, wie tylko ona sama. A może nawet ona nie wie, tak go zamąciła. Wiadomo, że urodziła się w Rosji w roku 1991. Że jej ojciec był kierowcą, potem właścicielem firmy transportowej, która zbankrutowała. W domu powodziło się nieszczęśliwie. W roku 2007 rodzina wyemigrowała do Niemiec. Szesnastolatka poszła do liceum, niezbyt dobrze radziła sobie z niemieckim. Za to wymagania miała wysokie. Drogie ciuchy, kosmetyki... – To inwestycja – przekonywała rodziców, gdy narzekali, że ich nie stać.

Anna interesuje się sztuką i modą. Zatem Londyn i szkoła Central Saint Martins College of Art and Design wydaje się właściwym wyborem. Pozostaje

kwestia, kto zapłaci czesne: 7,5 tys. euro za trymestr. Ale ten problem Annie udaje się rozwiązać, o czym świadczyć może tytuł „bachelor of arts”, którym chwali się w swoim CV.

Jako specjalistka od „networkingu” dostaje pracę w agencji PR w Berlinie, potem zdobywa staż w Paryżu, w magazynie „Purple” o modzie, sztuce i designie. W środowisku pismo ma opinię kultowego. Rosjance udaje się nawet zaprzyjaźnić z redaktorem naczelnym, Olivierem Zahmem.

W Paryżu panna Sorokin zrywa z przeszłością. Umarła Anna Sorokin, urodziła się Anna Delvey, córka niemieckiego potentata przemysłowego. Jej nowe wcielenie postanawia udać się tam, gdzie ogniskują się cywilizacje XXI w. Gdzie można wszystko. Nowy Jork.

Na Manhattanie Anna rozpoczyna światowe życie z rozmachem. Anna Delvey bywa tam, gdzie trzeba być: na imprezach, wernisażach, koktajlach, nawiązuje znajomości w świecie mody. Jednym opowiada, że jej ojciec jest właścicielem fabryki paneli słonecznych, innym – że rosyjskim królem ropy naftowej i miliarderem. Wszystkie poczynania dokumentuje na Instagramie, gdzie

zdobywa szybko 40 tys. followersów. Na owe czasy – bardzo dużo.

Wciąga się do gry i poznaje jej reguły. W Nowym Jorku liczą się pieniądze. A jak nie wierzyć komuś, kto mówi, że ma na koncie 60 mln? Trzeba tylko umiejętnie stwarzać pozory. Na początku 2017 r. udaje jej się zamieszkać w 11 Howard, snobistycznym hotelu, ulubionym miejscu celebrytów. Czteryście dolarów za dobę. Jak to możliwe, że nie sprawdzono jej karty kredytowej? Przy pomocy 100-dolarowych napiwków wystarczyło zaprzyjaźnić się z menedżerką, skądinąd rówieśniczką. Bywają razem na imprezach. Anna zachowuje się jak wielkoświatowa bywalczyń, choć słów „dziękuję” i „proszę” nie ma w jej słowniku. Niektórym pracownikom hotelu wydaje się dziwaczna, ale cóż, bogaci mają niecodzienne maniere. Spaceruje po hotelu z kieliszkiem białego wina ubrana w hotelowy szlafrok, załoga walczy o to, kto zanieśnie jej przesyłkę do pokoju, bo to oznacza napiwek 100 dol. Opowiada, że zamierza otworzyć klub w Soho, z filiami w Londynie, Hongkongu, Dubaju. Jest na pewno jedną z tych córek bogaczy, które włączają się po ekskluzywnych miejscach na świecie, wydając ojcowskie miliony –

REKLAMA



JUBILEUSZOWA X EDYCJA

START 6 MARCA

NA WSZYSTKICH KONTYNETACH



TROPEM WILCZYM

BIEG PAMIĘCI ŻOŁNIERZY WYKŁĘTYCH

DOŁĄCZ NA tropemwilczym.org

■ myślą pracownicy hotelu. Jej pokój pełen jest toreb z zakupami, drzwi nie zamykają się za manikiurzystkami, fryzjerami, masażystkami. Cztery i pół tysiąca dolarów w gotówce dla wziętej nowojorskiej trenerki osobistej. Studolarówki spływają z portfela Anny Delvey jak z taśmy produkcyjnej.

DZIEDZICZKA NIEMIECKIEJ FORTUNY

Nie tylko jest na wszystkich przyjęciach i imprezach, Anna sama wydaje w hotelu kolacje, na które zaprasza nowojorską elitę. Przychodzą właściciele galerii, klubów, ludzie ze świata mody. Znajomy przedstawia Annę Michaelowi XuFu Huangowi, kuratorowi muzeum sztuki M Woods w Szanghaju. Anna proponuje mu wspólny wyjazd na Biennale do Wenecji. Huang jest trochę zdziwiony, że za jej bilet samolotowy ma zapłacić własną kartą, ale cóż... Gdy Anna zapomina zwrócić dług, myśli, że drobne 2 tys. dol. nie mają dla bogatego człowieka znaczenia, i sam zapomina o sprawie.

Skąd miała pieniądze? Jej adwokaci twierdzili, że dostała z banku kredyt poręczony sfałszowanymi czekami. „Pożyczła” też pieniądze od znajomych. Zaproszona do nich robiła fotokopie kart kredytowych. Przychodziły rachunki na 70 tys. dol.

Ma talent do nawiązywania znajomości. Zaprzyjaźnia się z Gabrielem Calatravą, synem słynnego architekta Santiaga Calatravy. Przez dwa lata prowadzi się z obiecującym młodym informatykiem, o którym napisał „New Yorker”, który miał wykład na konferencji TED. On opowiada o swojej aplikacji, ona o klubach, które zamierza otworzyć. Ale z aplikacji nic nie wychodzi, amant ulatnia się do Emiratów.

Agentowi nieruchomości w Nowym Jorku Annę poleca znajomy. Przedstawia się jako „dziedziczka niemieckiej fortuny”, wydaje się sympatyczna. Chce wynająć mieszkanie w supernowoczesnym wieżowcu przy 23 Ulicy i High Line, dawnej linii kolejowej obecnie przerobionej na linearny park. Miejsce jest prestiżowe, podobnie cena – 12,5 tys. dol. A dodatkowo wymagany jest zadatek 150 tys. Anna obiecuje, że ojciec za chwilę zrobi przelew. Ale dni mijają i pieniądze nie nadchodzą. Niemiecki dokument z konta, który przedstawia, jest nieudolnie podrobiony. „Sprawiała wrażenie, że wierzy w swoje kłamstwa. Co parę dni pytała, czy przelew przyszedł”. Agent myśli, że trafił na mitomanę, i macha ręką na sprawę.

Ale Anna plany ma większe. Chce założyć fundację sztuki własnego imienia – Anna Delvey Foundation. Siedziba: zdesakralizowany neogotycki kościół przerobiony na biurowiec, nowojorski zabytek, na rogu Park Avenue i 22 Ulicy. Koszt inwestycji – 50 mln dol. Kredyt ma poręczyć fundacja rodziny Calatrava, a rzekomy wkład 25-letniej inwestorki, czyli jej fortuna, wynosi 25 mln. Potrzeba drugie tyle. Anna uruchamia swoje finansowe znajomości. Wierzy, że z jej kartetem towarzyskim inwestorzy znajdą się łatwo. Andy Lance, adwokat polecany przez finansistę z Wall Street, ma pilotować projekt

320 tys. dol.

TYLE MIAŁ ANNIE SOROKIN ZAPŁAĆ NETFLIX ZA PRAWO DO ZREALIZOWANIA SERIALU

i wskazać, do których drzwi zapukać. „Nasza klientka zamierza podjąć bardzo ekscytujące przedsięwzięcie. Posiada poważne zasoby finansowe poza obszarem Stanów Zjednoczonych” – zapewnia. O powadze klientki zaświadcza również niejaki Peter W. Hennecke, rzekomy bankier, który ma nadesłać konieczne zaświadczenia o wypłacalności. – Kim jest ten pan? – pyta menedżer City National Bank, gdzie Anna występuje o kredyt. Zastanowiło go, że adres e-mailowy Henneckiego nie jest bankowy, tylko prywatny na domenę AOL. Anna odpowiada, że to „menedżer rodziny”. W rzeczywistości ta osoba nie istnieje, numer komórki pochodzi ze skradzionego aparatu. Gdy bank wymaga dokumentu potwierdzającego rzeczywisty majątek, Anna przedstawia fałszywkę. Tak samo w Fortress Investment LLC...

Źle się dzieje także w hotelu, gdzie Anna przemieszkuje na kredyt. Rachunek wynosi już 30 tys. i wciąż rośnie. Menedżerka hotelu, przyjaciółka Anny, zaproszona przez nią na kolację sama musi zapłacić rachunek, bo karta, którą podaje Anna, nie działa. Nie działa również 12 innych, których numery podaje kelnerowi... Widocznie znajomi zawiadomili o kradzieży. Ale następnego dnia Anna zwraca koleżance trzykrotną wartość rachunku i daje w prezencie T-shirt Ricka Owensa za 400 dol. Jednak w końcu zniecierpliwione szefostwo hotelu zmienia kod w pokoju i rzeczy lokatorki wstawia do przechowalni

bagażu, licząc jednak, że rachunek zostanie zapłacony. W międzyczasie na adres hotelu nadchodzi skrzynka szampana Dom Pérignon rocznik 1975 do rozdania między pracowników...

KOLACJA Z BILLEM GATESEM

Tymczasem Anna udaje się w podróż do Omahy na konferencję z udziałem najbogatszych ludzi Ameryki. W e-mailu do przyjaciółki pisze, że było wspaniale, jadła kolację z Warrenem Buffetem i Billem Gatesem. Zaraz też jest następna podróż. Pierwszą klasą do Maroka, lecieć mają na zaproszenie Anny jej osobista trenerka, fotoedytorka z „Vanity Fair” i znajomy, który na wideo dokumentuje przygotowania do fundacji Anny Delvey. Menedżerka hotelu też jest zaproszona, ale hotel nie daje jej urlopu, więc z żalem zostaje i śledzi na Instagramie pobyt znajomych w Marakeszu. Trenerka po dwóch dniach musi wrócić do Nowego Jorku z powodu zatrucia pokarmowego. W Marakeszu okazuje się, że karta Anny nie działa, i rachunek za ekipę – 62 tys. dol. – musi zapłacić fotoedytorka... To więcej niż jej roczna pensja... Nie ma takiej sumy na koncie, więc zaciąga dług na służbowej karcie. Anna nie ma również pieniędzy, żeby zapłacić za powrotny lot do Stanów. Prosi trenerkę o pożyczkę. – Czy mogłabyś kupić pierwszą klasę? – pyta skromnie.

Sprawy zaczynają się sypać. Po powrocie do NYC kolejne niezapłacone hotele wyrzucają Annę. Nie ma gdzie się podziać, błąka się po ulicach z walizką. Dzwoni zrozpaczona do trenerki, prosząc o nocleg. – Rodzice ci nie pomogą? – pyta tamta. – Rodzice są w Afryce – pada odpowiedź. Na jedną noc Anna znajduje u koleżanki pomoc, na następne trenerka się nie godzi, przeczuwając, że coś tu jest nie tak. Jednocześnie gazety zaczynają pisać o podejrzanym kobiecie, która zostawia za sobą niezapłacone rachunki w drogich hotelach. Zgłaszają się kolejni poszkodowani. „Oszukała wszystkich” – mówi nowojorski znajomy.

W wywiadach udzielonych dziennikowi „New York Times” Anna Sorokin jeszcze w więzieniu tłumaczyła, że to wszystko robiła, żeby nie wzięto jej za naiwną dziewczynę. Ma zamiar napisać książkę. Inni bohaterowie tej historii mają podobne plany. Towarzyszka podróży do Maroka, fotoedytorka, rozmawia z wydawnictwem Simon & Schuster.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

TEST „DO RZECZY”: OSUSZACZ POWIETRZA STADLER FORM THEO

Nieźła wydajność, banalnie prosta obsługa i minimalistyczne wzornictwo – to najważniejsze zalety osuszacza powietrza szwajcarskiej firmy Stadler Form.

Prosty, ładny design autorstwa Mattiego Walkera sprawia, że urządzenia nie trzeba w panice usuwać z salonu, jeśli przychodzą goście. Dobrze też, że projektant pomyślał o wygodnym uchwycie, który ułatwia przenoszenie urządzenia z pokoju do pokoju. Theo skutecznie działa bowiem w pomieszczeniach o powierzchni do 40 mkw. Dobry wbudowany higrostat pozwala łatwo wybrać pożądany poziom wilgotności (40, 50 lub 60 proc.), po czym Theo automatycznie pilnuje poziomu wilgotności, samodzielnie wyłączając się, aby nie doprowadzić do zbytniego wysuszenia pomieszczenia. Panel sterowania jest prosty, podobnie jak obsługa tego modelu.

Urządzenie może działać w sposób ciągły, można też ustawić programator czasowy, aby gadżet wyłączył się np. po siedmiu godzinach pracy. Zebraną z otoczenia wodę Theo zbiera do zbiornika o pojemności 2,1 l. Jeśli zbiornik się zapełni, to urządzenie wyłączy się automatycznie, a u dołu urządzenia zapali się czerwona dioda. Dzięki temu urządzenie można bez obaw zostawić samo w domu.

W domach lub mieszkaniach, w których problem z nadmiarem wilgoci jest stale obecny, do urządzenia można również podpiąć wąż do automatycznego odprowadzania wody (jest

w zestawie). Wbrew pozorom osuszacz powietrza świetnie sprawdza się nie tylko w tych domach i mieszkaniach, w których problem ze zbyt dużą wilgotnością sprawia, że w pomieszczeniu czuć zapach stęchlizny, wokół okien zbiera się woda, na uszczelkach pojawia się pleśń, a na ścianach grzyby. W takich sytuacjach urządzenie skutecznie pomaga w redukcji rozwoju grzybów, a także bakterii i drobnoustrojów.

Osuszacz dobrze zdaje egzamin również w pomieszczeniach, w których po praniu rozwiesza się ubrania. Urządzenie skutecznie wyciąga wilgoć z ubrań, ręczników czy pościeli, wyraźnie skracając czas suszenia. Odzyskana przez urządzenie woda świetnie nadaje się zaś do prasowania.

Urządzenie jest też stosunkowo ciche. Poziom hałasu wynoszący 42 dB to nieźły wynik

(u niektórych konkurentów maksymalna głośność to np. 50 lub 57 dB), mimo to w sypialni pracujący Theo może już niektórym przeszkadzać.



Wady? Testowany model Theo nie umożliwia regulacji prędkości pracy wentylatora, nie posiada wyświetlacza wskazującego aktualny poziom wilgotności względnej w danym pomieszczeniu ani modułu wi-fi, który pozwalałby sprawdzić te informacje na ekranie smartfona. Niektórym brakować może również kółek, które mogłyby pomóc w przemieszczaniu ważącego 11,4 kg urządzenia z pokoju do pokoju. Po trzecie wreszcie, zbiornik na wodę mógłby być nieco większy (np. 3 l), nieco wyższa mogłaby być również wydajność osuszania (w przypadku Theo wynosi do 10 l na dobę), choć w przypadku regulowania wilgotności w niewielkich pomieszczeniach jest ona wystarczająca.

Mimo tych minusów Stadler Form Theo to solidnej jakości urządzenie o ciekawym designie, które obniży poziom wilgotności, ułatwi suszenie prania i pomoże pozbyć się zapachu stęchlizny. Testowany model kosztuje 824,25 zł. © ©

Jacek Przybylski

NAJPOTĘŻNIEJSZY SMARTFON SAMSUNGA?



Południowokoreańska firma zaprezentowała Galaxy S22 Ultra, teoretycznie najlepszy model smartfona w całej rodzinie Galaxy S. Najnowszy flagowiec został wyposażony w baterię o pojemności 5000 mAh oraz rysik S Pen i oprogramowanie ulepszające rozpoznawanie pisma odręcznego w 88 językach. Sercem urządzenia jest niezwykle wydajny procesor Exynos 2200. Producent zapominał chyba jednak, ile krzyczy sobie za ten telefon, i w wersji za 5899 zł uzbroidł go w zaledwie 8 GB pamięci RAM. Niektórzy recenzenci zwracają uwagę, że aparat fotograficzny w nowym modelu pod względem zastosowanej optyki może być nieco gorszy, niż był w S21 Ultra. Producent zapewnia jednak, że w nowym modelu dodał m.in. zaawansowane funkcje rejestrowania zdjęć i wideo nocą. Gadżet

jest też wyposażony w wi-fi 6E, które niemal dwukrotnie przekracza prędkość wi-fi 6. Model S22 Ultra w topowej wersji z 12 GB pamięci RAM i 512 GB wbudowanej pamięci kosztuje 6899 zł. W tej cenie w zestawie nie ma słuchawek ani... ładowarki. Przedsprzedaż już ruszyła.

WALKMAN DLA BOGATYCH

Przenośny, zminiaturyzowany odtwarzacz kaset magneto-fonowych. To był szpan... Zarówno dla tych, którzy chcieliby powrócić do lat 80., jak i dla tych, którzy o wydarzeniach z ubiegłego wieku dowiadują się tylko z lekcji historii, japońska firma Sony przygotowała nowe walkmany. Tym razem bez kaset w środku. Nowe odtwarzacze muzyczne NW-WM1ZM2 i NW-WM1AM2 mają usatysfakcjonować najbardziej wybrednych audiofilów. Oba modele współpracują z sieciami wi-fi i umożliwiają pobieranie muzyki oraz słuchanie jej w streamingu. Odtwarzacze różnią się np. obudową, która w wersji NW-WM1ZM2 jest wykonana z połączonej miedzi beztlenowej (OFC), oczyszczanej do 99,99 proc., oraz wielkością wbudowanej pamięci: NW-WM1ZM2 ma jej 256 GB, a NW-WM1AM2 – 128 GB. Nowe walkmany mają pojawić się w sprzedaży w kwietniu. Droższa wersja została wyceniona na 3,6 tys. dol. (ok. 15 tys. zł), a tańsza na 1,6 tys. dol. © ©



Jacek Przybylski



Z prof. Konradem Rejdakiem, prezesem Polskiego Towarzystwa Neurologicznego rozmawia Katarzyna Pinkosz

Choroba nadwrażliwego mózgu

KATARZYNA PINKOSZ: Migrena to jedna z najbardziej uciążliwych chorób i jedna z najczęstszych przyczyn życia z niepełnosprawnością. Często lekceważona – choć tylko przez osoby, które z jej powodu nie cierpią. Jak jednak odróżnić ból migrenowy od innych bólów głowy?

PROF. KONRAD REJDAK: Migrena towarzyszy ludzkości od tysięcy lat. Jest to najczęstszy typ bólu głowy, który ma bardzo określone symptomy i patomechanizm. Nie każdy ból głowy jest migreną. Migrena to z reguły ból jednostronny, o charakterze pulsującym, trwający od 4 do 72 godzin. U niektórych osób jest poprzedzony aurą. Najczęściej są to zaburzenia widzenia, pojawiają się np. migające punkty, błyski. Następnie rozpoczyna się ból głowy, któremu towarzyszą

objawy autonomiczne, takie jak nudności, wymioty. Charakterystyczna jest również nadwrażliwość na ruchy głowy. W trakcie bólu migrenowego osoba bardzo źle toleruje aktywność ruchową, a także światło, dźwięk. Najchętniej chciałaby położyć się w zaciemnionym pokoju i przeczekać ból.

Dlaczego niektórzy z nas mają skłonność do migren? A zwłaszcza kobiety?

Decydują czynniki genetyczne, często w całych rodzinach występują bóle migrenowe. Jest to uwarunkowanie poligenetyczne, nie ma jednego genu, który decydowałby o pojawieniu się migreny. Częściej chorują kobiety, co ma związek z aktywnością hormonalną. Są również pewne czynniki sprawcze, które

mogą wywołać atak migreny. To np. dieta (żółty ser, czerwone wino), stres, zmiana otoczenia, wysiłek fizyczny, umysłowy. Zdarza się jednak, że np. ktoś wyjeżdża na wczasy, żeby odpocząć, a w nowym otoczeniu zaczyna się atak migrenowy, który trwa nawet cały urlop. Te czynniki wywołujące migrenę są bardzo indywidualne.

U niektórych osób migrena pojawia się sporadycznie. Są jednak też osoby, które mają takie dolegliwości nawet kilka razy w tygodniu?

Tak, migrena to jedna choroba, jednak w zależności od częstotliwości ataków wyróżniamy migrenę epizodyczną oraz migrenę przewlekłą, o której mówimy, jeśli bóle głowy występują częściej niż

15 dni w miesiącu i mogą trwać całymi godzinami, ze zmiennym nasileniem. Migrena przewlekła to już poważny problem, znacząco zaburzający życie rodzinne, normalne funkcjonowanie, a także pracę zawodową. Bardzo często powoduje absencję chorobową, a nawet, jeśli taka osoba chodzi do pracy, to często pracuje mało efektywnie.

Nawet ok. 10 proc. społeczeństwa cierpi na migrenę epizodyczną, a 1–2 proc. na migrenę przewlekłą. U każdej osoby z migreną epizodyczną może pojawić się okres życia, w którym przyjmie ona formę przewlekłą. Ponadto pacjent może wejść w wieloletnią remisję, jego mózg przestaje być tak wrażliwy na bodźce, żeby generować ból migrenowy.

„Winny” migrenie jest więc nadwrażliwy mózg?

Tak, migrena jest chorobą mózgu. Pobudzenie ośrodków centralnych w układzie nerwu trójdzielnego wywołuje stan neurogennego zapalenia mózgu. Naczynia krwionośne ulegają rozszerzeniu, zwiększa się ich przepuszczalność, co wywołuje stan zapalny, dochodzi do podrażnienia zakończeń bólowych. Powstaje błędne koło bólu, które może trwać nawet kilka dni.

Zwykle, gdy boli nas głowa, sięgamy po środki przeciwbólowe, bez recepty...

To jeden z najczęściej popełnianych błędów. Pacjenci zwykle sami próbują leczyć bóle głowy, przyjmują środki przeciwbólowe z grupy niesteroidowych leków przeciwzapalnych. Ich częste przyjmowanie, zwłaszcza w dużych ilościach, doprowadza do pojawiania się tzw. bólów głowy z odbicia, polekowych, które mogą przejść w ból przewlekły.

W przypadku częstych migren pacjent powinien iść do lekarza?

Tak, najlepiej do neurologa, który zbierze bardzo dokładny wywiad i przeanalizuje objawy, by zdiagnozować, na jaki rodzaj bólów głowy cierpi pacjent, by jak najlepiej mu pomóc. Częste bóle głowy mogą być m.in. spowodowane stanem depresyjnym, który często wiąże się z bólem napięciowym głowy.

Jeśli lekarz stwierdzi migrenę, to jak ją leczyć?

Mamy dwie strategie w leczeniu migreny. Pierwsza to terapia przerywająca ostry atak: podajemy leki doraźnie. Są klasyczne leki przeciwmigrenowe z grupy tryptanów, które stały się standar-

dem. Jednakże oczywiście nadal stosuje się leki z grupy niesteroidowych leków przeciwzapalnych, ale te wybrane, jak np. kwas acetylosalicylowy, czyli popularną aspirynę w odpowiedniej dawce i jako jednorazowe podanie. Nie można go jednak nadużywać. Często odpowiedź na konkretny lek jest indywidualna i wielu pacjentów łatwo wskazuje, który z nich działa u niego po wielu próbach z różnymi lekami.

Druą strategią leczenia migreny przewlekłej polega na stosowaniu leczenia prewencyjnego, którego celem jest hamowanie mechanizmu generowa-

miesiące lub rzadziej, wywołując efekt terapeutyczny.

Leczenie toksyną botulinową jest bezpieczne?

To potencjalnie groźny lek, jeśli jest źle podany, jednak bardzo bezpieczny, gdy podaje go doświadczony lekarz, który wie, w jaki sposób i jakie okolice ostrzykiwać. Oczywiście w Polsce lek jest podawany wyłącznie przez osoby posiadające doświadczenie w stosowaniu takiej terapii, zgodnie ze ściśle określonym schematem.

Problemem jest to, że w Polsce żaden z nowoczesnych leków na migrenę nie

W Polsce ok. 280 tys. osób może mieć migrenę przewlekłą, z czego prawidłowo postawione rozpoznanie ma ok. 60 proc. pacjentów, spośród których mniej niż 38 proc. podejmuje leczenie profilaktyczne

nia bólu. Przez wiele lat stosowaliśmy w tym celu leki z różnych grup, np. przeciwpadaczkowe, przeciwdepresyjne, miały one jednak wiele działań ubocznych, dlatego pacjenci często bardzo szybko z nich rezygnowali. W ostatnich latach dokonał się jednak duży przełom: udało się wprowadzić leki biologiczne, przeciwciała monoklonalne, które mogą blokować białko CGRP, bezpośrednio zaangażowane w ataki bólowe. Dzięki zablokowaniu uwalniania tego białka (lub receptorów dla tego białka) możemy wyhamować ból i wprowadzić pacjenta w remisję. Leki biologiczne są podawane w iniekcjach raz w miesiącu lub raz na trzy miesiące. Efekt pojawia się już po tygodniu, narasta z czasem, jeśli terapia jest systematyczna. Leczenie trwa różnie długo, ale z reguły ok. roku, po tym czasie próbuje się odstawić leki, by przekonać się, czy remisja jest trwała.

W leczeniu profilaktycznym stosuje się też toksynę botulinową. Jakim pacjentom może pomóc takie leczenie?

Toksyna botulinowa (jad kiełbasiany) jest ważnym lekiem w leczeniu migreny przewlekłej. Leczenie polega na ostrzykiwaniu głowy, głównie okolicy czołowej, ale też skroniowej i potylicznej. Toksyna wnika w zakończenia nerwowe, może wstecznie wędrować do nerwu trójdzielnego i przez to blokować jego nadaktywność. Zaletą takiego leczenia jest to, że iniekcje wykonuje się rzadko, raz na trzy

jest refundowany. Polskie Towarzystwo Neurologiczne postuluje, by wprowadzić leki dla najcięższych chorych do programów lekowych. Wówczas w wybranych ośrodkach będzie możliwe leczenie w sposób kontrolowany. Da to szansę pacjentom, którzy wyczerpali już inne opcje leczenia, a ich życie zmienia się w koszmar z powodu bólów głowy.

Ma pan w swojej praktyce wielu pacjentów, którzy nie mogą uwolnić się od bólu migrenowego?

Bardzo wielu, częściej są to kobiety, choć oczywiście przychodzą też mężczyźni. To pacjenci w różnym wieku, zarówno młode osoby, jak i starsze, które całe życie cierpią na migrenę, co wycięło im z życiorysu wiele cennych dni aktywności zawodowej, społecznej, rodzinnej. Próbowaliśmy różnych terapii, z większym lub mniejszym skutkiem. Widzę bardzo dobre efekty nowych terapii: zarówno toksyny botulinowej, jak i nowych leków biologicznych, które stosowaliśmy w ramach badań klinicznych. Dla wielu osób jest to szansa na normalne życie. Na dziś jednak są to terapie „luksusowe”, dostępne dla osób bardziej zamożnych, a niedostępne dla osób gorzej sytuowanych.

Warto pamiętać, że nie jest to terapia do końca życia. Najczęściej uzyskujemy remisję, pacjent zapomina o bólu, może normalnie funkcjonować.

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Szynki i austerie warszawskie



JACEK KOMUDA

Do czasów potopu szwedzkiego na Starym Mieście w Warszawie było prawdopodobnie więcej karczem i szynków niż dzisiaj w tym miejscu. Jerzy Lileyko w „Życiu codziennym w Warszawie za Wazów” wymienia ich 17 na samym tylko rynku. Obecnie latem można naliczyć ich ledwie 12, a i tak trzeba szybko rachować, bo złowieszczę znaki końca świata – zaraza covidowa, zbierający się potop moskiewski i Nowy Ład – już teraz doprowadziły do znacznego przetrzebienia restauracji, pubów

i kawiarni. W wieku XVII lokale te wyglądały i nazywały się inaczej. W obrębie murów Starej Warszawy nie było karczem,

czyli samodzielnych drewnianych obiektów. Ich rolę odgrywały winiarnie, zwykle ulokowane w podziemnych sklepach, piwnice

i wreszcie austerie, czyli zajazdy – odpowiednik dzisiejszych hoteli, gdzie można było nie tylko wypić, lecz także przenocować.

Najstawniejsza na rynku Starej Warszawy była winiarnia fukierska, założona w 1610 r. przez Michała Fukiera. Drugi w kolejności uszykował się szynk Gallusa, gdzie także podawano wino – w pomieszczeniach kamienicy Balcera Strubicza. W kamienicy Gizów (dziś Rynek Starego Miasta nr 6) był szynk Jaworowskiego, obok mieścił się Hans Winiarz. Ulica Świętojańska pełna była wyszynków, mieściły się przede wszystkim w głębokich piwnicach murowanych kamienic. Na Krakowskim Przedmieściu znany był z kolei handel win Matyjasza Poluby, jednak najstawniejsza winiarnia należała do Kaspra Waltera.

Należy pamiętać, że ze względu na cenę wino było wówczas trunkiem przeznaczonym dla zamożnych – dla szlachty posesjonatów, patrycjatu i dworzan królewskich. Chłop, flisak, furman, a nawet zwykły szlachcic – łyczek z mazowieckiego zaścianka delektował się piwem w drewnianej karczmie na przedmieściach albo w jurydykach starościańskich, tyle że w osobnej izbie oddzielony lepioną gliną, chruszczaną ścianą od potomków Chama.

Ciekawy charakter miała w połowie XVII stulecia ul. Długa przebiegająca wzdłuż murów miejskich i odchodząca w stronę Arsenału. Znajdowało się tam mnóstwo wspomnianych austerii, czyli domów zajezdnych. Im bliżej murów miejskich, tym były bardziej wykwintne. Najdroższa i najpiękniejsza zaś, zwana Giełdą, zbudowana przez Jerzego Baryczkę pod koniec XVI w., znajdowała się niemal na wprost Barbakanu, na rogu ul. Freta. Jak podaje Jerzy Lileyko, zatrzymywali się tam nawet posłowie cudzoziemscy, choć innych lokali nie brakowało. Baryczkowie zbudowali obok jeszcze jeden zajazd – zwany Baryczkowskim, kolejne opasywały Starą i Nową Warszawę niczym obwarzaniek. W 1620 r. uruchomiono zajazd Szałapskich przy dzisiejszej ul. Biełańskiej, a więc bardzo oddalony od murów miejskich. Koło obecnego pl. Krasińskich mieścił się Wiedeń Jakuba Gیزی. Wygląda więc na to, że prawie każda rodzina patrycjuszowska w Warszawie miała swój zajazd poza murami miasta.

Jak wyglądały ówczesne austerie? Te najbogatsze przypominały małe dworki. Były to drewniane, piętrowe budynki, z wielką salą gościnną na parterze oraz pokojami i niewielkimi apartamentami dla gości. Obok, w sąsiednich zabudowaniach, mieściły się stajnie i wozownie, a często także szopy – składy dla towarów i sprzętów.

Pomniejsze zajazdy, jak Krystofory, Długoszowski, Jana Kaliny i Jana Gąsiora, oferowały znacznie mniej wygód. Dzień w dzień we wspomnianych austeriach trwały biesiady, schodzili się tam nie tylko goście, lecz także drobni handlarze, Cyganie, skoczki, wesołkowie, muzykanci, franci i murwy.

Zajazdy i szynki warszawskie podupadły po potopie szwedzkim, a w latach 80. zyskały poważną konkurencję. Był nią Marywil – wzniesiony w zachodniej części pl. Teatralnego przez królową Marysieńkę Sobieską. Stąd zresztą wzięła się jego nazwa: Marie Ville, czyli miasto Marii. Był to odpowiednik dzisiejszych galerii handlowych – pięcioboczny plac otoczony murowanymi budynkami (przynajmniej takie widzimy na jego widoku z 1733 r.). Z jednej strony zamknięty był ogrodem królewskim.

W Marywilu znajdowały się pokoje królewskie, przede wszystkim jednak, mówiąc dzisiejszym językiem, lokale usługowe, czyli izby – sklepy z podcieniami połączone z magazynami i mieszkaniami dla kupców wykładających tam towary. Były tam również pokoje dla podróżnych. Dziedziniec obiektu stał się także miejscem parad i ceremonii dworskich – pośrodku miał zostać zbudowany monumentalny pomnik króla Jana III Sobieskiego, do czego jednak nie doszło. Ostatecznie od strony ogrodu wzniesiono po prostu kaplicę.

Po Marywilu nie pozostał dziś żaden ślad – w 1825 r. zburzono większość zabudowy w związku z budową Teatru Wielkiego i utworzeniem ogromnego pl. Teatralnego. Jak podaje Hanna Władka, w czasie przebudowy znaleziono kamień węgielny pod kaplicą Marywilską, w którym znajdowały się relikwie oraz moneta – pół tymfa z podobizną Jana III Sobieskiego. ©



FOT. DOMENA PUBLICZNA



RYS. OBA

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



**NUMER SPECJALNY
NA 80. ROCZNICĘ
POWSTANIA ARMII
KRAJOWEJ!**

Wojciech Königsberg – Śmierć wrogom AK!

Tomasz Stańczyk – Zdrada Kalksteina

Piotr Włoczyk – Brawurowa likwidacja Kutschery

Krzysztof Maślōń – Wyrok na Józefa Mackiewicza

Marzena Ożarek-Szilke – Mumia z embrionem

Jacek Bartosiak – Klęska w Afganistanie

Piotr Zychowicz – Marynarze U.S. Navy pożarci przez rekiny

Arkadiusz Karbowski – Czeskie zbrodnie

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



ANNA POPEK Z D. CHRUIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Francuska tarta

Urodziłyśmy się w Bytomiu w domu o tradycjach kresowych. Dziadkowie, którzy zostawili majątek na kresach, wyjechali z małymi dziećmi na Śląsk i tu zaczęli nowe życie, wiedzieli, że nie ma nic bardziej wartościowego niż rodzina. Dodajmy – dobra rodzina. Aby taka właśnie była, trzeba ją stworzyć, budując dobre relacje i przekazując wartości. Dlatego u dziadków zawsze był ciepły obiad i bez zapowiedzi zawsze można było do nich przyjść. W naszej rodzinie potrafiliśmy cieszyć się życiem, a jedzenie i kultura stołu były jednym z najważniejszych jego elementów. Babcia Małgosia wspaniale gotowała. Robiła wyśmienite, 12-warstwowe torty, pischingery, nugaty, piekła drożdżowe bułeczki. Sałatka jarzynowa królowała wówczas na polskich stołach, więc i u nas była często. Pamiętam, jak dziadek Józek z dużą starannością kroił gotowane warzywa w drobną kostkę. Zawsze nam powtarzał, że sekretem dobrej sałatki jest cierpliwość.

Jedna z nas (Magdalena) jest stewardesą – przywozi ze świata pomysły na potrawy, ciekawe przepisy i przyprawy. Jest miłośniczką medycyny naturalnej i zdrowego odżywiania. To w połączeniu z jej dużą wiedzą dotyczącą wpływu żywienia na zdrowie sprawia, że jej kuchnia jest zdrowa, smaczna i bardzo różnorodna. Ma dużą rodzinę i przykłada wagę do tego, co podaje swoim bliskim.

Druga z nas (Anna) prowadzi inny tryb życia, nie wydaje aktualnie dużych przyjeżdż, ale ma kilka swoich popisowych dań. Pomimo wielu różnych mamy jeden wspólny mianownik: obie z siostrą uwielbiamy gotować. Kilka lat temu napisałyśmy razem książkę o gotowaniu i podróżach, którą zadedykowałyśmy

rodzicom, opisałyśmy tam nasze podróże i najciekawsze przepisy, które są dla nas ważne.

Są to przepisy rodzinne, a także przywiezione z różnych stron świata. Dzisiaj proponujemy tartę według naszego ulubionego przepisu, która jest bardzo krucha i delikatna. To francuska tarta ze szpinakiem i z fetą.

Ciasto kruche na spód:

- 100 g masła • 200 g mąki
- krupczatki • 1 żółtko • 1 łyżka
- lodowatej wody • szczypta soli

Ciasto zagniatamy, wyrabiamy na stolnicy (ostatnio odkryłam stolnice silikonowe – świetne!). Ciastem wylepiamy niską blaszkę, nakłuwamy widelcem – schładzamy w lodówce ok. 15 min.

Wypełnienie tarty:

Na masle podsmażamy pora z odrobiną soku z malin. Podsmażone pory układamy na ciasto, następną warstwą do surowy młody szpinak. Później na to układamy ser cordon bleu, na to pomidorki koktajlowe przekrojone na pół, kilka sztuk pomidorów suszonych. Znakomitą uzupełnieniem smaku będą skarmelizowane na miodzie orzechy włoskie lub orzechy nerkowca, które układamy na wierzchu. Całość zalewamy masą jajeczną.

Masa:

- 3 jajka • 100 ml
- kwaśnej śmietany • sól,
- pieprz, granulowany
- czosnek

Wszystko należy rozbijać różgą i zalać tartę. Pieczemy w 180 st. C od ok. 40 min do godziny, aż ciasto się zarumieni. ©©



ANNA POPEK,
MAGDALENA
M. KRUPA
„SIOSTRY GOTUJĄ”
MELANŻ 2013



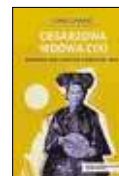
JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Co za luksus

Dziewięć nefrytowych inkrustowanych talizmanów, dziewięć posągów Buddy ze szczerzego złota, dziewięć złotych zegarów wysadzanych brylantami, dziewięć par złotych kubków »szczęścia« i »długowieczności«, dziewięć brylantowych kwiatów do wpinania we włosy, dziewięć bel gładkiego żółtego aksamitu, dziewięć bel kwiecistego żółtego brokatu, dziewięć złotych podstawek pod kadzidełka inkrustowanych siedmioma klejnotami, dziewięć złotych wazonów inkrustowanych siedmioma klejnotami... To lista prezentów urodzinowych dla cesarzowej Chin Cixi od jednego tylko dworzana (przytaczam za książką Jung Chang »Cesarzowa wdowa Cixi«). Może nie byłoby w tym niczego dziwnego, w końcu to cesarzowa, gdyby nie to, że urodziny przypadały na czas wojny z Japonią, w roku 1894. Wielkie mocarstwo chińskie, archaiczne, słabe i skorpumpowane, przerzuciło tę wojnę z małą, ale świetnie zorganizowaną i silną Japonią. Musiało zapłacić wielkie odszkodowanie i oddać kawał terytorium.

Luksus na chińskim dworze nie jest zaskakujący, nie wiem, jak to wygląda dziś. Sądząc po tym, że Chińczycy stanowią obiecujący target w sklepach Chanel, Gucci, Versace, ludzie w Państwie Środka wciąż o luksusie marzą. Nie tylko oni. Marzą o tym dzisiaj również dziewczyny na całym świecie, które oglądają nie cesarzy w palankinach, ale zdjęcia celebrytów na Instagramie. Co widzą? Prywatne



JUNG CHANG
„CESARZOWA
WDOWA CIXI.
KONKUBINA,
KTÓRA
STWORZYŁA
WSPÓŁCZESNE
CHINY”
ZNAK LITERANOVA
2021

odrzutowce, jachty, apartamenty w pięciogwiazdkowych hotelach po 5 tys. euro za noc, kolacje z kawiozem i szampanem. Każdy to może mieć, czyż nie?

Czym skutkuje parcie na luksus, widzieliśmy ostatnio w paru produkcjach Netflixa i HBO. Annie Sorokin, Rosjance z biednej rodziny, Nowy Jork uwierzył, że jest córką miliarda, bo tak mówiła, trzy sympatyczne dziewczyny z Tindera bez mrugnięcia okiem złapały się na lep kawioru i prywatnych (rzekomo) odrzutowców. Uwierzyły, że to się ma na wyciągnięcie ręki. Przecież na Insta wszyscy tak mają! Inny psychopata epatujący co prawda zaledwie audi i rolexem, nie maserati, zawiadnął oszołomioną tymi dobrami kobietą, odebrał ją rodzinie i całkowicie podporządkował.

Luksus, magiczne niegdyś słowo, dzisiaj jest pustym dźwiękiem, imitacją samego siebie. To plastikowa torebka z monogramem, dres z wielkim logo. Jednak najbardziej wymowna jest tekturowa dekoracja gdzieś w studiu na peryferiach, zaaranżowana tak, że na zdjęciach z powołaniem udaje kabinę prywatnego odrzutowca. Życzymy dobrego lotu! ©©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Cessak locuta

Niedawno Ministerstwo Zdrowia ustami prof. Adama Barczyka ogłosiło, że badania nad amantadyną wykazały, że nie ma ona wpływu na proces wyleczenia chorych na COVID. Należy przypomnieć, że mówimy tu o lekarstwie, które jest używane od ponad 30 lat, a które okazało się w praktyce, na przykład dr. Bodnara, skuteczne w leczeniu koronawirusa. Awantura wokół amantadyny trwa praktycznie od początku pandemii, dopiero teraz zaś ukończono „badania” nad tym, czy rzeczywiście działa. Zabrało to, jak widać, sporo czasu, bo ponad 22 miesiące, podczas gdy nieprzebadany do końca preparat, dopuszczony warunkowo, z badaniami do ukończenia najwcześniej za rok, czyli szczepionka covidowa, przeszedł przez system dopuszczeń jak burza.

Doktor Bodnar leczy amantadyną ludzi w stadium początkowym zakażenia, odnosząc dobre skutki. Wspomniane badania przeprowadzono na pacjentach szpitalnych, a więc w stadium zaawansowanym. Do tego sama próba (149 chorych) jest zbyt mała, by wyciągać statystycznie daleko idące wnioski. W dodatku badanym pacjentom podawano o połowę mniejszą dawkę amantadyny niż ta, którą zaleca dr Bodnar. Tak więc wygląda rzetelność tych badań.

Wsumie to i tak postęp. Do tej pory decydenci wręcz ostrzegali, że amantadyna szkodzi. Tak, lekarstwo

dopuszczone i stosowane od 30 lat. Zbadane w procesie, na który czekaliśmy prawie dwa lata. W międzyczasie pojawiło się lekarstwo, które zostało szybko do dopuszczenia w terapii covidowej mającej tę „przewagę”, że terapia nim kosztuje ok. 9 tys. zł, podczas gdy amantadyną ok. 20 zł. W dodatku, jak opublikowało prestiżowe pismo „The Lancet” już 29 kwietnia 2020 r., działanie dopuszczonego lekarstwa jest co najmniej obojętne na koronawirusa, Chiny zaś wstrzymały nawet testy.

Ale wyobraźmy sobie następującą sytuację: robione są badania amantadyny i okazuje się, że działa ona na koronawirusa i powstrzymuje chorobę. Co by się stało z władzami, które do tej pory wstrzymywały dostęp do tego lekarstwa, wykluczały je z rekomendacji, dr. Bodnara zaś ścigały za nieuprawnioną terapię? Kto by za to beknął i jaki to by był skandal?

Pan Cessak, odpowiedzialny za dopuszczenie lekarstw do obrotu, pisze na swoim twitterowym koncie: „Smutny dzień dla wszystkich entuzjastów stosowania amantadyny w leczeniu COVID-19. Roma locuta, causa finita”.

Wyczuwa się w tym wpiśnięcie ton satysfakcji, ale i ulgę. Człowiek odpowiedzialny za zdrowie publiczne cieszy się z tego, że lekarstwo dotąd używane przeciwko COVID nie działa. I to, jak pisze pewien tropiciel pandemicznych absurdów, „samo się komentuje”. ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Nic wam nie
zrobiją

Statystyki potwierdzają z jednej strony, że zjadliwość wirusa spada, a z drugiej, że szczepienia nie chronią przed zakażeniem, nie zatrzymują transmisji wirusa i nie zabezpieczają przed ciężkim przebiegiem choroby. Właśnie dlatego wiele państw wycofuje się z restrykcji, w tym z paszportów szczepionkowych, a sami producenci preparatów, informując o właściwościach zastrzyków, podają już krótszy okres ochrony. Tymczasem u nas, zupełnie irracjonalnie, wbrew tym faktom, władza wymusza na medykach, pracownikach ochrony zdrowia i studentach medycyny poddanie się szczepieniu.

O tym, że jest to gwałt i bezprawie, pisano już sporo. Od kilku dni dostępny jest poradnik opracowany przez Ordo Iuris, który omawia zagadnienia prawne związane z tzw. obowiązkiem szczepień. Polecam zainteresowanym (tekst dostępny jest na stronie Instytutu), natomiast sam zwrócę uwagę tylko na następującą kwestię.

Konstytucja nakłada wymóg, by wszelkie przepisy i regulacje, tym bardziej takie, które ingerują w naszą wolność, były proporcjonalne, przydatne, ustawowe i konieczne. Otóż w świetle aktualnej wiedzy medycznej, potwierdzonej zresztą przez producentów, obowiązek szczepień urągają zasadzie proporcjonalności, ponieważ wobec niedostępności rzetelnych danych dotyczących powikłań nie można określić proporcjonalności korzyści

i ryzyka. Obowiązek szczepień nie jest też przydatny, ponieważ zaszczepieni transmitują, a sam producent przyznaje, że zakres ochrony po przyjęciu preparatu nie jest znany. Ponadto rozporządzenie o obowiązku szczepień powołuje się na inne rozporządzenie, ogłoszenie stanu epidemii (20 marca 2020 r.), które wydano z naruszeniem zapisów Ustawy z dnia 5 grudnia 2008 r., zatem obowiązek szczepienia nie jest ustawowy. I w końcu zasada konieczności. Dopuszczenie szczepionek na europejski rynek przez EMA nastąpiło w trybie warunkowym, a warunkowe pozwolenie wydaje się m.in. w sytuacji „niezaspokojonej potrzeby leczniczej”, czyli wtedy, gdy nie istnieje zadowalająca metoda diagnozowania, zapobiegania czy leczenia danej choroby.

I tu mamy odpowiedź, dlaczego z taką zaciekleścią establishment medyczny tępi amantadynę, dlaczego po badaniu na 149 pacjentach z hukiem ogłoszono, że amantadyna nie leczy COVID-19. Doświadczenie miliona Polaków, którzy stosowali ten lek (ponad milion sprzedanych opakowań) i odczuli poprawę, dowodzi, że przesłanka „niezaspokojonej potrzeby leczniczej” jest nieprawdziwa, bo COVID da się leczyć. A więc, drodzy medycy, farmaceuci i studenci kierunków medycznych, nie bójcie się! Nic wam nie zrobią. Tym bardziej że władza sama przyznała, że obowiązek to nie przymus, bo... nie przewiduje żadnych sankcji. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Laimoslogia Duninowa

To się okazało, że to nieprawda! Ale na początku się upierali naukowcy i ubierali w pozy eksperckie, miny nadęte, badania należne, ho, ho, ho. A to nieprawda. Frenologia to była taka niby-nauka, że niby po kształcie czaszki, na którą napierał od wewnątrz rozum, można było wywnioskować charakter, talenty, inteligencję osobnika i co tam jeszcze. Ale dużo. Ale to nieprawda. Ale to się potem okazało

Teraz jest duninologia. Czas zweryfikuje, czy prawda. Na Twitterze była na ten temat gwałtowna dyskusja. Kinga Dunin, znana feministka, stwierdziła w recenzji pewnej książki o pewnym życiowym zafajdańcu, że Polacy mają wieprzowe karki i krzywe ryje. Ktoś oczywiście może powiedzieć, że to część zmurszałej już tzw. pedagogiki wstydu, że niby elity z komunizmem łączące najlepsze latowzorze Polskę muszą obrzydzać. Och, popatrzmy nieschematycznie. Czy pani Kinga nie odkryła przypadkiem laimoslogii? (frenologia wzięła się od greckiego „phren” – rozum, który czaszkę wypychał, laimoslogia – od greckiego „laimos” – kark). Być może po karkach jesteśmy w stanie poznać nie tylko nację? Prywatnie nie jestem optymistą, jeśli chodzi o rozwój tej dziedziny, ale nie przesadzajmy.

Niemniej odnotuję, że panią Kingę z powodu śmiałości i kreacji spotkało dużo przykrości. Przypominano jej na przykład zupełnie

bez sensu w tym kontekście całkowicie bez, że kiedyś pisarz Ignacy Karłowicz zarzucił pani Kindze, że molestowała go oraz zgwałciła. No ludzie! Po co to pisać? Po co to przypominać? Ja tego nie zrobię, bo to co najmniej nieeleganckie. Thitożerka się poza tym biesiła, że wcale nie ma wieprzowych karków i krzywych ryjów i wrzucali przedstawiciele narodu swoje zdjęcia na TT, niby żeby nie było wątpliwości. Moim zdaniem jednak nie wszystkie fotografie zaprzeczały tezie Duninowej (na przykład ja wrzuciłem swoje zdjęcie). No zobaczymy.

Zbliża się 1 marca. Będzie to dzień wiekopomny, w zasadzie już jest, patrząc na komentarze w mediach społecznościowych. Podobno pandemia mija, w związku z tym do 1 marca MUSZĄ się zaszczepić lekarze, pielęgniarki, farmaceuci i studenci medycyny. Niezłe, co? Najpiękniejsze w tym przymusie jest to, że oznacza on, że nie wszystkich lekarzy, pielęgniarki, farmaceutów i studentów medycyny udało się argumentami, po dobroci przekonać do szczepionki. Bo, że ciemny lud miał i ma czasem wątpliwości, to jeszcze można zrozumieć, ale to są najlepiej wykształceni i zorientowani w tych sprawach ludzie. I nie wszyscy chcą. Trudno wyobrazić sobie lepszą antyrekłame szczepionek na COVID. Zobaczmy, czy nie sparaliżuje to służby zdrowia. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Refleksje „zdziczałej prawicy”

Małgośka, mówią mi, to chyba frajda pisać felietony i znęcać się nad przeciwnikami ideowymi? Ja tylko piszę grzeczne wypracowania – odpowiadam – chociaż, owszem, obserwuję felietonistów, których obsesja na punkcie polskiej prawicy każe im publikować nadużycia stylistyczne i wieszczyc faszyzm bezobjawowy nawet u katolików. Niektórym felietonistom nawet tytuły profesorskie nie przeszkadzają w nienawistnym szale twórczym. Najbardziej boli mnie jednak inwolucja „Plusa Minusa”, który wciąż zmyślnie podszywa się pod magazyn dla konserwatystów i intelektualistów, a jednak w wielu wydaniach przemyca więcej ataków na prawicę niż komunistyczne hiszpańskie „El Diario”.

„Nasza coraz bardziej radykalizująca się i dzicząca prawica” – syczy jak zwykle we wstępniaku redaktor Szułdrzyński, a za nim monotonna melodię powtarzają inne Kataryny, bo przecież weekendowe wydanie byłoby wybrakowane bez finezyjnych, kąśliwych aluzji wobec konserwatystów. Co prawda, nie mam szczęścia znaleźć tekstu, w którym diagnozowaliby tak zajadle polską lewicę, ale pewnie dlatego, że u progresywiistów nie ma żadnego radykalizmu i tylko cud-miód transgresje, które wcale nie przypominają życia seksualnego dzikich.

Czytam osłupiała w ostatnim „Plusie Minusie” M. Łuczewskiego, który chce nas przekonać, że wśród jego studentów „im ktoś bardziej empatyczny, tym bardziej proaborcyjny” i „tak tłumaczyłby udział młodych ludzi w OSK i poparcie dla postulatów aborcyjnych”. I znów nie dowierzam, że wydałam 9,50 zł, aby poczytać takie piramidalne bzdury o zabijaniu własnych dzieci z czystej empatii. Nawet przyjmując założenie, że dr Łuczewski ma zaszczyt uczyć akurat tę lepszą młodzież niepocho-dzącą z domów „radykalnej, zdziczałej prawicy”, to i tak – mówiąc delikatnie – płacze się w zeznaniach.

Oczywiście, że najlepiej czytać „Do Rzeczy”, ale muszę czytać także tych, którzy zajmują się profesjonalną obróbką umysłów moich rodaków i z którymi radykalnie się nie zgadzam. Dziś, gdy biorę te gazety do ręki, mi dawniej przypomina mi się, jak w ciężkich czasach niedostatków tata kupował specjalnie „Sztandar Ludu”, żeby od razu ciąć go na pasma i przeznaczać do stosownego użytku przy sedesie (bo z trudem zdobyte rolki oszczędzało się dla gości). I wtedy, i dziś główne dzienniki zaczerniają drukiem ci z lewa. Prawy czukowiek zawsze przeszkadza. Wcale nie dlatego, że staliśmy się dzicy czy radykalni, ale właśnie dlatego, że bardziej od naszych wad nienawidzą naszych zalet. ©©

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Czynnik ludzki

Dawno, dawno temu, gdy w Ameryce była jeszcze myśl konserwatywna (nie mylić z neokonserwatyzmem w kolejnych odsłonach), Richard M. Weaver napisał w tytule swojej książki z 1948 r., że „idee mają konsekwencje”. Przekonująco to udowodnił, śledząc kulturowy kryzys świata zachodniego, zaczynając od XIV-wiecznego nominalizmu. W naszych czasach gołym okiem widać, jakie straszliwe spustoszenia sięja grasujące po tym świecie na zgubę dusz ludzkich idee, a właściwie ideologie, przebrane w szaty naukowości. Nie tylko zresztą o dusze chodzi. Z idei o spowodowanych przez człowieka zmianach

średniowieczu znaczne ocieplenie klimatu (latorośl uprawiano w Szkocji, a pszenicę w Norwegii) przyczyniło się do znacznego wzrostu produkcji rolnej, co w tamtych realiach oznaczało ożywienie całej gospodarki. Odwrotny skutek przyniosła „mała epoka lodowcowa” w XVII w. Było tak zimno, że zamarzał Bosfor, a na skutek lodem Tamizie stawiano karczmy.

Jednak i ludzie mają coś do powiedzenia. Chociażby obecni w PiS strzelcy wyborowi celnie mierzący we własne kolana. „Piątka dla zwierząt” i Polski Ład osiągnęły to, czego nie zdołała uzyskać propaganda Sorosów, Kramków, TVN-ów et consortes. A cóż dopiero powiedzieć o Instytucie Ordo Iuris, którego o wiele boleśniej niż ekspansja

zależy nie tylko ich własny los (ewangeliczna przestroga o kamieniu młyńskim jest ciągle aktualna), lecz także to, czy „zepsucie najlepszych” zgorszy miliony „maluczkich”.

Nawrócona amerykańska komunistka Bella Dodd opisuje w swojej książce, że za tym mechanizmem zgorszenia stał całkiem konkretny czynnik ludzki – infiltracja amerykańskich seminariów duchownych przez partię komunistyczną jeszcze przed drugą wojną światową. Wysyłano ludzi, którzy po to tylko przyjmowali święcenia, by potem kompromitować Kościół. Przesada? Teoria spiskowa? Łatwe wybielanie?

Czytając „Dzieła zebrane” bł. kard. Wyszyńskiego, natrafiłem na jego słowa wypowiedziane 4 lutego 1964 r. w Gnieźnie do młodych księży: „Na odcinku wychowania młodego pokolenia dąży się do tego, aby w każdym seminarium byli konfidenci. Otrzymują oni polecenie: musicie być najlepszymi, najpobożniejszymi alumnami, musicie najlepiej zdawać egzaminy, być wzorowymi pod każdym względem. Jeżeli by was rozszyfrowano, pójdziecie do paki, nawet wtedy, gdyby was wyrzucili z seminarium. Faktem jest, że pewne osiągnięcia mają, bo w niektórych seminarium zdołali uplasować takich właśnie ludzi, którym nikt nic zarzucić nie mógł, a jednak byli oni na usługach. To są ludzie bardzo nieszczęśliwi, jak się pokazuje z rozmów. Na przykład jeden taki alumn, usunięty z seminarium, prosił na wszystko: tylko nie zdradźcie mnie, że ja się wysypałem, bo pójde do więzienia”.

W świetle tych słów bł. prymasa jakże inaczej niż dotychczas można spojrzeć na dzieje Kościoła w Polsce i jego problemy. ©©

W naszych czasach gołym okiem widać, jakie straszliwe spustoszenia sięja grasujące po tym świecie na zgubę dusz ludzkich idee, a właściwie ideologie, przebrane w szaty naukowości

klimatycznych wyprowadzono wnioski, które kosztują setki miliardów euro i dolarów. Wywiedziony z tej idei podatek od powietrza (tzw. prawa do emisji CO₂) już teraz wszyscy boleśnie odczuwamy, płacąc rachunki za energię elektryczną. Takie są fatalne konsekwencje budżetowe błędnej idei o spowodowanych przez człowieka zmianach globalnego klimatu.

Idea jest błędna, bo – jak pokazują liczne źródła historyczne i archeologiczne – do znaczących zmian klimatycznych dochodziło w zamierzchłych wiekach, gdy nie było wielkiego przemysłu oraz dezodorantów (i kopalni w Turowie). We wczesnym

neomarksistowskiej ideologii w jurysprudencji dotknął ostatnio czynnik ludzki?

Niejednokrotnie na tych łamach poruszano (sam to czyniłem) kwestię wielorakiego kryzysu, w którym od kilkudziesięciu lat pogrąża się Kościół powszechny. Czynniki sprawcze dobrze znamy. Modernizm, synodalność, „rewolucja miłosierdzia”, herezja współczesności etc. Idee, które miały i ciągle przynoszą fatalne konsekwencje. Jak pokazuje jednak zjawisko „mafii lawendowej”, także w tym kryzysie kluczowy jest czynnik ludzki. Od tego, jak wypadnie walka duchowa w sumieniach konkretnych osób duchownych,

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA



FOT. W. CEJROWSKI / LUDZIA DAWA ŚWIAT

Patrzenie, coście nam zrobili, bandyci! – to hasło truckerów z Kanady. Takie samo można adresować do naszych bandytów w Polsce.

Ludzie są słusznie oburzeni po publikacji badań na temat skuteczności lockdownów. Badania przeprowadził Instytut Hopkinsa na dużej populacji w USA i Europie i wyszło, że lockdowny zmniejszyły liczbę zachorowań o 0,2 proc. (na początku jest ZERO, potem przecinek). To nawet nie jest granica błędu statystycznego, to jest NIC. Lockdowny nie uratowały życia nikomu, za to społeczne i gospodarcze koszty lockdownów są kolosalne i będą się za nami wlokły przez wiele lat. A do tego lockdown jako taki doprowadził do śmierci wielu osób – samobójstwa wśród młodzieży, narkotyki, wódka, upadłe biznesy, które się już nigdy nie podniosą, a teraz jeszcze wszyscy, jak leci, dostajemy po nerkach za pomocą inflacji, która jest bezpośrednim skutkiem lockdownu.

Przykład: od początku pandemii z Ogólnopolskiej Bazy Księgarń ubyło 401 sklepów, w tym 174 księgarnie sieciowe, czyli „mocne”, bo posiadające zaplecze w sieci, która jest w stanie (jakiś czas) utrzymać placówkę nierentowną, aby jakoś dotrwać do lepszych czasów. Są miasta, gdzie nie ma już żadnej księgarni.

Książki to branża specyficzna? Prawda. Tyle że samo zjawisko – czyli znikanie biznesów, sklepów, warsztatów – jest powszechne. Rozejrzyj się, kto zniknął w okolicy twojego domu.

W Polsce trwa kłótnia o Fundusz Odbudowy, a ja sta-

wiam pytanie ważniejsze: KTO NAS ZRUJNOWAŁ? Bo skoro potrzeba narodowego Funduszu Odbudowy, to znaczy, że wcześniej nastąpiła narodowa ruina. Kto nas doprowadził do ruiny? Obie strony (opozycja i rząd) były za lockdownem, który był sprzeczny z medycznymi zasadami postępowania w przypadku pandemii. Obie strony równo tępiły głosy sprzeciwu. Ktokolwiek był przeciwny lockdownom, dostawał po łapach. Czyli najpierw nas doprowadzili do ruiny, a teraz na nasz koszt będą pożyczali pieniądze (w Chinach!) na Fundusz Odbudowy.

Od początku pandemii z powodu COVID-19 zmarło w Polsce 108 tys. osób. Władza podaje tę liczbę jako oficjalną. Nie wiemy niestety – bo tego już bandyci nie podają – ilu osobom odmówiono pomocy lekarskiej z powodu „zarezerwowania” miejsc w szpitalu dla chorych na COVID i w związku z tym chorzy na inne choroby zmarli, a mogli być uratowani.

Trzymajmy się liczby oficjalnej 108 tys. Ta liczba powinna być powodem do zerwania stosunków z Chinami i wystąpienia o odszkodowanie za ludobójstwo. Bo nie byłoby tych zgonów, gdyby nie kłamstwa Chin na samym początku pandemii. Nie byłoby 108 tys. zmarłych Polaków, gdyby Chiny nie wysyłały do Europy setek samolotów pełnych ludzi w czasie, gdy samoloty z Wuhan nie miały już prawa lądowania nigdzie na terenie Chin. Czy pan Morawiecki ma zamiar podjąć jakieś działanie w TEJ sprawie?

Gdyby Putin za pomocą bomby lub zimowego ataku cybernetycznego na polskie

elektrownie zabił 100 tys. Polaków, to raczej byśmy zerwali stosunki z Moskwą, prawda? Czemu nie zrywamy stosunków z Chinami?

Pan jesteś radykał, panie WC! To, co pan wypisuje, jest nierealne i absurdalne.

Naprawdę? Po prostu mam wyobraźnię i wyobrażam sobie cmentarz, gdzie zakopano 108 tys. Polaków, (zbrodnia katyńska razy pięć...). Jeden grób to 2 mkw., potem przerwa metrowej szerokości, jak na zwyczajnym cmentarzu, i kolejny grób... Gdyby tych Polaków pochować wzdłuż autostrady A2 nogami do drogi, to groby ciągnęłyby się na odcinku 216 km z Warszawy przez Łódź, Kutno, aż do Konina. Gdyby tych Polaków pochować po obu stronach drogi, to w Zaduszki jechałbyś szpalerem zniszczyć z Warszawy do Łodzi. Czy polski rząd widzi ten obraz?

Czy widział go Duda, gdy wyłamał się z dyplomatycznego bojkotu i pojechał do Pekinu na otwarcie igrzysk? Siedział w gronie nieciekawych postaci – przedstawiciele rządów autorytarnych, dyktatorzy, którym nie przeszkadzała łamanie praw człowieka, ludobójstwo i obozy koncentracyjne w Chinach. Duda ustawił Polskę w gronie nieciekawych państw, a jednocześnie poza gronem naszych sojuszników. Chińskie MSZ opublikowało mapę świata, na której kraje reprezentowane zaznaczono na czerwono. Polska jest samotną czerwoną plamą na mapie Europy.

Wróćmy do naprawiania szkód po niepotrzebnym lockdownie. Fundusz Odbu-

dowy ma być receptą? Kolejna drukarka papierków bez pokrycia? A może by tak zacząć od roztropnego wydawania tych pieniędzy, które już mamy?

W związku ze wzrostem cen prądu w mediach, na billboardach oraz na rachunkach za energię elektryczną pojawiają się informacje, że 60 proc. ceny prądu to koszty uprawnień do emisji CO₂. Handel powietrzem odbywa się już od jakiegoś czasu, ale mało kto interesował się tym, dokąd trafiają pieniądze z opłaty klimatycznej. Zakładaliśmy ślepo, że gdzieś do Unii. Otóż nie. Cały ten haracz, który w ramach handlu powietrzem płacą polskie przedsiębiorstwa, trafia do budżetu RP. Ha! Czyli jednym sprawnym ruchem rząd mógłby z dnia na dzień obniżyć cenę prądu o 60 proc. Jak? No skoro 60 proc. ceny prądu to opłata klimatyczna, która trafia do polskiego rządu, to polski rząd mógłby albo tej opłaty nie zbierać, albo ją oddać i 60 proc. kosztu energii elektrycznej znikną.

Oni zaraz powiedzą, że to byłoby nielegalne, bo się Unia nie zgodzi.

Po pierwsze, ja bym Unii nie pytał, bo mamy w Polsce ogromny problem z drożyzną i w tej nadzwyczajnej sytuacji musimy się ratować WSZELKIMI sposobami. A po drugie... odrobina księgowości kreatywnej i Unia nie miałaby się czego czepiać, nawet gdyby bardzo chciała. Tylko najpierw Morawiecki musiałby chcieć ulżyć Polakom. Skoro tego nie robi, znaczy, że nie chce lub nie umie – w obu przypadkach powinien wylecieć z roboty, bo wart jest tyle co kanadyjski Trudeau.

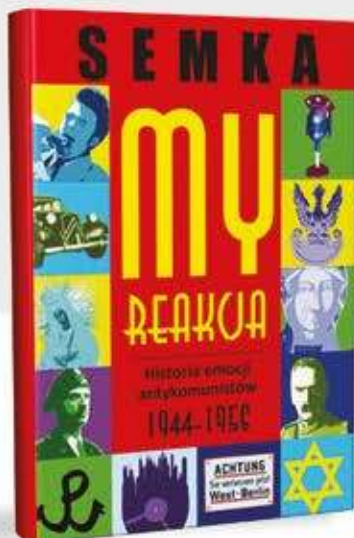
Panie, ale kim go zastąpić? Hm. Tu rzeczywiście widzę spory kłopot. Na dzisiejsze czasy Polsce potrzebny jest przedsiębiorca, a nie polityk i bankster. Jedną z jego cech powinno być to, że nigdy nie był w Davos i nigdy się tam nie wybierze. ©©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

**TYGODNIKA „DO RZECZY”
I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”**



~~1093~~ zł

**W PREZENCIE
KSIĄŻKA**

PIOTR SEMKA
„MY REAKCJA. HISTORIA EMOCJI
ANTYKOMUNISTÓW 1944 - 1956”
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

367,00 zł
OSZCZĘDNOŚĆ 726 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 2422101140

SUŁEK RAZEW #TEAMPOLSKA PEKIN 2022

KAROLINA BOSIEK - ŁYŻWIARSTWO SZYBKIE

SPONSORZY I PARTNERZY PKOl I POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ



Sponsor Strategiczny



Sponsor Główny



Sponsor Wydarzenia (Uroczystości)



Sponsor Wydarzenia (Medycyna)



Oficjalny Transport



Oficjalny Partner Medialny



Oficjalny Partner Sportowy



Partner Młodzieżowy



Partner



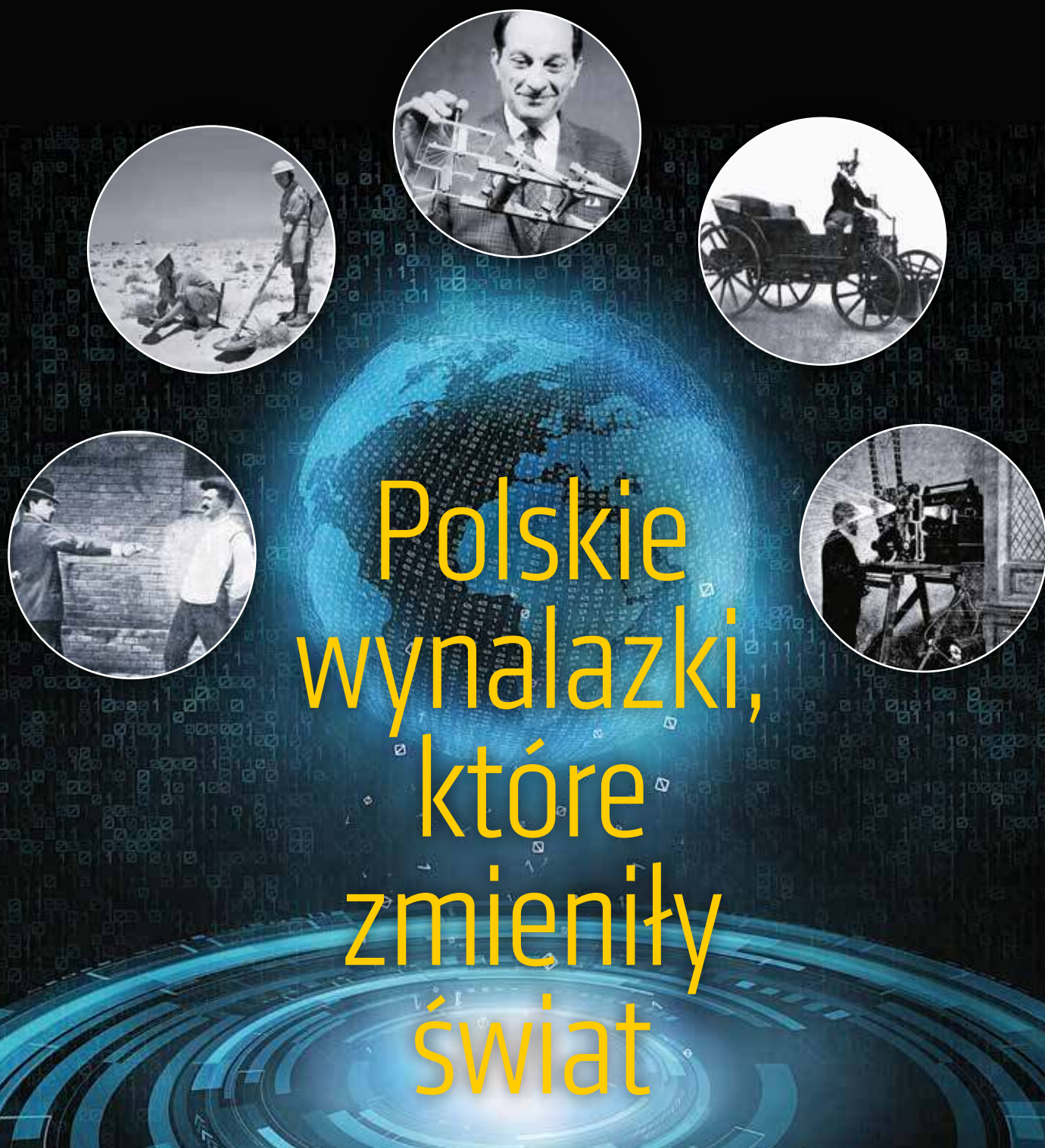
Partner



Partner



Sponsor Wydarzenia (Rekreacja)



PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA EDUKACJI I NAUKI W RAMACH PROGRAMU „SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKI”



Ministerstwo
Edukacji i Nauki

eprasa.pl 2422101140

RADOSŁAW WOJTAS: Księżę profesorze, nie pytam, czy Polacy mieli swój wkład w to, jak nauka zmieniła nasz świat, bo to jest oczywiste. Spytałbym raczej o to, jak duży jest to wkład. I jaka jest zdaniem księdza profesora podstawowa rola nauki w dzisiejszym świecie.

KS. PROF. STANISŁAW DZIEKOŃSKI: Nauka zawsze służyła i służy ludzkości, dlatego chciałbym podkreślić jej wyjątkowość i zasadnicze znaczenie dla rozwoju człowieka i społeczeństwa, jak również dla innowacyjnych rozwiązań w gospodarce. Jej podstawowym zadaniem jest pomoc w takim przekształcaniu świata, aby prawda, dobro i piękno ukazały się w pełnym blasku. Jedynie osoby reprezentujące naukę w sposób absolutnie wyjątkowy i bardzo skuteczny reagują na wyzwania teraźniejszości i przyszłości pojawiające się przed każdym z nas. Tę właściwość dostrzegamy także w postawie i dziełach naukowców, których korzenie związane są z Polską. Część z nich dokonywała nowatorskich odkryć na terenie Polski. Inni – licznie nawet większość – byli zmuszeni wyjechać za granicę, by prowadzić badania naukowe, w wielu przypadkach o wartości na skalę światową. Tym, co istotne, jest to, że niezależnie od miejsca pobytu czuli się Polakami. Wśród wybitnych naukowców legitymujących się polskimi korzeniami są tacy, którzy swoją tęsknotę za Polską wypowiadali w najbardziej skrytych wyznurzeniach. Z tego też względu, mówiąc o polskich naukowcach czy też o wkładzie Polski w rozwój światowej nauki, nie sposób o nich zapomnieć. Mówiąc zatem o wkładzie Polaków w naukę, która zmieniła bieg świata, muszę przywołać zarówno tych, którzy rozwijali naukę na terenie Polski, jak i osoby pozostające poza granicami naszego kraju.

Taka interpretacja jest bardziej zrozumiała w kontekście historii Polski, która wyraźnie pokazuje, ile wybitnych postaci zostało skazanych na banicję bądź znalazło się w obszarze zajęтым i administrowanym przez najeźdźcę.

O naszych bohaterach nie możemy zapomnieć. Odkrycie na nowo ich geniuszu jest jednym z ważnych elementów promocji nie tylko Polski jako państwa, lecz także Polaków jako narodu. Historia odkrywa przed nami czas, kiedy kategoria państwowości, w odniesieniu do Polski, była pomijana, ale właśnie wtedy budziła się świadomość odkrywająca wartość i wielkość Polaków, narodu o pięknej przeszłości, mającego równocześnie misję

Nie możemy zapomnieć o naszych bohaterach

Z ks. prof. Stanisławem Dziekońskim, prezesem Warsaw New Tech University Foundation, byłym rektorem Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie rozmawia Radosław Wojtas



FOT. PIOTR WOJNANIEWICZ

do spełnienia wobec innych. W przestrzeni nowych wyzwań dla ludzkości i odkryć znaleźli się Polacy, także ci skazani na tułaczkę, którzy jednak umieli perfekcyjnie zaangażować swój talent i innowacyjne myślenie w tworzenie nowej wartości, mającej swój konkretny wyraz w wynalazkach. Wydaje się zatem, że mówiąc o polskiej nauce i wybitnych jej reprezentantach, trzeba spojrzeć szerzej, włączając tych, którzy czuli się Polakami, niezależnie od granic państwa polskiego wyznaczonych w danym czasie. Uwypuklenie tych postaci jest ważne w kontekście deprecjacji autorytetów, która w jakiejś mierze obniża wartość nie tylko naukowców, lecz także samej nauki. Przykładem tego jest reakcja społeczeństwa na głos ekspertów w sprawie szczepień przeciwko COVID-19. Nauka i ludzie z nią związani wymagają dzisiaj odpowiedniej promocji. Coraz węższa grupa społeczna zdaje sobie sprawę, że każdego dnia korzystamy z gotowych rozwiązań, które traktujemy jako oczywiste. Każde z tych rozwiązań ma swoją historię, w którą włączony jest umysł naukowca – odkrywcy. Zbyt rzadko zastanawiamy się nad tym, że przecież wypracowanie nawet tych z pozoru prostych wynalazków wymagało innowacyjnego myślenia i pracy wielu osób, czasem całych zespołów naukowców i badawczy. Myślę, że rzeczą absolutnie podstawową jest dziś podkreślanie roli nauki. Jest to niezwykle istotne zwłaszcza w obliczu kryzysu autorytetów, nie tylko w nauce, lecz także w ogóle, w wielu przestrzeniach współczesnego świata. Prześledziłem obszary, w których Polacy zaistnieli, pracując w Polsce i poza jej granicami. To, co zwraca uwagę, to różnorodność tych obszarów. Polscy naukowcy są wybitni zarówno tam, gdzie jest bardzo zaawansowana technologia, w tym technologia cyfrowa, jak i w przestrzeni humanistyki.

Jaki jest zatem potencjał umysłowy, innowacyjny, naukowy Polaków?

Potencjał ten jest bardzo duży. Przyglądając się życiorysom polskich naukowców, w wielu przypadkach dostrzegamy fascynującą cechę – ich niezwykłą wszechstronność, niebывały talent, który objawiał się w wielu dziedzinach życia i obszarach nauki. W niektórych przypadkach wielkie osiągnięcia przychodzą niejako przy okazji. Spójrzmy chociażby na Ignacego Łukasiewicza, pioniera przemysłu naftowego w Europie. Zaczynał jako farmaceuta. Zapisał się na

kartach historii głównie jako wynalazca lampy naftowej, ale podstawą do dokonania tego odkrycia było uzyskanie nafty, czyli produktu, który powstał w wyniku oczyszczania ropy naftowej.

Możemy zatem sobie wyobrazić, że Łukasiewicz podejmując prace badawcze, nie myślał wprost o tym, że zostanie pionierem przemysłu naftowego. Na tym przykładzie widzimy bardzo wyraźnie, że na drodze do wielkich odkryć pierwsze kroki wydają się nieduże, ale finalnie przynieść mogą znaczące efekty, zmienić świat.

A więc jest w nauce dość duża doza przypadku? Choć nie wiem, czy jest to najodpowiedniejsze słowo, bo podstawą są oczywiście potencjał, talent i praca, o której wspominał ksiądz profesor. Ale szczęście w życiu naukowca też jest ważne.

Kiedy analizujemy życiorysy wybitnych naukowców, w sposób naturalny rodzi się myśl o przypadku albo łucie szczęścia, który pojawił się w pewnych momentach ich karier naukowych czy zawodowych. Ludzie wiary powiedzą o zrządzeniu Opatrzności. Nie ulega jednak wątpliwości, że w przypadku wielu polskich naukowców sytuacje życiowe zmuszały ich do emigracji za chlebem. Znajdowali się zatem w bardzo trudnym położeniu. Musieli opuścić bliskich, współpracowników, miejsca zamieszkania. Często jednak bardzo trudna sytuacja życiowa okazywała się finalnie wręcz opatrnościową do wykorzystania talentu i wzmocnienia determinacji w realizacji zadań ważnych naukowo.

Zwłaszcza że, jak wspominał ksiądz profesor, akurat w kraju o tak burzliwej historii naukowcy dość często musieli szukać możliwości prowadzenia swoich badań za granicą. Mierzyli się z trudnościami, których w wielu innych państwach ich koledzy nigdy nie mieli.

To prawda. Polacy na wielu polach mieli trudniej. Rodzą się jednak ważne pytania: Czy niesprzyjające okoliczności, przynajmniej w niektórych przypadkach, nie stały się główną determinantą prac badawczych, prowadzących do ważnych naukowych odkryć? Czy łatwiejsze życie byłoby wystarczające do odnalezienia w sobie takiego poziomu determinacji, chęci do pracy i zaangażowania, które doprowadziły w konsekwencji do wielkiego sukcesu? Te pytania pozostaną otwarte. Nigdy nie dowiemy się, czy warsztat, który mieli do dyspozycji nasi naukowcy w swoim kraju, byłby wystarczający, aby osiągnąć cele, za które dziś ludzie tych podziwiamy.

Czasem jest to powodem pewnych sporów i dociekań – czy ten lub inny badacz był polskim naukowcem. Są przecież wielkie nazwiska, do których przynajmniej się kilka państw, są tacy, których aktywność przypadła na czas, gdy Polski nie było formalnie na mapie, ale oni czuli się i byli Polakami. Są tacy, którzy kariery musieli podejmować poza granicami – istniejącymi za ich życia bądź nie – Polaki.

W bardzo kolokwialnym ujęciu można powiedzieć, że sukces ma wielu ojców. Dla mnie sprawą istotną jest to, kim wewnętrznie czuli się naukowcy, o których tyłu zabiega. Absolutnie zdaję sobie sprawę, że problem „zawłaszczania” naukowców jest bardzo istotny i odnosi się zarówno do historii, jak i do współczesności. Najlepszym przykładem jest polska dwukrotna noblistka Maria Skłodowska-Curie, która nie osiągnęłaby takich sukcesów, gdyby nie udała się na emigrację.

Dla wielu Francuzów jest chemiką francuską. Podobnie do dziś wielu uważa, że złamanie kodu Enigmy, który w jakimś stopniu zmienił bieg drugiej wojny światowej, jest zasługą Brytyjczyków, zapominając, że to polscy matematycy i kryptografowie – Marian Rajewski, Henryk Zygałski, Jerzy Różycki – prowadzili prace nad dekrzyptażem niemieckiej korespondencji, we Francji, a potem w Wielkiej Brytanii. Warto także pamiętać, że wielu naukowców, tworząc za granicą, zmieniało nazwiska. Maksymilian Faktorowicz dzisiaj nawet w Polsce rzadko kojarzony jest ze słynnym Maxem Factorem, wybitnym wynalazcą i naukowcem branży kosmetycznej. Uważa się go za Amerykanina.

Dzisiaj też mamy wielu wspaniałych ludzi nauki, zwłaszcza młodych, którzy pracują dla różnych firm i korporacji. Ja ich nazywam bezimiennymi odkrywcami. Mimo że ci ludzie przyczyniają się do postępu, zwłaszcza w obszarze technologii, nie wiemy o nich zbyt wiele, ponieważ pracują dla firm, które zastrzegają sobie prawa autorskie i odkrywca sprzedaje swój wynalazek danej firmie, sam pozostając prawie anonimowym twórcą. To oczywiście całkiem odmienne przykłady, ale ich mechanizm jest podobny. Tymczasem jeśli mamy dawać rozpoznawalność polskim wynalazkom, a przede wszystkim ich twórcom, to czymś niezbędnym jest przypisanie osiągnięcia tym, którzy najpierw mają innowacyjne myślenie, a następnie bardzo konsekwentnie je realizują i wdrażają. Z etycznego punktu widzenia czymś naturalnym jest przypisanie wynalazku

■ jego autorowi. Oczywiście jest miejsce na to, by zauważyć firmy, zespoły, ale nie może się to odbywać kosztem osoby, dzięki której zaistniała nowa wartość.

Rozmawiając o osiągnięciach Polaków, nie możemy ograniczać się wyłącznie do terenu państwa, ale traktować to szerzej, w kategoriach narodu, tak jak proponował to kard. Stefan Wyszyński, gdy nasza państwowość była zagrożona. Analizując życiorysy wielu uczonych mających korzenie w narodzie Polskim, bez wątpienia możemy powiedzieć, że jesteśmy narodem zdolnym, o innowacyjnym myśleniu, choć rozproszonym po świecie. Ale właśnie ten kontekst jest ważny, by podkreślić osiągnięcia uczonych, których spajają urodzenie w Polsce, myślenie o Polsce, miłość do Polski i tęsknota, by do niej powrócić.

Czy nie uważa książd profesor, że mamy duże zalety do nadrobienia, jeśli chodzi o promowanie polskiej nauki? Że wciąż wiele dokonań naukowych Polaków pozostaje nieznanymi także w naszym kraju, nie mówiąc już o promocji na świecie? I chodzi tu zarówno o historyczne dokonania, jak i promocję współczesnych osiągnięć.

Zgadzam się z tym, że jeśli chodzi o promocję nauki polskiej czy też nauki uprawianej przez Polaków w świecie, to mamy jeszcze wiele do zrobienia. Uczestniczyłem w wielu dyskusjach albo obserwowałem dyskusje na temat możliwości i potencjału naukowego, jaki ma Polska. W rozmowach tych dużo jest utyskiwania głównie na to, że za wolno się rozwijamy, bo zbyt mało łożymy pieniędzy na rozwój nauki. Przywołuje się nakłady innych krajów na naukę, porównując je z nakładami na naukę polską. Wybrzmiewają nawet głosy, że pieniądze mogą zrobić wszystko. Jeżeli pieniądze będzie więcej, to na pewno będzie więcej wynalazków, którymi moglibyśmy się chwalić w świecie.

Niewątpliwie, żeby zbudować i rozwijać warsztat badawczy, konieczne jest zaplecze ekonomiczne. Natomiast wydaje mi się, że dużo mówimy o finansach, a za mało o tym, że musimy stworzyć odpowiednie warunki badań oraz wsparcia i współpracy z rynkiem, gospodarką czy w ogóle z biznesem, który mógłby zainwestować w naukowców o nieprzeciętnych umysłach, pionierów pokazujących innowacyjne rozwiązania. Jest to ważne między innymi po to, aby utwierdzać młodych ludzi w przekonaniu, że ich badania mają sens dla kraju i świata.

Warto podkreślać, że polscy naukowcy, niezależnie od miejsca wykonywania swojej pracy, mogą przyczyniać się do promocji Polski

Potrzebujemy spójnej strategii promocji polskiej nauki?

Wydaje mi się, że jednym z bardziej znaczących i palących dziś problemów jest potrzeba przemyślenia i opracowania strategii promocji Polaków, jeśli chodzi o ich potencjał naukowy – zarówno w odniesieniu do promocji historycznych osiągnięć, jak i promocji współczesnych dokonań. Potrzebujemy trochę innego spojrzenia na promocję, w tym większego zauważania naukowców, którzy realizowali się gdzieś w świecie, ale czuli się Polakami bądź są Polakami promującymi polskość na obczyźnie. W tym kontekście warto podkreślać, że naukowcy ci, niezależnie od miejsca wykonywania swojej pracy, mogą przyczyniać się do promocji Polski. Także dziś wielu naszych rodaków pracuje w bardzo rozpoznawalnych naukowo ośrodkach światowych. Warto to podkreślać, włączając ich do współpracy z polskimi ośrodkami i krajowymi firmami.

Tym bardziej że granice państw stają się w nauce mocno umowne.

Dzięki osiągnięciom naukowym świat stał się globalną wioską. Bez trudności możemy współpracować z partnerami, którzy są na innym kontynencie. Technologie cyfrowe pozwalają nam nie tylko skomunikować się bardzo szybko, w celu wymiany informacji, lecz także wręcz prowadzić wspólne badania, opracowywać nowe technologie, mimo że przebywamy w odległych od siebie miejscach. Specyfika tej współpracy – budowanie sieci i relacji między instytucjami, łączenie potencjałów naukowych – może wpłynąć pozytywnie na wytworzenie nowej jakości nauki.

To oczywiście, że promocja nauki może przynieść korzyści i samej nauce, i Polsce. Pytanie jednak: Kto dziś powinien wziąć na siebie największy ciężar tego zadania? Państwo polskie? Jego instytucje? Sam świat nauki? I jak powinna ona wyglądać?

Promocja powinna się dokonywać na wielu obszarach. Moim zdaniem idea promowania nauki polskiej czy naukowców polskich niezależnie od tego, gdzie realizu-

ją swoje dzieła, idea promowania Polaków wpisuje się w miłość do ojczyzny, w tworzenie historii państwa polskiego, w tworzenie historii narodu polskiego. Można zatem powiedzieć, że jest to obowiązek, który dotyczy nas wszystkich. Na pewno promocja polskiej nauki, polskich naukowców może, a nawet powinna znaleźć swoje miejsce już na poziomie szkoły podstawowej, zapoznawania dzieci z wielkimi postaciami i zaszczepiania w dzieciach chęci odkrywania w sobie potencjału, który jest ważny dla rozwoju człowieka i ludzkości.

Dla promocji nauki polskiej duże znaczenie może mieć wykorzystanie przestrzeni informacyjnej tworzonej przez media, także przez media społecznościowe, zwłaszcza w sytuacji, gdy są one łatwym i szybkim sposobem kojarzenia ludzi i idei całego świata.

Dla promocji nauki ważna jest ścisła współpraca z gospodarką. Niestety część osiągnięć naukowców pozostanie na półkach pracowni i nie doczeka się wdrożenia. Ma to swoje różne przyczyny. W skrajnym przypadku niektórzy naukowcy nie są zainteresowani wdrożeniami, pozostawiając to firmom, które po kalkulacji nie do końca widzą opłacalność danego wdrożenia. Wobec tego sądzę, że warto poszukać modelu, który z jednej strony firmie dawałby większą opłacalność we wdrożeniu wynalazków, a z drugiej strony istniałaby zachęta czy większa motywacja do tego, żeby naukowiec nie odstawał na półkę wyników swoich badań, ale je wdrażał.

Zachęta, motywacja, baza laboratoryjna...

Na pewno stworzenie określonego systemu motywacyjnego, zachęcającego do lepszej pracy jest bardzo istotne. Mogę się tu odnieść do swojej praktyki jako rektora. Na początku pierwszej kadencji w roku 2012 zapadła decyzja o całkowitej restrukturyzacji Uniwersytetu im. Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Przekształcenie miało na celu między innymi wzmocnienie wymiany międzynarodowej, ale od początku jednym z filarów reformy było zbudowanie przestrzeni do prowadzenia badań naukowych. Została powołana specjalna jednostka zatrudniająca kilkadziesiąt osób. Jednym ze spoczywających na nich zadań była pomoc naukowcom w wyszukiwaniu i obsłudze projektów. Niemniej ważne było tworzenie grup do prowadzenia badań o charakterze interdyscyplinarnym i sieci powiązań z instytucjami i naukowcami pracującymi w Polsce i poza granicami naszego kraju. Od podstaw została stworzona

baza do prowadzenia badań obejmująca prawie 50 bardzo nowoczesnych wyposażonych laboratoriów z myślą głównie o naukach przyrodniczych i społecznych. Praca skoncentrowana na grantach naukowych, w którą włączyli się zwłaszcza młodzi naukowcy, pozwoliła najpierw zbudować Centrum Informatyczne dla Nauk Humanistycznych i Społecznych, a docelowo Cyfrowe Centrum Nowych Technologii, zlokalizowane w Nowym Kampusie w Dziekanowie Leśnym. Naukowcy tam zatrudnieni zajmują się obliczeniami na dużych danych i zastosowaniem sztucznej inteligencji. Z jednej strony, stworzenie określonej bazy laboratoryjnej, z drugiej zaś – wprowadzenie systemu motywacyjnego, który wzmacniałby w naukowcach poczucie sensu wykonywanej pracy, to elementy znacząco wpływające na rozwój

Jednym z poważnych wyzwań współczesności jest uczynienie świata bardziej ludzkim, a w konsekwencji właściwa ocena osiągnięć technologicznych, odniesiona do nadrzędnej wartości, jaką jest człowiek

nauki. Warto podkreślić, że większość grantów finansowanych ze źródeł dedykowanych nauce była zdobywana przez młodych naukowców. Jednym z osiągnięć jest stworzenie stopu renu i tytanu w ramach współpracy i realizacji agendy badawczej z jedną z największych w Polsce spółek. Ten przykład pokazuje nie tylko to, jak wielki potencjał naukowy drzemie w polskich naukowcach, lecz także jak ważne jest dla rozwoju polskiej nauki budowanie sieci między uczelniami i gospodarką.

Jak ważna jest zatem interdyscyplinarność?

Wydaje się, że interdyscyplinarność to podstawa dzisiejszej nauki. Najlepszym przykładem jest medycyna, która nie tylko angażuje wielu naukowców z nauk podstawowych dla tej dziedziny, jak biologia czy chemia, lecz także badaczy zajmujących się naukami technicznymi. Współczesna medycyna w dużym stopniu oparta jest na funkcjonowaniu algorytmów matematycznych, wiele narzędzi

opartych jest na elektronice, sztucznej inteligencji, robotyce. Popularne jest już wykorzystywanie w naukach medycznych zaawansowanych technologicznie robotów, które nie zastępują oczywiście człowieka, ale bardzo przyczyniają się np. do podnoszenia jakości świadczeń. Przykładem może być zastosowanie robotów przy operacjach chirurgicznych.

Ta interdyscyplinarność jest bardzo istotna, ale wykorzystując nowe technologie, sztuczną inteligencję i inne osiągnięcia dzisiejszej nauki, musimy pamiętać o tym, żeby z centrum uwagi nie usunąć człowieka i myślenia o jego godności.

Dotyka książkę profesor bardzo ważnej kwestii, bo skoro to naukowcy w dużej mierze nadają kierunek naszej cywilizacji, to nie można nie postawić pytania o etykę w nauce. Skoro nauka zmienia nasz świat, to etyka powinna być czymś, co jest podstawą w takich działaniach.

Nauka powinna być zawsze na usługach człowieka, z respektowaniem wartości etycznych. Świadomość ta nabiera znaczenia zwłaszcza w kontekście przybierających na sile procesów dehumanizacji czy wręcz naruszania praw wpisanych w godność człowieka. Nie bez znaczenia dla jakości życia jest fakt, że dociera do nas coraz więcej informacji budzących strach i odbierających nadzieję. Podejmowane są próby niszczenia aksjologii, ważnej dla życia człowieka i jego samookreślenia. W wielu przypadkach dotkliwie odczuwa się brak informacji pokazujących, jak jesteśmy wartościowi, wspaniali, wzajemnie sobie potrzebni i ubogacający się tym, kim jesteśmy. Etyka jest istotna w każdym obszarze życia, także w uprawianiu nauki. Stąd też rodzi się potrzeba, aby programy studiów typowo technicznych czy inżynierskich wzbogacać treściami o charakterze humanistycznym, co pozwoli lepiej zrozumieć nie tylko wartość człowieka i jego rolę w świecie, lecz także głębiej odkryć etos pracy – jej sensotwórczy i wspólnotowy charakter. W obliczu ważnych współcześnie odkryć warto zwrócić uwagę, że nauka niewątpliwie przyczynia

się do zmian w świecie, ale nie może godzić w człowieka, w jego integralny rozwój dokonujący się między innymi poprzez tworzenie wspólnoty z innymi, której nie można w pełni odczuć, pozostając jedynie w przestrzeni cyfrowej. Doświadczaliśmy boleśnie tej prawdy zwłaszcza na początku pandemii, w czasie dużych obostrzeń, kiedy wielu z nas w samotności i odosobnieniu czekało na możliwość rzeczywistego spotkania z najbliższymi.

Prawda o człowieku w cyfrowym świecie.

Internet otworzył przed nami możliwość komunikacji, w której występuje nie tylko dźwięk, lecz także obraz. Możemy zobaczyć, czy ktoś się do nas uśmiecha czy pojawia się na jego twarzy grymas niezadowolenia, a może jest smutny. Wydawać by się mogło, że technologia zbliżyła ludzi do siebie, ale przybierające na sile takie zjawiska społeczne, jak: depresja, utrata sensu życia, rozpac, próby okaleczenia się, odkrywają, że ludzie oddalają się od siebie, tracą do siebie zaufanie, nie mają w życiu oparcia w kontaktach z innymi. Jednym z poważnych wyzwań współczesności jest uczynienie świata bardziej ludzkim, a w konsekwencji właściwa ocena osiągnięć technologicznych, odniesiona do nadrzędnej wartości, jaką jest człowiek. Nie można zgubić prawdy o tym, że to dobro, które jest tworzone poprzez wynalazki, ma uczynić życie człowieka bardziej wartościowym i spełnionym. Stąd też istotną kwestią jest podejmowanie działań pozwalających lepiej zrozumieć człowieka w świecie nowych technologii. Na ile pozostaje on wolny w swoich wyborach, planowaniu przyszłości, odkrywaniu drogi swego życia zarówno w wymiarze osobistym, jak i zawodowym? Niewątpliwie zmiany cywilizacyjne, które dokonują się na naszych oczach, wymagają między innymi wypracowania nowych paradygmatów edukacyjnych. Z myślą o tym powstała Warsaw New Tech University Foundation, odważnie wkraczająca w świat nowych technologii, ale z myślą o człowieku i jego niepowtarzalnej i priorytetowej roli w świecie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

ks. prof. dr hab. Stanisław Dziekoński – prezes fundacji Warsaw New Tech University Foundation, profesor nauk społecznych, byłby rektor dwóch kadencji (2012–2020) UKSW, doktor honoris causa Wschodnioeuropejskiego Uniwersytetu Narodowego w Lucku, kierownik Katedry Pedagogiki Ogólnej i Dydaktyki Wydziału Nauk Pedagogicznych UKSW, autor ponad 200 publikacji naukowych, kierownik i uczestnik kilkudziesięciu projektów badawczych z zakresu humanistyki, technologii cyfrowych i medycyny. Uczestnik licznych konferencji międzynarodowych. Współpracownik wielu podmiotów i organizacji naukowych na świecie. Od lat powoływany do wielu rad naukowych, instytutów badawczych i komitetów naukowych. Wielokrotnie wyróżniany i nagradzany za wybitne osiągnięcia naukowe, badawcze i organizacyjne nagrodami państwowymi i sektora niepublicznego.

W 1895 r. bracia Lumière, powszechnie uznawani za pionierów kinematografii, opatentowali kinematograf – urządzenie lżejsze i oferujące ostrzejszy obraz od kinetoskopu Thomasa Alvy Edisona. Twórców francuskiego filmu wyprzedził jednak Polak: Kazimierz Prószyński na swój pleograf patent uzyskał bowiem już w roku 1894. Miał wówczas zaledwie 19 lat i w Belgii uczył się na studiach inżynierskich. Słynni francuscy konstruktorzy nie odmawiali mu pierwszeństwa.

„Panowie, stoi przed wami pierwszy człowiek w kinematografii, ja jestem dopiero drugi” – miał na posiedzeniu Francuskiej Akademii Nauk powiedzieć Ludwik Lumière, wskazując na polskiego konstruktora. August Lumiere publicznie wspominał zaś: „Byłem wraz z bratem twórcą filmu francuskiego, ale istniał również pewien Polak, niejaki Kazimierz Prószyński, który nas znacznie wyprzedził”.

OD PLEOGRAFU DO AEROSKOPU

Jeszcze wcześniej, bo zaledwie jako 13-latek, urodzony w rodzinie o silnych tradycjach patriotycznych Prószyński urządzał przedstawienia przy użyciu luster i przymionych lamp.

W 1894 r. stworzył pleograf, a więc urządzenie służące zarówno do rejestracji materiału filmowego na błonie fotograficznej, jak i do jego późniejszej projekcji. Urządzenie na taśmie o długości ok. 100–150 m wykonywało aż 3 tys. zdjęć na minutę (czyli ok. 50 na sekundę).

Cztery lata później Kazimierz Prószyński zaprezentował światu ulepszoną wersję swego wynalazku, czyli biopleograf. Dzięki zastosowaniu dwóch taśm filmowych i dwóch obiektywów rzucających na przemian obrazy na ekran konstruktorowi udało się znacząco ograniczyć drgania obrazu podczas projekcji. Źródłem światła była lampa łukowa.

To właśnie na biopleografie genialny inżynier kładł podwaliny pod powstanie polskiej kinematografii, tworząc krótkometrażowe filmy z życia polskiej stolicy, takie jak słynna „Ślizgawka w Łazienkach”, „Powrót birbanta” czy „Ulica Franciszkańska”, których był reżyserem i scenarzystą. Prószyński był także współtwórcą Towarzystwa Udziałowego „Pleograf”, uważanego za pierwszą polską wytwórnię filmową.

Polak, który stworzył film i telewizję

FOT. DOMENĄ PUBLICZNĄ

Wojciech Simon

Kazimierz Prószyński, nazywany Kolumbem kinematografii, polskim Edisonem oraz galicyjskim Leonardem da Vinci, był pionierem polskiego i światowego kina. Inżynier mechanik, reżyser i operator filmowy konstruował jedne z pierwszych aparatów kinematograficznych. Jako pierwszy na świecie opatentował też ręczną kamerę o napędzie automatycznym, która umożliwiła narodziny reportażu filmowego

Inżynier mechanik – dyplom Uniwersytetu w Liège uzyskał w roku 1908 – nie przestawał poszukiwać nowych rozwiązań. Skonstruował m.in. obturator, czyli przesłone projektora filmowego usuwającą wadę migotania obrazów na ekranie podczas projekcji. Wynalazek błyskawicznie przyjął się na szybko kwitującym rynku kinematograficznym we Francji, a na masową skalę zastosował go w pro-

dukowanych przez siebie projektorach francuski koncern Léon Gaumont.

10 kwietnia 1909 r. polski inżynier uzyskał we Francji patent na aeroskop, a rok później podobne patenty odebrał także w Wielkiej Brytanii oraz w Stanach Zjednoczonych. Aeroskop był pierwszą na świecie ręczną kamerą filmową, która otworzyła zupełnie nowy rozdział w historii kinematografii. Ważące zaledwie

kilka kilogramów przełomowe urządzenie nie tylko nie wymagało bowiem statywu, lecz także dzięki temu, że było napędzane sprężonym powietrzem, nie wymagało kręcenia korbką przez operatora. Ręczna kamera polskiego konstruktora na jednym napompowaniu mogła działać bez przerwy przez ponad 10 minut. Kamera mieściła też ponad 130-metrowy ładunek taśmy, który wystarczał, aby nakręcić kilkanaście minut filmu.

Wynalazek Polaka umożliwił więc narodziny filmu dokumentalnego, a także filmowego reportażu. Sam Prószyński za pomocą aeroskopu nakręcił w 1911 r. film dokumentujący uroczystości koronacyjne króla Jerzego V. Dwa lata później kamera zdobyła wielki złoty medal na międzynarodowej wystawie kinematograficznej w Londynie, a od 1914 r. stała się niezbędnym narzędziem w pracy korespondentów podczas pierwszej wojny światowej. Wynalazek polskiego inżyniera wykorzystał również słynny lotnik Wilfred Theodore Blake do dokumentacji podróży podczas lotu dookoła świata w roku 1920.

PIONIER MAPPINGU I TELEWIZJI

W bogatym dorobku Prószyński – autor ponad 50 wynalazków i licznych patentów w wielu krajach świata – miał również urządzenie, które pozwalało przysyłać obraz na odległość. Działało więc na podobnej zasadzie co dzisiejsza transmisja telewizyjna. Opracowany przez niego telefoto – zaprezentowany w Warszawie w roku 1908, a więc rok po premierze telektroskopu wynalezionej przez Jana Szczepanika – według recenzji w ówczesnej prasie wiernie i czytelnie odtwarzał obraz transmitowany po zaledwie jednym drucie elektrycznym. Zasada działania telefoto opierała się na pokrytych lustrami wirujących jednocześnie bąkach, wykorzystując także właściwości selenu, który jest lepszym przewodnikiem elektryczności pod działaniem światła niż w ciemności. „Dany obraz zostaje schwytyany przez soczewkę i po odbiciu się w kwadratowym zwierciadle zostaje odtworzony w ognisku soczewki” – wyjaśniał w roku 1898 sam Prószyński na łamach założonego w 1882 r. tygodnika „Wszechświat”.

Wybitnie uzdolniony polski inżynier, konstruktor i filmowiec stworzył kinofon, a precyzyjniej – „aparat pneumatyczny dla uzyskania synchronizacji



Na pierwszej fotografii: demonstracja biopleografu 23 czerwca 1899 r. Na tym zdjęciu: Kazimierz Prószyński w 1909 r. filmuje aeroskopem ulicę Paryża. FOT. DOMENA PUBLICZNA

kinematografu z fonografem”, który skutecznie łączył obraz z dźwiękiem. Dzięki niemu zrealizował pierwsze w historii kina dłuższe filmowe ujęcia dźwiękowe. I choć udało mu się opatentować „maszynę mówiącą”, to akurat ten wynalazek na początku XX w. nie przyniósł twórcy spodziewanej popularności.

Prószyński opracował również Oko, a więc prosty i tani w użytkowaniu aparat do robienia filmów przez amatorów. Budżetowa kamera dla użytkowników z czasów międzywojnia była tym ciekawsza, że umożliwiała zarówno robienie zdjęć, jak i kręcenie filmów. Z biegiem lat modernizował ten wynalazek, zastępując np. drogie żarówki „lampą totalną”.

Polski inżynier wynalazł także aparat stereoskopowy Stereos, który pozwalał na wyświetlanie obrazów w ich rzeczywistym rozmiarze, był więc pierwszym na świecie urządzeniem umożliwiającym wyświetlanie na ulicy lub ścianach budynków np. reklam lub prowadzenie pokazów zdjęć przedstawiających np. potężne górskie wodospady, wielkie statki etc.

Na początku XX w. ten potencjalnie przełomowy wynalazek nie miał jednak jeszcze szerokiego praktycznego zastosowania i choć nie wszedł do masowej produkcji, to sprawił, że Prószyńskiego można nazwać nie tylko prekursorem polskiego kina, lecz także światowej telewizji. Jako społecznik zaangażowany w problemy współczesnych polski inżynier stworzył również autolektora, a więc urządzenie, które miało umożliwić osobom niewidomym oraz niedowidzącym „czytanie” książek. Niestety, nie zachowały się żadne rysunki techniczne lub zapiski dotyczące wynalazku.

Wszystkie zaginęły podczas powstania warszawskiego. Z relacji przyjaciół konstruktora wiadomo jednak, że treść książek miała być nagrywana za pomocą rysika, który nacinałby rowki na taśmie filmowej, a następnie odtwarzana za pomocą gramofonu.

W latach 30. XX w. na łamach „Gazety Świątecznej”, której był współwłaścicielem, ostrzegał przed ryzykiem wybuchu wojny z Niemcami. Podczas okupacji Polski przez Niemców prowadził działalność konspiracyjną. Pojmany przez gestapowców podczas powstania warszawskiego trafił do niemieckiego obozu koncentracyjnego Mauthausen-Gusen na terenie Austrii. Zmarł w wieku 70 lat jako więzień 129 957, kilka dni przed wyzwoleniem obozu przez amerykańskich żołnierzy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Źródła:

Władysław Jewsiwicki, „Kazimierz Prószyński”, Warszawa, Wydawnictwo Interpress, 1974;
Stanisław Fuks, „Kazimierz Prószyński: monografia bibliograficzna 1881–1975”, 1980;
„Kazimierz Prószyński i jego wynalazki”, film dokumentalny z cyklu „Geniusze i marzyciele”, reżyseria i scenariusz: Grzegorz Pacak;
„Polski Edison – wspomnienia o Kazimierzu Prószyńskim”, Polskie Radio, 6 marca 1987 r.;
Instytut Pamięi Narodowej, „Giganci nauki – infografiki historyczne: Kazimierz Prószyński”;
Narodowe Centrum Kultury Filmowej, NCKF.pl;
„Kazimierz Prószyński”, „Młody Technik”, nr 8/2004;
CATALOGUE DES APPAREILS CINÉMATOGRAPHIQUES, www.cinematheque.fr.

PIOTR WŁOCZYK: W 1887 r. ukazała się w Warszawie „Unua Libro”. Jaka idea stała za tym dziełem?

PROF. ILONA KOUTNY: Ta książeczka („Unua Libro” oznacza w esperanto „Pierwszą książkę”) otworzyła historię tego języka. Musimy jednak na wstępie wyjaśnić, że jej autor, Ludwik Zamenhof, planował opracowanie esperanto od dawna, choć w momencie wydania „Unua Libro” miał zaledwie 28 lat. Zamenhof już jako kilkunastoletni chłopak zaczął pracować nad językiem, który – w jego marzeniach – miał zmienić świat, sprawić, że ludzie zbliżą się do siebie i przestaną ze sobą walczyć. Zamenhof uważał bowiem, że złe emocje między narodami biorą się stąd, że trudno im się między sobą porozumieć i po prostu nie rozumieją swoich racji.

Swoje na pewno zrobiło środowisko, w którym młody Ludwik Zamenhof dorastał. Białystok był wówczas – w drugiej połowie XIX w. – wielokulturowym miastem.

Białystok zamieszkiwali Polacy, Żydzi, Rosjanie, Niemcy, a także Litwini. Zamenhof widział, że stosunki między tymi grupami etnicznymi nie układają się najlepiej. Wychodził z założenia, że stworzenie nowego języka, prostego w nauce, który będzie dla wszystkich językiem obcym, sprawi, że ludziom będzie się ze sobą łatwiej porozumieć. Co istotne, żaden z rozmówców nie byłby native speakerem, czyli nie miałyby przewagi nad drugą stroną. Ojciec Ludwika Zamenhafa nie podzielał jednak idealizmu syna i stwierdził, że nie powinien on poświęcać tyle czasu na tworzenie sztucznego języka, tylko powinien wziąć się do nauki prawdziwego fachu. Wysłał go więc na studia medyczne do Moskwy. Mało tego, kiedy Zamenhof studiował, jego ojciec zniszczył jego zapiski. Musiał on więc mozołnie odtwarzać projekt języka.

Autor „Unua Libro” ukrył się pod pseudonimem Dr Esperanto. Co to oznacza?

„Człowiek, który ma nadzieję”. Jak już wspomnieliśmy, Zamenhof był idealistą, człowiekiem, który żył nadzieją, że świat może być lepszy, a ludzie mogą żyć ze sobą jak bracia. Jego pseudonim stał się następnie nazwą języka.

W kontekście esperanto nie możemy nie wspomnieć o Antonim Grabowskim, który oddał temu językowi ogromne zasługi.

Grabowski, znany inżynier chemik (przygotował polski słownik chemiczny)

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA, BIBLIOTEKA ŚLĄSKA



Z prof. Iloną Koutny z Instytutu Etnolingwistyki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, znawczynią esperanto rozmawia Piotr Włoczyk

Genialny system esperanto

i poliglota, był pierwszym rozmówcą Zamenhafa w języku esperanto (już w 1887 r.). Ten zapalony miłośnik literatury zaczął tłumaczyć dzieła polskie i zagraniczne już na początku istnienia tego języka planowego. Wśród nich możemy wymienić m.in. utwory: Juliusza Słowackiego, Henryka Sienkiewicza, Aleksandra Puszkina, Johanna Wolfganga von Goethego. Grabowski wydał antologię tłumaczonych dzieł i napisanych przez siebie poematów, w ten sposób ożywiając esperanto. Dzięki niemu „Pan

Tadeusz” jest znany w każdym zakątku świata esperantystów.

Jak wyjaśnia pani, jako lingwistka, fenomen esperanto?

Jest to prosty i przejrzysty język. Na końcu „Unua Libro” znalazł się minisłownik z niemal tysiącem słów, które są rdzeniami. To naprawdę genialny system. Do rdzenia dodajemy tylko różne przedrostki oraz końcówki i w ten sposób tworzymy kolejne słowa. To bardzo efektywny system. Język esperanto jest regularny, nie

ma w nim wyjątków. To jak klocki, które z łatwością możemy układać. Dzięki rdzonom nie musimy się uczyć tylu odrębnych słów, co jest konieczne podczas procesu opanowywania naturalnych języków. Esperanto można się bez problemu nauczyć na wysokim poziomie już w ciągu roku.

Zamenhof liczył na to, że wymyślony przez niego język stanie się lingua franca? Musimy przy tym pamiętać, że na przełomie XIX i XX w. język angielski nie miał tak dominującej pozycji na świecie, jak ma to miejsce dziś.

Tak, Zamenhof podchodził do tego ambitnie i miał nadzieję, że esperanto stanie się prawdziwym językiem międzynarodowym. Trzeba jednak przyznać, że na drodze rozwoju języka w Europie stanęły obiektywne przeszkody. Obaj krwawi dyktatorzy bezlitośnie zwalczali esperantystów, traktując ich jako szpiegów, ludzi, którzy działają w jakiejś podejranej grupie. Zarówno Hitler, jak i Stalin mordowali esperantystów i wtrącali ich do obozów. Ludzie uczący się tego języka tworzyli i wciąż tworzą żywą międzynarodową sieć, co w oczach obu dyktatorów było zbrodnią.

Nawiasem mówiąc, Lidia Zamenhof, córka Ludwika, bardzo oddana propagatorka tego języka, została zgładzona w Treblince.

Często mówi się, że esperanto to nie tylko język, lecz także wręcz kultura.

Esperanto rozwijali idealisci. Do dziś językiem tym interesują się ludzie ciekawi świata i różnorodności, którym w mniejszym lub większym stopniu bliskie są ideały jego założyciela.

Ile osób na świecie mówi dziś w esperanto?

Trudno tu o pewne dane. W przypadku Polski jest to o tyle utrudnione, że spis powszechny nie uwzględnia takiej odpowiedzi. Ja w zeszłym roku chciałam zaznaczyć, że posługuję się językiem esperanto, ale nie było takiej możliwości. Najczęściej przyjmuje się, że na świecie esperanto zna ok. 2 mln ludzi. To nie jest tak mała liczba, zważywszy, że na całym świecie istnieje ponad 7 tys. języków, a większością z nich posługuje się mniejsza liczba osób.

Ludwik Zamenhof piękna esperanto upatrywał m.in. w tym, że dla nikogo język ten nie będzie językiem ojczystym. Czy rzeczywiście nie ma esperanckich native speakerów?

Ależ oczywiście, że są! Esperantyści z różnych krajów zakochują się w sobie i zakładają rodziny. Dzieci z takich zwią-

ków znają języki ojczyste rodziców, ale też od małego mówią w esperanto, czyli jak najbardziej są native speakerami. Językoznawcy mawiają, że jeżeli w danym języku nie ma native speakerów, to znaczy, że nie jest to prawdziwy język. Jak widać jednak, esperanto jest jak najbardziej prawdziwym i do tego bardzo żywym językiem.

Jaką wartość ma nauka esperanto? Czy to nie jest tylko ciekawe hobby, skoro dziś uproszczona wersja języka angielskiego jest niekwestionowanym lingua franca?

Esperanto to dla wielu osób, w tym dla mnie, prawdziwa pasja, ale język ten ma też wielką wartość propagandową. Jeżeli nauczymy się najpierw esperanto, to łatwiej się uczyć innych języków indoeuropejskich, szczególnie romańskich, ponieważ rdzeń esperanto bazuje głównie na językach romańskich, germańskich, choć widać również wpływ języków słowiańskich.

Jako Węgierka mogę definitywnie stwierdzić, że esperanto pozwala przyswoić sobie strukturę języków indoeuropejskich. I dlatego esperanto może być dla narodów azjatyckich świetnym pomostem do nauki tych języków. Od dawna trwają starania, by wprowadzić esperanto do szkół i ułatwić tym samym dzieciom naukę innych języków. Wyniki takich eksperymentów są bardzo zachęcające. Jedno z badań na Węgrzech i w czterech innych krajach przewidywało podział młodzieży szkolnej na dwie grupy: jedna przez całe cztery lata uczy się języka francuskiego albo rosyjskiego, a druga przez pierwszy rok opanowuje esperanto, a przez kolejne trzy lata uczy się języka docelowego. Okazało się, że grupa esperancka mówiła lepiej w języku francuskim/rosyjskim niż



Esperanto można się bez problemu nauczyć na wysokim poziomie już w ciągu roku

FOT. BIBLIOTEKA ŚLĄSKA

koledzy i koleżanki, którzy nie zaczęli od esperanto.

Wygląda na to, że Pasporta Servo to jeden z lepszych sposobów, by zachęcić ludzi do uczenia się esperanto. O co chodzi w tej inicjatywie?

Pasporta Servo to inicjatywa Światowej Esperanckiej Organizacji Młodzieżowej, dzięki której można zwiedzać świat właściwie za darmo, korzystając z gościnnych innych esperantystów. Nie da się lepiej podróżować, jak właśnie w ten sposób – zatrzymywać się u miejscowych i dyskutować z nimi na temat życia w ich krajach.

Czy dobrze rozumiem, że Polska to mekka dla esperantystów?

Na pewno jest to miejsce bliskie sercu każdego esperantysty z uwagi na to, że żył tu twórca języka, a także wiele osób, którego go potem rozwijały. Nieprzypadkowo w 1987 r. Światowy Kongres Esperanto odbył się w Warszawie – była to setna rocznica wydania „Unua Libro”. Z kolei w 2009 r., w 150. rocznicę urodzin Ludwika Zamenhofs, Światowy Kongres Esperanto odbył się w jego rodzinnym Białymstoku. Pamiętajmy też, że esperanto jest na liście niematerialnego dziedzictwa kulturowego Polski. W moim życiu osobistym Polska i esperanto też się skrzyżowały – w końcu wyszłam za mąż za Polaka, a połączyła nas właśnie pasja do języka stworzonego przez Ludwika Zamenhofs!

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Ilona Koutny – mieszkająca w Polsce węgierska lingwistka i esperantystka, doktor habilitowany, profesor nadzwyczajny UAM.



Piotr Włoczyk

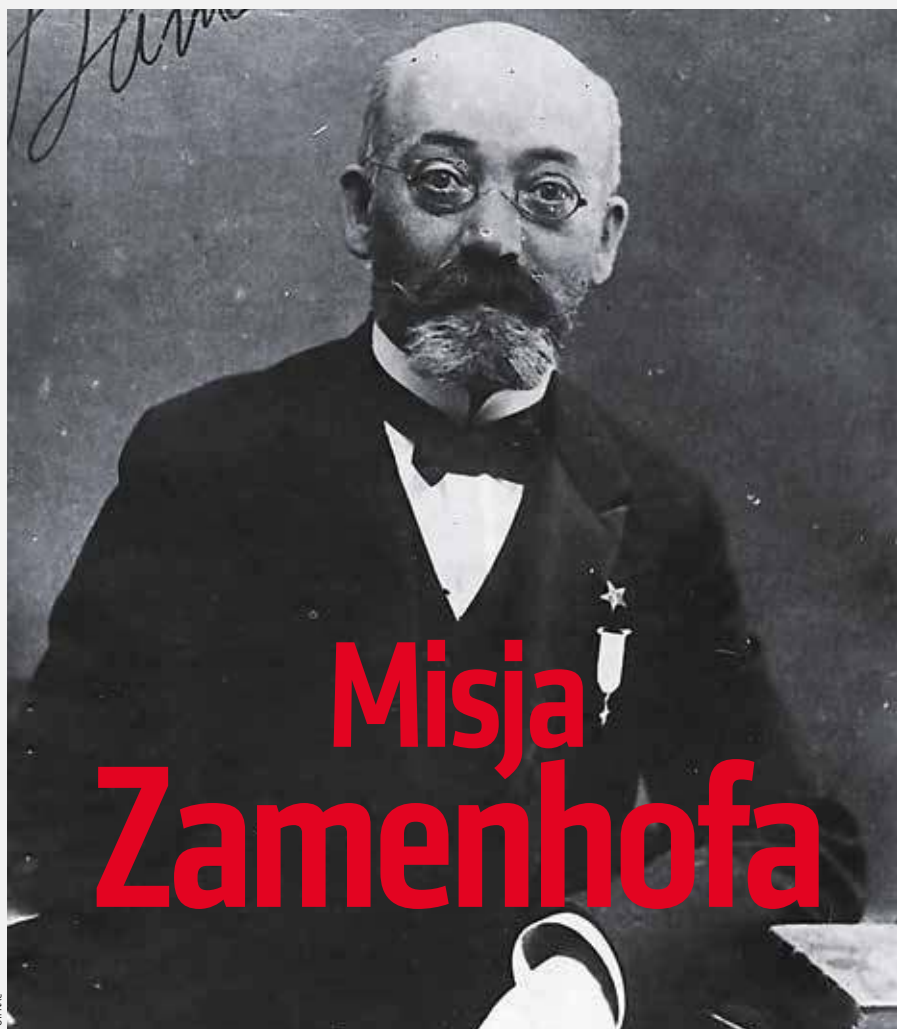
Słynny „dr Esperanto” poświęcił życie jednej idei: zbliżaniu ze sobą ludzi na całym świecie za pomocą wymyślnego przez siebie języka

Był jednym z najczęściej nominowanych do Pokojowej Nagrody Nobla, choć ostatecznie nigdy jej nie otrzymał. Jak podaje archiwum Norweskiego Komitetu Noblowskiego, Ludwik Zamenhof w latach 1907–1917 zgłaszany był aż ośmiokrotnie do tej nagrody. Nominowali go czołowi działacze ruchu na rzecz pokoju na świecie, a także duże grupy parlamentarzystów z Wielkiej Brytanii i Francji. Za każdym razem argumentacja była taka sama – Ludwik Zamenhof zasługiwał na Pokojową Nagrodę Nobla, ponieważ wynalazł „najważniejszy ze sztucznych międzynarodowych języków”. W tamtym okresie wciąż jeszcze wielu idealistów na świecie wierzyło, że wyeliminowanie bariery językowej między narodami będzie gwarancją pokoju na świecie.

Urodzony w 1859 r. w Białymstoku Ludwik Zamenhof pochodził ze zasy-milowanej rodziny żydowskiej. W jego domu mówiło się w jidysz, ale również po rosyjsku oraz po polsku. Mając zaledwie 10 lat, Zamenhof napisał dramat pt. „Wieża Babel, czyli tragedia białostocka w pięciu aktach”. Już jako dziecko zauważył, jak bardzo odrębne języki odgradzają od siebie narodowości zamieszkujące jego rodzinne miasto.

Po ukończeniu studiów medycznych – wyspecjalizował się w okulistyce – Zamenhof postanowił nadać ostateczny kształt sztucznemu językowi, który opracowywał od najmłodszych lat. Dzięki wsparciu finansowemu udzielonemu przez Aleksandra Silbernika, swojego przyszłego teścia, Zamenhof wydał w lipcu 1887 r. w Warszawie „Język międzynarodowy. Przedmowa i podręcznik kompletny”. Pod swoim dziełem podpisał się jako „dr Esperanto” (po esperancu: „mający nadzieję”).

Odzew przerósł najśmielsze oczekiwania Zamenhafa. Okazało się, że pasjonaci języków obcych z całego świata dostrzegli w zaproponowanym przez warszawskiego okulistę języku olbrzymi potencjał. Szczególnie na zachodzie Europy bardzo szybko zaczęło rosnąć grono zwolenników espe-



FOT. IMC

ranto jako narzędzia mającego przynieść przełom w kontaktach między ludźmi na całym świecie.

Zamenhof podkreślał, że nie uważa się za człowieka kierującego rozwojem esperanto, a jedynie inicjatora tego sztucznego języka. Mimo to w 1905 r. „dr Esperanto” wydał kolejny, poszerzony podręcznik o wiele mówiącej nazwie „Fundamento de Esperanto”. Na odbywającym się kilka miesięcy później we francuskim Boulogne-sur-Mer Pierwszym Kongresie Esperanto podręcznik ten został uznany za obowiązującą podstawę do nauki tego sztucznego języka.

„Ponieważ w obecnym czasie żaden naukowiec nigdzie na świecie nie wątpi już w to, że językiem międzynarodowym może być wyłącznie język sztuczny, i ponieważ spośród ogromnie wielu prób, uczynionych w ciągu ostatnich dwóch wieków, wszystkie one przedstawiały jedynie projekty teoretyczne, a językiem rzeczywiście wypróbowanym, doskonale żywym i we wszystkich relacjach najbardziej przydatnym okazał się jeden tylko język,

esperanto, dlatego przyjaciele idei języka międzynarodowego, mając świadomość, iż dyskusja teoretyczna nie doprowadzi do niczego i że cel może być osiągnięty wyłącznie praktyczną pracą, już od dawna wszyscy skupili się wokół jednego języka esperanto i pracują na rzecz rozpowszechniania i wzbogacania jego literatury” – czytamy w Deklaracji Bulońskiej, która doskonale oddaje nastrój panujący wśród pierwszych esperantystów.

Ludwik Zamenhof do końca życia – zmarł w 1917 r. – łączył swoją warszawską praktykę okulistyczną (zarabiał niewiele, ponieważ leczył głównie biednych) z pasją tłumacza. Przetłumaczył na esperanto m.in. Stary Testament, „Hamleta” czy „Baśnię” Hansa Christiana Andersena. Wybuch pierwszej wojny światowej był olbrzymim ciosem dla Zamenhafa, który wierzył, że konflikty zbrojne właśnie odchodzą do przeszłości.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Źródła:

Zbigniew Romaniuk, Tomasz Wiśniewski, „Zaczęło się na Zielonej. O Ludwiku Zamenhofie, jego rodzinie i początkach esperanta”; Walter Żelazny „Ludwik Zamenhof”; Encyclopedia Britannica.



Piotr Włoczyk

Józef Bożek zasłynął jako genialny twórca maszyn napędzanych parą. Niektórzy twierdzą wręcz, że to on powinien być wskazywany jako konstruktor prototypu samochodu osobowego

Był 23 września 1815 r., gdy mieszkańcy Pragi mogli podziwiać nie lada widowisko. Oto po miejskim bruku pędził pojazd, jakiego żaden z widzów z pewnością nie miał okazji jeszcze widzieć. Z wyglądu przypominał nieco powóz, ale nie ciągnął go żaden koń, natomiast z wystającej z tyłu rury buchały kłęby dymu. Pojazd mógł zabrać na swój pokład poza kierowcą dwóch pasażerów.

Rok wcześniej w Anglii George Stephenson zaprezentował swoją pierwszą lokomotywę parową, ale była to ciężka maszyna, która – choć była w stanie ciągnąć wiele wagonów – mogła poruszać się jedynie po torach. Tymczasem parowy powóz Józefa Bożka był na tyle lekki (wżył mniej więcej tyle, ile dziś ważą auta miejskie), że z powodzeniem mógł poruszać się po zwykłych drogach bez obaw, że ugrzęźnie na gorzej utwardzonych odcinkach. Parowe auto Bożka było dopiero trzecim tego typu pojazdem na świecie. I była to najmniejsza i najlżejsza ze wszystkich maszyn parowych na kołach, co mogło dawać nadzieję na podbicie kontynentu. Dlaczego więc ten genialny polski konstruktor niedługo po swojej śmierci uległ prawie całkowitemu zapomnieniu?

DZIEŁA TECHNIKI

Józef Bożek urodził się w 1782 r. we wsi Biery na Śląsku Cieszyńskim. Wokół jego prawdziwego pochodzenia rozgorzała debata pomiędzy polskimi i czeskimi historykami techniki, fakty wydają się jednak bezsporne: Bożek urodził się w polskiej rodzinie wyznającej katolicyzm. Ponieważ Śląsk Cieszyński znajdował się w granicach monarchii Habsburgów, dla tak utalentowanego technicznie chłopaka najbardziej naturalną rzeczą wydawała się przeprowadzka do Czech, gdzie industrializacja nabierała tempa. Józef Bożek podjął studia najpierw w Brnie na Morawach, a następnie w Pradze.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Polski prekursor motoryzacji

Jeszcze zanim zaczął budować maszyny parowe na kołach, spod jego ręki wyszły inne wysokiej klasy dzieła techniki: m.in. niezwykle precyzyjny zegar wykonany dla Instytutu Astronomii Akademii Nauk w Pradze, maszyna do szlifowania luster, a także elewator zbożowy. Po raz pierwszy zrobiło się o Bożku głośno z powodu jego talentu do wykonywania praktycznych i wygodnych protez. Europa pełna była wówczas kalekich weteranów wojen napoleońskich, więc Bożek nie mógł narzekać na brak zleceń. Inwalidzi wojenni, którym udało się nabyć protezy wykonywane przez Polaka, twierdzili, że są na tyle dobre, iż można za ich pomocą pisać, a nawet dosiadać konia.

Silniki parowe były wprawdzie znane już od wielu lat, ale to właśnie połączenie tego rodzaju napędu z powozem sprawiło, że w tamtym czasie Józef Bożek zyskał wielką sławę wśród prażan.

TRAGEDIA W DNIU PREMIERY

Po skonstruowaniu swojego parowego samochodu Polak wziął się do unowocześniania transportu wodnego. W 1817 r. przygotował łódź napędzaną silnikiem

parowym. Prace nad nią były bardzo kosztowne i Bożek musiał się w związku z tym zapożyczyć. W dniu wielkiej premiery doszło jednak do tragedii. Łódź Bożka spłonęła, co część historyków uważa za efekt sabotażu ze strony zawistnych konkurentów, którzy obawiali się, że łódź Polaka wyprze ich z rynku. Jakby tego było mało, Józef Bożek został jeszcze okradziony, przez co wpadł w spiralę zadłużenia. Wydarzenia te odbiły się na kondycji psychicznej genialnego konstruktora. W przyptywie szału Polak rozbił tworzone przez tyle lat maszyny... Niestety, talentem technicznym Józefa Bożka nie dorównywały jego zdolności biznesowe, a także ewidentnie brakowało mu szczęścia.

Polski wynalazca i konstruktor zmarł w Pradze w 1835 r. w biedzie i zapomnieniu. W XX w. fascynaci historii techniki zaczęli odtwarzać genialne konstrukcje Bożka. Obecnie w Polsce i w Czechach istnieje kilka replik jego parowego samochodu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Źródła:

Marek Borucki „Wielcy zapomniani. Polacy, którzy zmienili świat”;
Tadeusz Seweryn „Folk Technicians and Inventors”.

Polacy, którzy zmienili bieg historii

Wojciech Simon

Skonstruowany przez polskiego naukowca kuloodporny materiał uchronił przed śmiercią m.in. króla Hiszpanii. Opracowany przez Józefa Kosackiego ręczny wykrywacz min uratował życie tysięcy żołnierzy i w istotnym stopniu przyczynił się do skrócenia drugiej wojny światowej. Bieg historii zmieniło także wynalezienie potężnej bomby termojądrowej – istotny wkład w jej budowę miał zaś polski matematyk Stanisław Ulam

Józef Stanisław Kosacki – podobnie jak polscy matematycy, którzy złamali szyfr Enigmy – trwale zapisał się na kartach historii. Podczas drugiej wojny światowej za przełomowy wynalazek dziękował mu w liście sam król Wielkiej Brytanii Jerzy VI. „Wykrywacz cichych zabójców”, „Polak, który zatrzymał śmierć”, „Polak, który zmienił losy wojny” – to tylko niektóre z tytułów opisujących niezwykle zdolnego polskiego inżyniera, którego wynalazek ocalił dziesiątki tysięcy ludzkich istnień i przyczynił się do skrócenia drugiej wojny światowej.

Urodzony w 1909 r. w Łapach na Podlasiu syn maszynisty kolejowego ukończył Wydział Elektryczny Politechniki Warszawskiej, a następnie przeszedł przeszkolenie wojskowe w Szkole Podchorążych rezerwy saperów w Modlinie. Po odbyciu ćwiczeń rezerwy z tytułem podporucznika rezerwy przeszedł do cywila. Do wybuchu wojny pracował w Państwowym Instytucie Telekomunikacyjnym. 4 września 1939 r. do wojska zgłosił się na ochotnika. Jako członek Grupy Technicznej w Oddziale Specjalnym Łączności brał udział w uruchomieniu radiostacji Warszawa II, za pośrednictwem której do ostatnich dni walk przemawiał prezydent Stefan Starzyński.

Gdy niemieckie wojska zajęły Polskę, przedarł się na Węgry, gdzie został internowany. Z pomocą dyplomatów w Budapeszcie przedostał się przez Włochy do Francji, gdzie wstąpił do Polskich Sił Zbrojnych. Po upadku Francji został ewakuowany do Szkocji. To właśnie tam w Centrum Wyszkożenia Łączności w Dundee, zainspirowany tragicznym incydentem, w którym podczas patrolu na plaży koło Arbroath na minach przeciwdesantowych zginęli żołnierze polskiej 10. Brygady Kawalerii Pancernej, wziął udział w konkursie Ministerstwa Zaopatrzenia na projekt i wykonanie wykrywacza min. Po trzech miesiącach z pomocą sierżanta Andrzeja Grabosia, wykorzystując zjawisko pola elektromagnetycznego, opracował Mine Detector Polish Mark 1.

Podczas testu – polegającego na tym, aby „wykryć” jak najwięcej rozrzuconych monet jednopensowych – przy użyciu polskiego wynalazku udało się odnaleźć wszystkie. Takiego wyniku nie udało się osiągnąć żadnemu z sześciu pozostałych urzędzeń zgłoszonych do konkursu. Co ważne, szybko udoskonalony przez Kosackiego Polish Mine Detector No. 2 był nie tylko wyjątkowo skuteczny, lecz także tani w produkcji

Elektromagnetyczny wykrywacz min składał się m.in. ze słuchawek, metalowej skrzynki z generatorem fal, tornistra noszonego na plecach, talerza z dwoma cewkami elektrycznymi oraz baterii zasilających

FOT. WOJSKOWY INSTYTUT TECHNIKI
INŻYNIERYJNEJ



i niezwykle lekki. Ważył ok. 14 kg i mógł być przenoszony w żołnierskim plecaku. Elektromagnetyczny wykrywacz min składał się m.in. ze słuchawek, metalowej skrzynki z generatorem fal, tornistra noszonego na plecach, drzewca bambusowego, talerza z dwoma cewkami elektrycznymi (skrzynki wykrywającej), skrzynki regulacyjnej z regulatorem wzmacniacza, baterii zasilających oraz lampki sygnałowej. Jak działał wykrywacz? Urządzenie wykorzystywało generator fal o słyszalnej częstotliwości oraz mostek elektryczny. Stan jego równowagi był zakłócany, gdy talerz ze skrzynką wykrywającą zbliżano do metalowego przedmiotu. Wówczas w słuchawkach pojawiał się sygnał akustyczny. Zmiana indukcyjności sprawiała, że im bliżej

miny znajdowało się urządzenie, tym głośniejszy stawał się sygnał.

Kosacki bezpłatnie przekazał swój wynalazek Brytyjczykom jako wkład w wojnę z Niemcami. Wykrywacz min błyskawicznie trafił więc do seryjnej produkcji w Brytyjskiej Wytwórni Cinema Television Ltd. Według tygodnika „Time” szybko wyprodukowano 500 sztuk modelu Mine Detector No. 2 (Polish) i przetrzucono je na front na Pustynię Arabską. Pierwszy raz wykrywacz min konstrukcji polskiego inżyniera alianci użyli na polu bitwy w listopadzie 1942 r. pod Al-Alamajm w Egipcie. Antyhitlerowskie wojska pokonały wówczas Niemców, a Winston Churchill wygłosił swoje słynne zdanie, że „to nie jest nawet początek końca. Ale to jest, być może, koniec początku”. Użycie nowoczesnego wykrywacza min pozwoliło armii gen. Montgomery’ego zwiększyć tempo przebijania się przez zaminowane piaski ze 100 do 200 metrów na godzinę.

Józef Kosacki nie zbił fortuny na swoim wynalazku, choć brytyjska armia korzystała z niego przez kilkadziesiąt lat aż do połowy lat 90., wprowadzając do konstrukcji polskiego inżyniera jedynie niewielkie poprawki (wersja Mark 4c). Z wynalazku Polaka korzystali również żołnierze innych sojuszników armii, a brytyjskie władze były wyjątkowo zadowolone, że mogli pokazać Ameryka-



Jedwabny pancierz kulotrawny systemu Szczepanika.



Bullet o rewolwerowej kalibrze 7 mm i odległości 3 kroków do pancierza kulotrawnego, który w chwili uderzenia przemieszcza się w tył, nie powodując uszkodzenia.



Kulka o odległości 3 kroków do pancierza kulotrawnego, który w chwili uderzenia przemieszcza się w tył, nie powodując uszkodzenia.

Z Teatru i Muzyki.

Sezon operowy we Lwowie.

Sezon operowy, zainaugurowany wznowieniem „Manru”, przerwał się nagle z powodu niespodziewanego wyjazdu i niespodziewanego ugrzęźnięcia w Warszawie pierwszego tenora, p. Aleksandra Bandrowskiego, który parogodniową swoją nieobecnością wywołał stagnację całej potężnej machiny, złożonej z solistów, orkiestry i chórów. Dyrekcja znalazła się w niemalym kłopotcie, z którego udało jej się wybrnąć dopiero przed kilku dniami przez zaangażowanie na gościnne występy p. Eugeniusza Guszalewicz. Nowy śpiewak po raz pierwszy wystąpił na scenie polskiej, chociaż jest Rusinem galicyjskim i stąd rozwinął skrzydła do lotu. Przed laty kształcił się w Wiedniu, śpiewał następnie w Peszcie i w Lublanie, a od sześciu lat jest pierwszym tenorem opery czeskiej w Pradze. W czwartek wystąpił p. Guszalewicz na scenie lwowskiej jako Eleazar w „Żydówce”. Debiut miał olbrzymie powodzenie, publiczność była olśniona potężnym głosem nowego bohater-skiego tenora. Równocześnie z p. Guszalewiczem debutowała z pełnym sukcesem krakowianka, p. Wanda Otto. Portrety obojga podajemy w dzisiejszym numerze „Ilustracji”. Dalszy ciąg sezonu ma przynieść dwie interesujące, polskie nowości operowe: „Carmen” i „Bohème”.

„Głos Narodu”, dodatek ilustrowany z 7 grudnia 1901 r. Fragment artykułu „Pancerz Szczepanika” FOT. BIBLIOTEKA JAGIELLOŃSKA



Pancerz kulotrawny ze znakami od kul rewolwerowych.

Operetka żyje na razie powtarzaniem najlepszych nowości z bieżącego roku. Z tych utrzy-



kulotrawnego systemu Szczepanika.

Wieloletni dyrektor Państwowej Opery w Warszawie, kierownik zespołu operowego, rewolwer 7 mm, odległość 3 kroków.

nom nowoczesny wykrywacz, którym nie dysponowała wówczas armia Stanów Zjednoczonych. Urządzenie, które zmieniło bieg historii, sprawdzało się m.in. w latach 90. podczas konfliktów w Zatoce Perskiej.

Za odkrycie, które pozwoliło zmienić bieg drugiej wojny światowej, polski inżynier został uhonorowany brytyjskim Medalem Obrony (Defense Medal), a także wspomnianym wyżej osobistym listem od króla Jerzego VI. Jego osobie poświęcono również oddzielne miejsce w Imperial War Museum w Londynie. Józef Kosacki nie rozstał się jednak na świecie swojego nazwiska. Aby chronić rodzinę mieszkającą w okupowanej przez Niemców Polsce, w zagranicznych artykułach twórca przełomowego wykrywacza min występował bowiem

pod pseudonimem (Józef Kos lub Józef Kozak).

Po powrocie do Polski został odznaczony m.in. Srebrnym Krzyżem Zasługi (dwukrotnie: w latach 1942 i 1954), Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski (1959) oraz Medalem Wojska Polskiego (również dwukrotnie: w latach 1946 i 1947). Po wojnie pracował najpierw w Przemysłowym Instytucie Telekomunikacji, a następnie w Instytucie Badań Jądrowych w Świerku koło Warszawy. Prowadził również zajęcia na Wojskowej Akademii Technicznej, Uniwersytecie Warszawskim i Politechnice Warszawskiej. W 1990 r. został pochowany z honorami wojskowymi na warszawskim cmentarzu Bródnowskim. Prototyp wykrywacza Polish Mine Detector No. 2 znajduje się

■ w Sali Tradycji Wojskowego Instytutu Techniki Inżynieryjnej we Wrocławiu.

WYNAZDEK KUŁOODPORNY

Ogromną liczbę ludzkich istnień uchronili również Polacy, którzy stworzyli kamizelkę kuloodporną. Do dziś trwa spór, czy pierwszy był Jan Szczepanik czy Kazimierz Żegleń. Ten drugi, zakonnik zakonu zmartwychwstańców, jako pierwszy uzyskał dwa patenty na prototypy ubrań ochronnych – pierwszy wykonany był z blachy i zwierzęcej sierści, a drugi z gęsto tkanego lnianego płótna. Kazimierz Żegleń nad swym wynalazkiem pracował w Chicago, a chicagowscy policjanci testy nad pierwszymi kamizelkami polskiego pomysłu przeprowadzali już w roku 1897: najpierw na ludzkich zwłokach, potem na psie, aż w końcu kamizelkę założył sam twórca Kazimierz Żegleń. Po udanych testach zainteresowanie kupnem wynalazku zakonnika wyrazili również klienci z Europy. Produkt był niezwykle potrzebny, gdyż na przełomie XIX i XX w. – w okresie zwanym „epoką zamachowców” – nagle na ulicach miast (nie tylko amerykańskich) zaczęło się wręcz roić od różnej maści zabójców.

Po powrocie na Stary Kontynent Żegleń nawiązał współpracę ze Szczepanikiem, który odkupił od niego patenty na kamizelkę. Jan Szczepanik wymyślił wcześniej wiele różnych urządzeń, w tym nowoczesną wersję maszyny tkackiej, telekroskop (aparat do reprodukcji obrazów na odległość za pomocą elektryczności), a w swych zapiskach odnotował nie tylko koncepcję śmigłowca, lecz także przewidywał możliwość czerpania energii ze słońca. W 1901 r. Jan Szczepanik stworzył zaś bazującą na prototypie Żeglenia udoskonaloną kamizelkę kuloodporną, która była jeszcze skuteczniejsza i bardziej odporna na uszkodzenia. Kuloodporny materiał, tkany na nowoczesnych maszynach Szczepanika, pozwolił ująć z życiem m.in. królowi Hiszpanii. Alfons XIII przetrwał zamach w Madrycie w 1906 r., bo jego karetę wyłożona była wynalazkiem Jana Szczepanika. Z kolei Polacy pokłócili się i zerwali współpracę. Mianem twórców kamizelki kuloodpornej najbezpieczniej jest więc nazywać zarówno Żeglenia, jak i Szczepanika.

Oczywiście szybko pojawiły się nowe rodzaje pocisków, które były w stanie przebić wynaleziony przez Polaków materiał ochronny. Wraz z rozwojem broni modernizowano również kamizelki. Kilka



SCR-300 mieściła się w plecaku i umożliwiały ręczne ustawienie częstotliwości FM. W porównaniu z konkurencyjnymi urządzeniami, które były tak duże, że transportowano je przy użyciu czołgów, wynalazek Polaka był wręcz niewiarygodnie lekki. FOT. WIKIPEDIA

lat temu polscy naukowcy opracowali nową, „płynną” kamizelkę kuloodporną. Jest ona wypełniona przypominającą kisiel tzw. cieczą nienuktową. Według jej twórców nowa wersja jest lżejsza, bardziej elastyczna i lepiej chroni korpus niż tradycyjnie stosowane kamizelki. Jest skuteczna wobec 17 rodzajów pocisków, a do tego zabezpiecza użytkownika nawet w przypadku wielokrotnego postrzału, np. serią z karabinu.

REWOLUCJA W ŁĄCZNOŚCI

Do grona Polaków, których wynalazki zmieniły losy wojen i przyczyniły się do szybszego pokonania Niemców przez aliantów, należy inżynier Henryk Magnuski. Urodzony w 1909 r. już jako nastolatek pracował w Państwowych Zakładach Tele- i Radiotechnicznych w Warszawie. Naprawa i instalowanie odbiorników radiowych stały się jego pasją. Po ukończeniu studiów na Wydziale Telekomunikacji Politechniki Warszawskiej stanął na czele zespołu projektującego radiostacje wojskowe. W czerwcu 1939 r. został wysłany na szkolenie do Nowego Jorku i tam właśnie zastała go wojna. Zatrudnił się jako inżynier w realizującej kontrakty dla armii firmie Galvin Manufacturing Corporation w Chicago (która później zmieniła nazwę na Motorola). Jego zespół otrzymał polecenie stworzenia urządzenia do łączności radiowej, które żołnierze mogliby zabierać ze sobą na pole bitwy i używać do bezpośredniej łączności. Przenośne radiostacje musiały być nie tylko stosunkowo lekkie, lecz także odporne na tropikalne temperatury i ogromną wilgotność. Udało się. Inżynierowie pod kierunkiem Polaka stworzyli pierwsze na świecie stacje krótkofalowe, które nie tylko były jednocześnie odbiornikami i nadajnikami, lecz także były na tyle niewielkie, że nadawały się do przenoszenia przez żołnierzy.

W pierwszych krótkofalówkach wykorzystano aż trzy patenty Henryka Magnuskiego i z tego powodu to właśnie jego uznaje się za twórcę handie-talkie, bo tak amerykańska armia nazwała pierwszą przenośną radiostację wojskową (SCR-536). Urządzenie wyglądające jak wydłużona cegła z antenką ważyło wraz z dwoma bateriami zaledwie 2,5 kg. Było banalnie łatwe w obsłudze i wytrzymałe na wilgoć, a nawet na krótkotrwałe zanurzenie w wodzie.

Urządzenie SCR-536 na przełomie lat 1940 i 1941 szybko weszło do seryjnej produkcji (szacuje się, że z taśm zeszło ok. 130 tys. sztuk). Niewielki zasięg, maksymalnie ok. 4,8 km, pozwalał na łączność na szczeblu kompanii, więc armia potrzebowała jeszcze drugiej przenośnej radiostacji o istotnie większym zasięgu. Opracowana przez zespół inżyniera Magnuskiego w 1943 r. druga wersja przenośnej radiostacji – SCR-300 (walkie-talkie) – miała już zasięg ok. 15 km. Ona również błyskawicznie trafiła w ręce żołnierzy, umożliwiała bowiem koordynację działań piechoty, artylerii i wojsk pancernych.

Nowa wersja krótkofalówki – dobrze znana widzom największych kinowych przebojów dotyczących drugiej wojny światowej czy konfliktów w Korei i Wietnamie – nie przypominała oczywiście dzisiejszej superporęcznej krótkofalówki. SCR-300 mieściła się w plecaku i umożliwiały ręczne ustawienie częstotliwości FM. Do jej obsługi najczęściej potrzebnych było dwóch żołnierzy: jeden nosił na plecach kilkunastokilogramową radiostację, a drugi słuchał komunikatów z głośnika umieszczonego na plecaku oraz przez słuchawkę komunikował się z innymi oddziałami. Urządzenia zyskały pochlebne opinie żołnierzy, choć problemem na polu bitwy stało się dostarczanie do nich nowych baterii (w zależności od wielkości akumulatora walkie-talkie ważyło wówczas 14,6 lub 17,3 kg). W porównaniu z konkurencyjnymi wówczas urządzeniami z zakresu łączności, które były tak duże, że transportowano je przy użyciu czołgów, wynalazek Polaka był wręcz niewiarygodnie lekki.

Do końca drugiej wojny światowej wyprodukowano ok. 50 tys. sztuk tego typu urządzeń, które zostały wykorzystane

ne przez amerykańskich żołnierzy m.in. podczas inwazji na niemieckie siły we Włoszech i w Normandii oraz podczas walk z Japończykami na Pacyfiku. Amerykanie nie mają wątpliwości, że wynalazek Polaka pozwolił istotnie zmniejszyć liczbę ofiar po stronie wojsk alianckich – między innymi poprzez zmniejszenie ryzyka przypadkowego ostrzału własnych oddziałów – i przyczynił się do skrócenia drugiej wojny światowej.

Inżynier Magnuski, który podczas swojej kariery uzyskał ponad 30 patentów, nie wrócił do komunistycznej Polski i nadal tworzył nowe wynalazki. Jednym z tych, które istotnie ułatwiły prowadzenie działań wojennych i uratowały życie wielu żołnierzy, była radarowa radiolantaria AN/CPN-6. To dzięki niej piloci startujący z lotniskowców mogli w złych warunkach pogodowych odnaleźć swoje „pływające lotnisko”. Radiolantaria Magnuskiego umożliwiała również U.S. Navy wykonywanie operacji w nocy. Wiele z rozwiązań uzdolnionego Polaka jest zaś do dziś wykorzystywanych w systemach łączności wojskowej i nie tylko. Kilka patentów inżyniera Magnuskiego wykorzystano choćby przy tworzeniu współczesnej telefonii komórkowej.

NAJSTRASZNIJSZA BRON LUDZKOŚCI

Wśród Polaków, których praca zmieniła bieg historii – i to nie tylko drugiej wojny światowej – był również Stanisław Ulam. Urodzony we Lwowie wybitny matematyk jeszcze podczas studiów inżynierskich zdobył międzynarodowe uznanie. W 1935 r. utalentowany Polak – pozbawiony jednak perspektyw na karierę zawodową we Lwowie – wypłynął na statku do Nowego Jorku. W Stanach Zjednoczonych otrzymał kontrakt na Uniwersytecie Harvarda. Regularnie był jednak w Polsce.

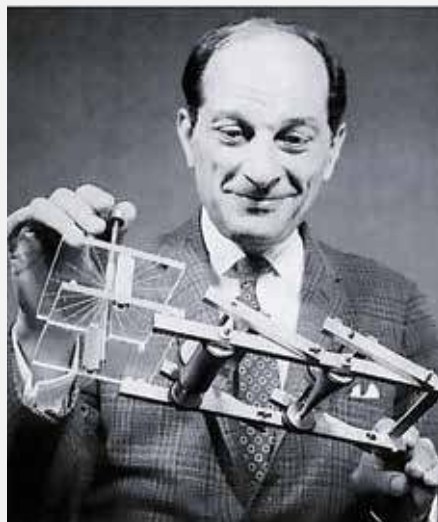
Gdy wybuchła druga wojna, zadeklarował chęć pomocy w badaniach mających pomóc w zwycięstwie nad Hitlerem. Został skierowany do udziału w tajnym projekcie „Manhattan”, w ośrodku badań jądrowych w Los Alamos. Swoje równanie kreślił w pilnie strzeżonym ośrodku w towarzystwie najwybitniejszych fizyków, w tym wielu noblistów, zatrudnionych na polecenie prezydenta Franklina Delano Roosevelta. Choć jego obliczeń oraz wielu dokumentów z tamtego okresu do dzisiaj nie odtajniono, to jest bardzo prawdopodobne, że gdyby nie matematyczne wzory Stanisława Ulama, to Edward Teller

– węgiersko-amerykański fizyk jądrowy, uznawany za twórcę amerykańskiej bomby wodorowej – nie zyskałby teoretycznej podstawy do konstrukcji bomby.

Wiadomo, że obliczenia Ulama tak bardzo spodobały się Tellerowi, iż uznał je za swoje własne. I choć – jak stwierdził Walter Golaski, przewodniczący rady nadzorczej Fundacji Kościuszkowskiej – to polski matematyk wypracował matematyczne podstawy i to on dowiódł realności projektu, to właśnie Edward Teller uważany jest powszechnie za ojca bomby wodorowej.

Ulam nazywany jest więc ojcem chrzestnym bomby wodorowej, współtwórcą superbomby, a także „geniuszem zagłady”. Matematyk miał jednak ponoć wierzyć, że opracowanie najstraszliwszej broni w dziejach ludzkości doprowadzi wreszcie do trwałego pokoju na świecie.

– Gdy zobaczyłem fotografie zniszczeń w Hiroszimie, pierwszym uczuciem było szokujące zadziwienie. Nagle w moim mózgu dokonał się skrót myślowy: cyfry wypisane kredą na czarnej tablicy i miasto zmiecione z powierzchni ziemi – opowiadał Stanisław Ulam polskiemu pisarzowi, reporterowi i podróżnikowi Olgierdowi Budrewiczowi, który odbył z nim wiele rozmów zarówno w USA, jak i w Paryżu. – Przy pracy nad bombą wodorową nie zdawałem sobie sprawy, podobnie jak wielu moich kolegów, ze skutków naszej działalności. Mówiło się przez długi czas, że po prostu robimy „bombę wielokrotną”, czyli o wiele silniejszą od konwencjonalnej.



– Przy pracy nad bombą wodorową nie zdawałem sobie sprawy, podobnie jak wielu moich kolegów, ze skutków naszej działalności – mówił urodzony we Lwowie wybitny matematyk Stanisław Ulam

FOT. LOS ALAMOS NATIONAL LABORATORY

Przy bombie wodorowej, a przecież współtworzyłem też bombę atomową, wszystko już było jasne. Ale my, naukowcy, wierzyliśmy, że odkrycie kolejnego źródła energii będzie czymś w rodzaju tworzenia potęgi ludzkości. Sięgnęliśmy po narzędzie tak przerażające, że nie sądziliśmy, aby ktokolwiek mógł go użyć w zbrodniczych celach – tłumaczył Budrewiczowi.

Ta „potęga ludzkości” umożliwiła stworzenie superbomby, która podczas pierwszej próbnej eksplozji na archipelagu Wysp Marshalla w 1952 r. okazała się 700 razy (!) silniejsza od tej, która 6 sierpnia 1945 r. zrównała z ziemią japońską Hiroszimę, powodując straszną śmierć jednej trzeciej populacji miasta.

Utalentowany matematyk z Polski, który jako jeden z pierwszych naukowców na świecie używał do pracy naukowej komputerów, był również jednym ze współtwórców programu „Orion”, którego celem było opracowanie napędu nuklearnego do rakiet kosmicznych. Profesor Ulam otrzymał finansowanie tych badań, ponieważ jako doradca prezydenta Johna Kennedy’ego zaproponował mu stworzenie napędu stosowanego w pojazdach kosmicznych, który można byłoby wykorzystać do wysłania pierwszej załogowej misji na Księżyc. Był też twórcą komputerowego programu szachowego – napisanego na uruchomiony na przełomie lat 40. i 50. XX w. komputer MANIAC I z zegarem o taktowaniu 11 kHz – który nie tylko potrafił rozegrać z człowiekiem partię szachów, lecz także potrafił ograć początkującego szachistę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Materiały źródłowe:

Borucki Marek, „*Wielcy zapomniani: Polacy, którzy zmienili świat*”;

Kowalik Teresa, **Słowiński Przemysław**, „*Królewski dar. Co Polacy dali światu*”;

Wojskowy Instytut Techniki Inżynierskiej im. prof. Józefa Kosackiego we Wrocławiu, www.witi.wroc.pl;
Muzeum Wojska Polskiego, muzeumwp.pl;

„*Jedyny Taki Wykrywca Uśpionego Zabójcy*”. Film dokumentalny, 2019, Polska;

Narodowe Muzeum Techniki, nmt.waw.pl;

Harry Mark Petrakis, „*The Founder's Touch: The Life of Paul Galvin of Motorola*”. New York: McGraw-Hill, 1965;

Roman Duda, „*Lwowska szkoła matematyczna*”, Wrocław 2007;

Stanisław Ulam, „*Przygody matematyka. Autobiografia*”;

Olgierd Budrewicz, „*Geniusz zagłady*”, „*Wprost*”, 29.02.2004;

Olgierd Budrewicz, „*Nasi między oceanami*”, Warszawa 1987.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Patenty pianisty



Piotr Włoczyk

Józef Hofmann w niezrównany sposób grał utwory Chopina, a po godzinach pracował nad wynalazkami, które ułatwiły życie miliardom ludzi

Polski pianista często przedstawiany bywa jako najbardziej genialny muzyk wśród wynalazców i największy wynalazca wśród muzyków. Taka opinia nie powinna nikogo dziwić: na konto Józefa Hofmanna zapisać można ponad 70 patentów, a przez wielu

znawców muzyki poważnej nazywany bywa najlepszym pianistą XX w.

Józef Hofmann przyszedł na świat w 1876 r. jako nieślubne dziecko pary muzyków: pianisty, kompozytora i dyrygenta Kazimierza Hofmanna oraz śpiewaczki Matyldy Pindelskiej. Jak na geniusza przystało, naukę gry na fortepianie rozpoczął już w wieku trzech lat. Pierwszy wielki koncert zagrał w Warszawie w wieku sześciu lat, cztery lata później pojechał w trasę koncertową po Europie, a jako 11-latek koncertował już za oceanem. Tu jednak szyki niespodziewanie pomieszało mu nowojorskie Society for the Prevention of Cruelty to Children (Stowarzyszenie na rzecz Zapobiegania Okrucieństwu wobec Dzieci). Amerykańscy obrońcy praw dzieci stwierdzili bowiem, że kilkadziesiąt koncertów, które zagrać miał 11-letni Józef Hofmann (znany za oceanem jako Josef), ociera się o znęcanie się nad dzieckiem... Chłopiec był więc zmuszony wrócić z ojcem do Europy. Naukę gry na fortepianie kontynuował w Niemczech, koncertując równocześnie po całym kontynencie.

W 1898 r., w wieku 22 lat, Józef Hofmann po raz drugi wyjechał do Ameryki. Tym razem nikt nie przeszkodził mu w tournée. Równolegle z doskonaleniem umiejętności pianistycznych młody geniusz z Polski rozwijał swoją pasję do motoryzacji. Hofmann sam zbudował auto i zaczął pracować nad ulepszeniami w rozwiązaniach dotychczas stosowanych przez producentów aut. To właśnie on opracował metodę usuwania deszczu z szyby przedniej, wzorując się na ruchach tak świetnie znanego sobie metronomu. W ten sposób powstały wycieraczki samochodowe.

To jednak niejedyny wkład Hofmanna w rozwój motoryzacji. Nasz wirtuoz fortepianu był bardzo wrażliwy na wstrząsy wywołane przez nierówną nawierzchnię, więc – skoro producenci aut nie byli w stanie sprostać jego wymaganiom – sam postanowił sprawić, że podróż będzie bardziej komfortowa. W 1913 r. Józef Hofmann udoskonalił amortyzator pneumatyczny, na co zyskał patent. Jego wynalazek był potem przez długie lata wykorzystywany zarówno w przemyśle samochodowym, jak i lotniczym.

Poza graniem i tworzeniem wynalazków Józef Hofmann dużo pisał na temat

muzyki i w swoich felietonach udzielał rad początkującym pianistom.

Jego wynalazki wpłynęły na rozwój motoryzacji, ale nasz genialny muzyk jest również autorem kilku ulepszeń w najważniejszej dla siebie dziedzinie. Hofmann wymyślił m.in. mechanizm mierzący siłę nacisku palców pianisty, a także udoskonalił regulację stołków do fortepianów.

Wśród jego genialnych wynalazków znalazł się też niezwykle prosty przedmiot, bez którego żadne biuro nie mogłoby istnieć: spinacz do papieru. Józef Hofmann zmarł w Los Angeles w 1957 r., w wieku 81 lat.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Źródła:

Stanisław Dybowski „Słownik pianistów polskich”;

Jan Żdździński „Józef Hofmann – geniusz zapomniany”;



Hofmann sam zbudował auto i zaczął pracować nad ulepszeniami

FOT. DOMENA PUBLICZNA



Nz wirtuoz fortepianu był bardzo wrażliwy na wstrząsy wywołane przez nierówną nawierzchnię, więc postanowił sprawić, że podróż będzie bardziej komfortowa

FOT. DOMENA PUBLICZNA